

Andrzej Strzelczyk 

Zlecenie



lesiojot

**Andrzej
Strzelczyk
Zlecenie**

KLUB SREBRNEGO KLUCZYKA
ISKRY * WARSZAWA 1989

Oferta

Poznaje mnie?

I zaraz drugie pytanie: co on tu robi, do diabła?

Nim przypomniałem sobie nazwisko, już wiedziałem, o kogo chodzi. Posłałem go do pudła na trzy i pół roku. Dawno, może dwanaście lat temu. Miał prawo wyjść — i nawet zaliczyć jeszcze parę odsiadek. Ale co tutaj robi? Przecież nie jest chyba znowu kierowcą Derkacza. Zresztą Derkacz na pewno jeszcze nie przybył i chyba by nie lubił spotkać tu Zbynia Komandosa. Tak. Pamiętam. Zbynio Komandos. Korzycki.

Impreza trwała niecałe dwie godziny, lecz toczyła się już na wysokich obrotach. Odkąd ekipa Dziennika TV złożyła do wozu swój sprzęt i wróciła, by też wziąć udział w zabawie, atmosfera zrobiła się znacznie luźniejsza. O ile dawniej każdy wskakiwał przed kamerę, o tyle teraz wszyscy się bali ukazać w telewizorze.

Gospodarz przyjęcia zadysponował, by kelnerzy zrobili jeszcze rundkę z tacami, na których stały kieliszki i szklaneczki, po czym w kącie przystąpiono do wydawania gorących dań.

— Jak za Gierka! — usłyszałem obok siebie czyjś rozmodlony głos.

W gospodarce uspołecznionej — dziś — nie do pomyślenia! Prywatna inicjatywa szmalu nie pokazuje. Tylko polonijny biznes demonstruje, że go się kryzys nie ima.

Tę kwestię wygłosił redaktor W., mój stary znajomy z licznych konferencji prasowych i dziennikarskich wyjazdów. Pamiętałem, że nie należy z nim dzielić pokoju, bo chrapie. Może tylko po wódce, ale na wyjazdach, penetracjach, sympozjach, kursokonferencjach — jak to się tam nazywało — nie trzeźwiał nigdy. I tu w Kazimierzowie też już był mocno pijany.

Żurnalistów zjawilo się nad podziw dużo. Uroczyste otwarcie nowo wzniesionego zakładu produkcyjnego Przedsiębiorstwa Polonijno-Zagranicznego „Santex” zaczynało się wprawdzie od

konferencji prasowej, lecz nie liczyłem, że koledzy stawią się tłumnie, jak w tłustych latach przybywali na przykład na otwarcie nowego pirsu w Porcie Północnym.

Na szczęście pełnomocnik i dyrektor „Santexu”, Leszek Różycki, okazał się przewidujący. Dla wszystkich starczyło krzeseł i materiałów prasowych — o picciu i jedzeniu nie wspominając.

Materiał prasowy stanowiła wydana na kredzie w czterech kolorach broszurka informacyjna. Zaczynała się od zdjęcia właścicielki firmy, madame Lucille Sanders, zrobionego chyba przez pończochę, a może dwadzieścia lat temu, i od opisu jej charakteru raczej niż życiorysu, aby nie trzeba było wyjaśniać, jak radziła sobie z kryzysem w 1929 roku. Potem różne bzdety o firmie, jak szybko, tanio i dobrze zbudowano ten zakładzik w Kazimierzowie. Koło Warszawy, a już w ościennym województwie, wyjątkowo przychylnym dla polonijnego biznesu. Świadczyła o tym obecność na otwarciu pana wicewojewody, którego zasługi wymieniano zarówno w broszurze, jak i w przemówieniu pełnomocnika.

O samym pełnomocniku powiedziano bardzo niewiele.

— Chwalić się nie warto, spowiadać się nie należy, a kłamstwa nie przejdą, bo trochę ludzi mnie zna — stwierdził Leszek, gdy uzgadnialiśmy tekst broszury.

Najwięcej emocji budziło krótkie zdanie w rozdziałiku pod tytułem „Płace”, a mianowicie: „Nie jest tajemnicą, ile kto zarabia w PPZ «Santex». Pensja pełnomocnika i dyrektora razem wynosi 89 tysięcy miesięcznie...”

Parę osób podchodziło do mnie z pytaniem, czy sędzę, że to jest wszystko. Odpowiadałem wzruszeniem ramion, choć wiedziałem, że Leszek ma gwarantowane czterdzieści tysięcy dolarów rocznie, plus prowizja od nadwyżki eksportu nad to minimum. Ponieważ jednak nikt nie wiedział, że mam cokolwiek wspólnego z broszurką, a mało kto pamiętał, że przed laty studiowaliśmy i kolegowali z Leszkiem, przeto mogłem nie wdawać się w wyjaśnienia.

Zresztą zasadziłem się tu na większego od Leszka, największego właściwie rekina polonijnego biznesu, czyli

Seweryna Derkacza. Był oczywiście zaproszony — osobiście przez Leszka — i odpowiedział, że, być może, przyjdzie. To było wiele, bo szef i faktyczny właściciel „Derpolu” raczej się nie udzielał. Różycki, wpływowy członek Zarządu „Interpolcomu”, czyli tworu o dziwnej nazwie Polsko-Polonijna Izba Przemysłowo-Handlowa, uważał, iż na czasie byłby wywiad z Derkaczem i że ja powinienem go zrobić jako dziennikarz skądinąd niezależny od polonijnego biznesu. Miał mi ułatwić rozmowę, bo facet był trudny w kontaktach.

Na razie jednak firmę „Derpol” reprezentował Derkacz junior, pracujący w niej pod kierownictwem starego. Kierownictwo to było o tyle skuteczne, że wszyscy mający coś wspólnego z „Derpolem” rychło orientowali się, że z Henrykiem nie warto niczego uzgadniać. „Niech pan przekaże ojcu...”, „Jaka jest opinia ojca w tej sprawie?” — takie zdania słyszał najczęściej junior, skądinąd nie taki już młody, gdyż czterdziestkę miał zdecydowanie za sobą.

Ten brak kompetencji jakoś nie zrażał Komandosa, którego widok tak mnie zaskoczył, gdy wszedłem. Zauważyłem bowiem, że wyraźnie chodził za Henrykiem Derkaczem, jakby zamierzał rozmówić się z nim na osobności, nie chcąc jednak zaczynać rozmowy przy kimkolwiek. Zauważyłem także dwie inne rzeczy: Henryk Derkacz nie znał Zbynia, gdyż zupełnie nie reagował na jego widok. I druga: Zbynio też tutaj nikogo nie znał, bo z nikim się nie witał i nie rozmawiał. Ciągłe był sam. Na tak wielkim chodzonym przyjęciu można się snuć samemu z kieliszkiem i nie zwracać tym żadnej uwagi, jeśli nikt się nami nie interesuje. Ale ja zobaczywszy Komandosa, stale go potem wypatrywałem.

Nikt tu nie sprawdzał zaproszeń, gdyż wychodzono z założenia, że jeśli ktoś przyjechał aż z Warszawy na jubel, to widać był zaproszony. Jeżeli jednak Komandos chciał pogadać z młodszym Derkaczem, to mógł go przecież znaleźć w Warszawie, w domu lub w pracy. Chyba że chciał doń podejść nie umówiony, nie zwracając niczyjej uwagi.

Wszystko już pamiętałem jak najdokładniej: Zbigniew Korzycki, dawny kierowca i chyba goryl. Seweryna Derkacza. Dla mnie wówczas artykuł 145, paragraf 2 i 3 kk. Była to moja pierwsza sprawa jako ławnika, w której otarłem się o śmierć. Komandos, mocno pijany, wyprowadził samowolnie opła rekorda swego szefa i pędząc z prędkością 140 na godzinę, rozjechał na pasach jakiegoś przypadkowego przechodnia. Opła skasował również. Zdjęć milicyjnych — z wypadku i sekcji — nie robiono jeszcze wówczas w kolorze, lecz czarno-białe wyglądały wystarczająco okropnie.

Oskarżony, niewysoki, przystojny chłopak, cichy i spokojny, robił raczej dobre wrażenie. Gorsze robił wyciąg z rejestru skazanych i wywiad milicyjny. Po chwalebnyms odsłużeniu w Czerwonych Beretach Korzyckiemu nie dawały spokoju zdobyte tam umiejętności.

Była to bodajże sala 355, gdzie zazwyczaj sądzono drogówkę. Stół sędziowski stał tyłem do okien, więc gdy świeciło słońce widziano raczej nasze sylwetki niż twarze. My zaś widzieliśmy wszystkich dokładnie, w tym Seweryna Derkacza, kiedy składał zeznania jako świadek. Stał wyprostowany, naprzeciw i nieco poniżej nas, za wąskim pulpikiem na dębowych sztachetkach.

— Imię, nazwisko? Wiek? Zawód?

— ... rzemieślnik. Dla oskarżonego obcy.

Kiedy świadek o oskarżonym, z którym łączą go skomplikowane sprawy, mówi „obcy”, to znaczy, że jest z sądem obyty lub że się przygotował zawczasu i wie, iż ten termin określa sytuację, w której nie przysługuje mu prawo odmowy zeznań. Pouczony o obowiązku mówienia prawdy i przestrzeżony przed odpowiedzialnością z artykułu 205 kk — do pięciu lat za składanie fałszywych zeznań — Seweryn Derkacz wypowiedział przygotowaną formułkę:

- Pan Korzycki pracował u mnie półtora roku i ze swoich obowiązków wywiązywał się należycie. Tym razem jednak nadużył swych kompetencji oraz mojego zaufania — po czym zdecydowanie, bez śladu unizoności skłonił głowę przed Wysokim Sądem.

Pytania stron.

— W jakim charakterze oskarżony u pana pracował? — spytała rajcowna brunetka, ze szkarłatną wypustką na todzie, siedząca na prawo ode mnie, lecz już za rogiem stołu. (W czasie kilku lat mojej kadencji jako ławnika przychodziły z prokuratury na sprawy coraz ładniejsze dziewczyny i żądały coraz wyższych wyroków).

— Wykonywał wszelkiego rodzaju zlecenia. Prowadził samochód, przywoził materiały, dostarczał produkty, wpłacał i odbierał pieniądze i załatwiał jeszcze inne sprawy.

— Czyli powierzał mu świadek dość znaczne wartości?

— Tak jest. To wchodziło w zakres jego obowiązków.

— Proszę powiedzieć sądowi, czy znana była panu jego przeszłość? Mam na myśli konflikty z prawem.

— To mnie nie interesowało.

— W jaki sposób, w jakich okolicznościach zatrudnił świadek oskarżonego?

— Już nie pamiętam. Ktoś mi go musiał polecić.

— Czy w trakcie pracy w pana zakładzie oskarżony upijał się, wywoływał jakieś awantury?

— Nic mi o tym nie wiadomo.

Obrona nie miała do świadka pytań, co oznajmił mecenas Sztarkiełło, chluba stołecznej palestry. Trochę mnie dziwiło, że przyjął sprawę Korzyckiego, ale potem dowiedziałem się, że był dość ściśle związany z Derkaczem i on go chyba wynajął do obrony swego pracownika. Zważywszy okoliczności sprawy, zwłaszcza zaś tego opla, wydało mi się to dość wielkoduszne.

Trzy i pół roku daliśmy wtedy Komandosowi. Ja, z moim chwiejnym charakterem, byłem skłonny dać mniej i nawet bąknąłem coś o warunkowym zawieszeniu, ale sędzia przewodniczący spojrział na mnie jak na wariata.

— Przecież ze 145, paragraf trzy należy się do dziesięciu — powiedział.

A drugi ławnik — był nim staruszek, emeryt, w wieku przejechanego, który nigdy nie prowadził i nie miał już prowadzić samochodu — uważał, że i dziesięć lat to mało, i tylko szubienica byłaby tutaj na miejscu.

No więc, czy mnie Zbynio Komandos poznaje? Wyrokowałem

w majestacie prawa, w imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, a po wydaniu wyroku skazującego zawsze przemykałem korytarzami sądu na Świerczewskiego, jakbym popełnił zbrodnię. Niezręcznie bym się czuł twarzą w twarz ze skazanym przeze mnie. Przez te lata też nie zrobiłem się młodszy — Korzycki się postarzał zdecydowanie — i do tego siedziałem wówczas w czarnej todze, a to człowieka zmienia. Teraz Korzycki mijając mnie, jeszcze raz spojrzął mi w twarz obojętnym wzrokiem, lecz mnie ogarnął jakiś głupi niepokój.

Kapela w strojach ludowych, pojadłszy i popiwszy, wzięła się ostro do roboty. Wraz z częścią tańcząco - przyśpiewującą. Było tego bez mała dwadzieścia osób. Leszek lubił takie efekty. Pamiętam jak w czasie studiów na imieniny koleżanki, obchodzone tłumnie w niewielkiej kawalerce, przybył wraz z kapelą cygańską podebraną na ulicy. Gdy tylko rozległ się dzwonek u drzwi, jeszcze na schodach Cyganie huknęli „Sto lat”. Potem tak się rozochocili, że zostali z nami do rana, choć pięćsetka, jaką im dał Leszek, dawno ekspirowała. Mało tego! Co jakiś czas któryś z Cyganów wyskakiwał na melinę po wódkę.

Kapela sprowadzona do Kazimierzowa nie wyglądała na tak altruistyczną, ale wniosła podobny element zabawy. Wkrótce goście śpiewali i tańczyli wraz z nią. Kwiat polonijnego biznesu. Drugi garnitur urzędników z instancji obsługujących ten sektor. Dziennikarska obsada konferencji prasowej i mnogo wszelkiego luda, który się przypalał na rzadki w tych czasach jubel otwarcia czegoś nowego, połączony z jedzeniem i pićciem. A na dodatek — jak się okazało — z szampańską zabawą. To określenie należało traktować dosłownie, bo szampana podawano na początku, gdy przecinano wstęgę, i w przerwie między tańcami też. Z tym, że za pierwszym razem były to butelki z Pewexu, a teraz rumuńska *zarea*.

Wiedziałem, po prostu czułem, że ktoś musi za chwilę powiedzieć, że to jest swoiste „Wesele” naszych czasów. I oczywiście padła taka uwaga. Niezawodny redaktor W. Był on

nieodrodnym przedstawicielem klanu żurnalistów pieczenia-
rzy. Tacy jeżdżą od lat po konferencjach prasowych, zwiedzają
fabryki, budowy, PGR-y. Mądrzą się, pół godziny zadają jedno
pytanie, aby tylko dać się usłyszeć, przy czym nie wiadomo, o
co właściwie im chodzi. Potrafią być natarczywi i napastliwi,
udawać trybunów ludowych w stosunku do zapraszającej ich
instytucji, lecz ministrowie i dyrektorzy dobrze wiedzą, że
kupić ich można, z ich piórami, mikrofonami i kamerami za
pamiątkowy długopis nawet, choć, oczywiście, polują na
większe profity. Teraz, kiedy się nic nie buduje, obsiedli interes
polonijny. Tu czują nie abstrakcyjne miliardy lokowane w
wielkich inwestycjach, lecz prawdziwe pieniądze w rękach
obrotnych ludzi, którzy powinni przecież jakoś ich,
dziennikarzy, docenić i dać temu wyraz. Stąd ich gniewne ataki
i przymilne uwagi zarazem. Gdyby słyszeli, co o nich mówił
Różycki, gdy omawialiśmy broszurę o jego firmie!

Teraz też redaktorowi W. nie chodziło o żadne „Wesele”, o
którym jedynie wiedział, że wszyscy się tam ze wszystkimi
bawili i że w tym był jakiś ukryty sens, ale chciał wyczuć, czy
nie można się na ten cały sektor polonijny załapać. Może jako
rzecznik prasowy, a może trzeba im kampanię reklamową
zorganizować?

— Mnie to nie interesuje — odpowiedziałem i odszedłem,
myśląc, że mi nie wyjdzie na zdrowie, kiedy W. się dowie, iż coś
robię dla Różyckiego. Ale nie mogłem rozmawiać z W. Od lat z
nim jeździłem. Byłem właściwie jednym z nich i zawsze czułem
zażenowanie, jeżyłem się wewnętrznie, słysząc i widząc ich w
akcji. Dopóki się nie napiłem porządnie, co, jak widać, tym
razem jeszcze nie nastąpiło.

Mały Korzycki dalej snuł się za wielkim Derkaczem juniorem.
Było niemożliwe, by Henryk Derkacz nie słyszał o tym
wypadku sprzed lat. Nie mógł też nie znać pracownika swojego
ojca. Gdyby nawet ten zakład instalatorski Derkacza był
wielkości huty „Katowice”, to przecież Zbynio świadczył ojcu
Henryka dość osobiste usługi. Jeśli zatem, jak mówił mi
Różycki, młody Derkacz spędził jakiś czas w Buffalo, pracując u
swego stryja, a obecnie formalnego właściciela firmy „Derpol”,

to było to zapewne w okresie, gdy jego stary zatrudniał Zbysia, co można dość łatwo sprawdzić.

Ale te wszystkie wnioski na miarę Holmesa przyszły mi do głowy nieco później, gdy zacząłem się orientować, że wokół Derkacza kroi się jakaś afera i kiedy się zrobiłem czujniejszy. Wtedy, w Kazimierzowie, i jeszcze jakiś czas potem, obserwowałem wszystko dosyć bezwiednie, co zubożyło nieco stan mojej obecnej wiedzy. Składa się na nią po części to, co widziałem i słyszałem bezpośrednio, to, co mi mówili uczestnicy wydarzeń i co wyczytałem w aktach. Wiele faktów znam chyba dobrze, pewne jestem w stanie odtworzyć, innych zaś mogę się tylko domyślać i jeśli czegoś nie jestem do końca pewny, zamierzam o tym lojalnie uprzedzać.

Kiedy w drzwiach ukazał się Seweryn Derkacz, gwar uciął. Sporo osób go znało, a pozostali, choć już dobrze podpić, poczuli, że się pojawił ktoś ważny. Różycki, nagle zupełnie trzeźwy — tę zdolność momentalnego trzeźwienia kiedy trzeba znałem u niego od dawna — znalazł się przy Derkaczu i widać było, że go wylewnie wita. Derkacz nie wszedł dalej. Udał się zaraz z Leszkiem do gabinetu dyrektora fabryki, najwytworniejszego pomieszczenia w budynku. Zauważyłem, że Derkacz odwrócił się akurat w tym momencie, gdy syn podbiegał do niego z jakimś dziwnym i dostrzegalnym wyrazem służebności w całej postawie. Rozglądałem się po sali, lecz Komandosa już nie widziałem.

Sporo gości zbierało się już do Warszawy, choć zabawa trwała w najlepsze. Pijani kelnerzy wystawili już całe butelki i widać było, że twarde jądro gości zostanie tutaj na długo. Dla odjeżdżających odchodziły wynajęte przez „Santex” turystyczne miniautokary. Co pół godziny lub częściej, jeśli około połowy miejsc było zajętych. Przy wyjściu dwie wystrzałowe dziewczyny — Leszek uznawał tylko taki damski personel — wręczały każdemu piękną, wielką torbę, z nadrukiem „Santex”. W środku znajdowała się bawełniana koszulka z takim samym napisem. Lepszych gości proszono do innego pomieszczenia,

gdzie pytano, czyby nie chcieli kupić po fabrycznej — o połowę niższej — cenie jakiejś kurtki „Santexu”, a było ich kilka. Najdroższa, zimowa, elegancka i wymyślna, w detalu kosztowała dwadzieścia cztery, a tu — z siedem. Ja miałem taką za darmo i pomyślałem, że byłoby niezręcznie, gdybym się kiedyś w niej pokazał.

A stanowiło to tylko część mojego wynagrodzenia. Kiedy Leszek zaakceptował broszurę, to ze słowami „Godzien jest pracownik zapłaty swojej” wręczył mi papierek, jeden, ale za to studolarowy. Zrobiłem jakiś niewyraźny gest, połączony z mruknięciem, że to jakby dużo, choć nie wyrażałem gotowości wydania reszty. Ale Leszek machnął ręką.— To w końcu tylko sto dolarów. Przecież tam najtańsza dziwka już tyle nie bierze.

— Ale ja jestem tania k... — powiedziałem.

— A ja taka, od której się bierze drogo. Jak ta z „Janeczki” czy „Piotrusia”, pamiętasz?

Pamiętałem. Kiedyś, na ostatnim roku, wyszliśmy z Leszkiem z zajęć bardzo późnym wieczorem. Na Nowym Świecie, za Foksal, są dwa barki kawowe: „Janeczka” i „Piotruś” — ciągle nie pamiętamy, który jest który. W jednym z nich podeszła do nas profesjonalistka, których grupka urzędowała w tamtych latach na rogu Nowego Świata i Rutkowskiego, zwanej z uporem Chmielną. Panienka spytała, czy może przy nas wypić kawę, bo wtedy zapłaci, jak wszyscy, pięć złotych — taka była cena, dopóki ówczesny przywódca jej nie podniósł, gdy — jak głosił dowcip — dowiedział się, że kawa u nas nie rośnie. Gdyby nie my, bufetowa nie sprzedalaby jej kawy poniżej dwóch dych. Taksówkarz też nie brał od niej nigdy mniej niż stówę, a za te pieniądze wówczas można było w nocy objechać miasto. Pokój przy rodzinie wynajmowano jej za trzy tysiące miesięcznie (dobry w Śródmieściu kosztował 500 — 1000 złotych), gdyż był to dom porządny i cierpiał, gdy się dzieci gorszyły procederem lokatorki.

— Ma, niech więc płaci; takie jest i do mnie podejście — wyjaśniał Leszek. — W kraju biednym, ale z aspiracjami, każdy uważa, że zarabia mniej, niż mu się należy, a jak ktoś inny ma więcej, to się po prostu nakradł. Wystarczy, jak mnie mają za

hochsztaplera, po co mam być do tego skąpy?

Ta filozofia nie znajdowała uznania u seniora biznesu, Derkacza. Kiedy po jakimś czasie totumfacki Leszka, pan Józio, poprosił mnie do gabinetu, usłyszałem wchodząc, jak Seweryn Derkacz kończył rozpoczętą uprzednio kwestię:

— Wiem, że to pana interes i pana pieniądze, panie Leszku, ale to rzutuje na cały nasz sektor i na opinię o nim. Zwłaszcza gdy się uwzględni wagę „Santexu” i pana pozycję w izbie. Taka rozrzutność w dobie kryzysu robi najgorsze wrażenie. Niech pan nie myśli, że się zdobywa przyjaciół pojąc ich, karmiąc oraz obdarowując. Teraz są mili, ale już pana obgadują po kątach. A skoczą do gardła, jak tylko będzie okazja...

Głos Derkacz miał — jak wtedy w sądzie — oschły, ale teraz do tego mentorski i było coś irytującego w tym jego pouczeniu. Jako dyrektor szkoły czy naczelnik więzienia byłby znienawidzony tylko za ten ton i sposób mówienia. Wygląd miał lepszy od głosu. Wytworny, szczupły, starszy pan, w eleganckim ciemnym garniturze i białej koszuli. Siwy. Gdy go widziałem ponad dziesięć lat temu, miał tylko siwe skronie i wąsik. W fotelu siedział sztywny, wyprostowany, przez co wydawał się wysoki, chociaż nim nie był. Miał długie tułów i krótkie nogi.

Koło panów stał barek z zestawem należytych trunków: ballantines (black label) i remi martin, a nie żadne lewe french brandy z kolejnym napoleonem — Leszek wiedział co dobre — ale kieliszki panów pełnomocników i dyrektorów stały suche. To znaczyło, że stary odmówił, choć bynajmniej nie był abstynentem i cenił dobre napoje, a gospodarz sam nie ośmielił się wypić. W ogóle na twarzy Leszka rysowań się jakby zaduma i pokora. Ktoś, kto go nie znał, mógłby przypuścić, że naprawdę przejmuje się tym, co mówi Derkacz.

— Redaktor Andrzej Strzelczyk — przedstawił mnie Derkaczowi, gdy ten wreszcie skończył.

Derkacz nie wstając podał mi dłoń, a Leszek wskazał trzeci fotel. Na gest, bym sobie nalał, skinąłem odmownie głową. Postanowiłem być równie układny, poza tym miałem już trochę dość, a wiedziałem, że wieczór się jeszcze nie kończy.

— Pan Różycki przedstawił mi pana prośbę... — zaczął Derkacz tym samym niesympatycznym głosem. Nie spodobała mi się ta „prośba”. Miało to być posunięcie w interesie całego biznesu, a nie mój zawodowy interes. Równie dobrze mogłem pisać o czymś zupełnie innym.

— ... i zgadzam się z nim, że to będzie na czasie... — kontynuował.

— Czy chciałby pan może zapoznać się wstępnie z pytaniami?

— Jeszcze nie skończyłem! Będzie na czasie, jeśli pan opublikuje to, o co chodzi. Pytania nie mają znaczenia, wiem, co mam zamiar powiedzieć. Dlatego też warunkiem rozmowy jest zgoda na autoryzację wywiadu. A jeśli redakcja lub cenzura coś w nim jeszcze pokreślą, to żebym mógł to zobaczyć i żebym miał pewność, że bez mojej zgody nic się pod moim nazwiskiem nie ukaze. Przyjmuje pan to?

Był to częsty warunek nie tylko przy udzielaniu wywiadów, lecz również informacji. Z reguły jednak stawiali go prominenci i nie czynili tego w tak ostrej formie. Zawsze się mówiło: „żeby nie wkraady się błędy czy nieścisłości”. Byłem więc mocno urażony, lecz powiedziałem, że się, rzecz jasna, zgadzam.

— Niech pan więc zadzwoni do mnie do biura i ustali z panią Wcisło termin rozmowy — zakończył zdecydowanym tonem. Poczulem się odprawiony w sposób mało kurtuazyjny. Wstałem, skłoniłem się z lekka i nic nie mówiąc wyszedłem z pokoju.

Gdybym wiedział, że za ścianą handlowano głową Seweryna Derkacza, odczuwałbym coś w rodzaju Schadenfreude.

Wyszedłem innymi drzwiami i przeszedłem przez pokój, w którym się przebierała kapela. Pod ścianami stały futerały od instrumentów. Na krzesłach i stołach leżały rzucone pospołu ciuchy damskie i męskie. Dominował sztruks firmy „Wrangler” i „Lévis”. Pod ciuchami, niezbyt starannie ukryte, widniały zadołowane butelki. — Na biednego nie trafiło — pomyślałem o kosztach firmy „Santex”. — Przynajmniej wiadomo, na co Leszek zarabia i że jest wielkie panisko, a ludzie coś z tego mają.

Harpagońskie podejście Derkacza, który znacznie większym

majątkiem nie zarządzał, ale faktycznie władał, wydawało mi się o wiele mniej sympatyczne. Odrzucałem myśl, że to może stąd ta różnica, iż Leszek z uroczą beztróską wydaje w końcu pieniądze madame Lucille. Jej pełnomocnictwo i swoją obecną pozycję zawdzięcza temu, że z nią sypiał ongiś w Paryżu, ale cóż z tego?

Wszakże ten sposób kariery ma swój wzór u Stanisława Augusta. Sam zaś Leszek opowiadał, że niezależnie od wieku madame Sanders, a może i dzięki temu, była to zupełnie autonomiczna frajda. Zresztą pomysł z firmą „Santex” powstał parę lat temu, wraz z pierwszymi firmami polonijnymi. I gdyby nawet pełnomocnictwo Leszka wynikało z tamtego romansu, to wtedy był on prawie bezinteresowny, jeśli nie liczyć bieżących atrakcji, jakie bogata kobieta może stworzyć biednemu kochankowi w Paryżu.

Przypomniał mi, gdyśmy o tym mówili, maksymę Jorge Amado, że żigolak to najszczytniejszy zawód mężczyzny. Tego brazylijskiego pisarza mało kto dziś pamięta, lecz jego książki łączyły merytoryczne, klasowe wymogi realizmu socjalistycznego z wartką, dramatyczną akcją i z erotyką porażającą jak na purytański etos? wczesnych lat pięćdziesiątych.

To, że Leszkowi byłem skłonny odpuścić wszystko, Derkaczowi zaś nie mogłem darować niczego, brało się zapewne z uczucia utraty dość iluzorycznej wyższości nad tym ostatnim. Kiedyś mi go pokazano w kawiarni, mówiąc, kim jest. Potem zeznawał przede mną w sądzie, gdzie nawet ławnik zażywa należnego trybunałowi dostojenstwa. Sąd cały czas zasiada — tak, właśnie zasiada, a nie siedzi — podczas gdy wszyscy się doń zwracają stojąc i nikt tam nie mówi do nikogo, tylko do Wysokiego Sądu. I wszystko dzieje się za jego przyzwoleniem, nie mówiąc o tym, że on w końcu wydaje wyrok. Te okoliczności przysłoniły mi świadomość, że już wówczas instalator Derkacz mógł kupić nas wszystkich na sali sądowej. Teraz zaś swoją wyższość dał mi wyraźnie odczuć. Czyżby mnie zapamiętał i rozpoznał?

Ta myśl przypominała mi Komandosa. Wszedłem na główną

halę, gdzie się już przerzedziło na tyle, że można było dostrzec dużą liczbę kontaktów, przełączników, kabli, wentylatorów i na podłodze obrysy maszyn, które jutro miały tam stanąć. Kapela nie grała już żadnych ludowych kawałków, ale najnowsze przeboje, nie zważając na niestosowne instrumenty. Jutrzejsze szwaczki, zamieszkałe w Kazimierzowie i okolicznych wioskach — Leszek zaprosił cały personel — które odsiedziały pod ścianami tańce ludowe, teraz tańczyły z przyjezdnymi panami.

Dwóch mężczyzn rozmawiało ze sobą w kącie.

— Zdrowie, panie Derkacz!

— Pan mnie zna?

— Znają tu pana.

— Ma pan do mnie jakiś interes?

— Interes to pan ma do mnie. Ja mam dla pana propozycję.

— Jaka?

— Proszę raczej spytać: za ile?

Z odległości kilku metrów dostrzegłem na twarzy Henryka Derkacza zniecierpliwienie, lecz nie usłyszałem wyraźnie, o czym mówi ze Zbyniem, który wreszcie do niego podszedł. Stali sobie, jak inni, trzymając kieliszki w ręku. Na sali był nadal gwar.

— No więc, za ile? — brzmiało pytanie Henryka.

— Za równe dwadzieścia tysięcy.

— Żółtych?

— Panie Derkacz. Mam pana za kogoś od poważnego biznesu. Chodzi o pieniądze, a nie złotówki.

— Zieleni?

— No właśnie.

— Więc, za co do jasnej cholery mają być te dolary?

Nie słyszałem, lecz widziałem, że Henryk był już mocno zdenerwowany.

— Za stuknięcie starszego pana Derkacza.

— Co!?

To „co” usłyszałem wyraźnie, lecz nie dosłyszałem, jak Komandos, zbliżywszy się jeszcze bardziej do Henryka, powiedział cicho, ale dobitnie:

— Pan słyszał wyraźnie, panie Derkacz.

PPZ „Derpol”

- Leszek.
- No?
- Dobrze wiesz, kogo dziś zapraszałeś?
- Straciłem kontrolę. A czemu?
- Korzycki. Mówi ci coś to nazwisko?
- Nic.
- Zbynio Komandos?
- Też nic.
- Ale słyszałeś o tej aferze, kiedy facet Derkacza rozwalił jego wóz i zabił jakiegoś człowieka?
- Byłem wtedy za granicą, ale słyszałem.
- To był właśnie Zbynio Komandos. Ten, co przyjechał.
- I on był u mnie w Kazimierzowie? — w tym momencie Leszek ożywił się i aż uniósł na tylnym siedzeniu swego BMW.
- Właśnie.
- Z kim był, z kim gadał?
- Sam był, z nikim nie gadał poza młodym Derkaczem. Nawet tak jakby specjalnie go szukał.
- A ze starym? Choć nie, przy starym byłem przez cały czas.
- Jak się pojawił stary, to on się zmył na tę chwilę.
- Józek — zwrócił się Leszek do pana Józia, który nas wiozł z Kazimierzowa do Warszawy — czy ty znasz tego typu?
- Nie, lecz znam sprawę. Popytam...
- Dobrze. Andrzej, a ty skąd znasz tego gościa?
- Byłem ławnikiem, który go sądził.
- To jest chyba śmierzcząca sprawa. Powinienem się trzymać z daleka. Nie lubię być w coś wmieszany.
- Jego zwykła beztroska znikła bez śladu, więc go spytałem:
- Jak to poważna rzecz, to może pogadać z Morsztynem?
- Z Morsztynem? Tak, z Ryśkiem może pogadaj.
- Rysiek Morsztyn był naszym wspólnym kolegą z roku.
- Od skończenia studiów — w milicji. Musiał się żenić,

spodziewał się dziecka i potrzebna mu była praca, dająca w miarę szybko stabilizację. Podświadomie, nie przyznając się do tego, liczył zapewne na krwawe zbrodnie, sensacyjne śledztwa, ale że skończył studia ekonomiczne, więc dano mu nadużycia gospodarze. Jego działką był sektor nieuspołeczniony.

Ja poszedłem na studium dziennikarskie. Szkoda mi było przestać być studentem. Niewiele forsy, lecz dużo luzu. Sporo wyjazdów: jak nie na winobranie do Francji, to na sprzątanie polskiego hoteliku w Londynie. Brakowało mi zdolności, pracowitości i protekcji, by zostać na uczelni. Niczego lepszego nie widziałem. Dziennikarstwo może było tą szansą, a przede wszystkim pozwalało jeszcze dwa lata pożyć dotychczasowym życiem.

Leszek miał go zdecydowanie dość.

— Szybkie samochody, wytworne kobiety, szlachetne trunki, drogie lokale — powtarzał — i nie na starość, a wtedy gdy człowiek jest młody i może się z tego cieszyć.

Pełnomocnik do spraw zatrudnienia nie dawał mu tych możliwości, więc uznał, że musi je stworzyć sam. Zaczynał wówczas jeździć rajdowo, co mogło z czasem przynieść spore pieniądze, lecz na razie je tylko wchłaniało. Ojcowy zakładzik galanteryjny nie mógł udźwignąć aspiracji Leszka, choć posłużył do postawienia pierwszego kroku i zdobycia pierwszych pieniędzy.

Kiedy wreszcie zostałem żurnalistą, odnalazłem Ryśka Morsztyna. Chciałem, by mi podrzucił coś ciekawego do opisania. Zdumiał mnie trochę jego wygląd. Zaokrąglił się lekko, podłysiał i podtatusiał. Miał na sobie szary, nie nazbyt elegancki garnitur urzędnika i można było w ciemno dać głowę, że nie znajduje się pod nim *Smith and Wesson cal. 38* ani żaden skromniejszy sprzęt tego rodzaju.

Spojrzał na mnie z łagodnym zdumieniem, gdy powiedziałem mu, o co mi chodzi.

— Umarłbyś z nudów nad moimi papierami — powiedział.

Ale od tamtego momentu widzimy się co jakiś czas z Ryśkiem i trochę ze sobą mówimy. Ja, Rysiek, Leszek i jeszcze paru kolegów z roku spotykamy się ze sobą rzadziej, ale wtedy

jest już pijaństwo, przy czym Leszek dba, żeby wypadło godnie, a jednocześnie tak, byśmy nie czuli się skępowani.

Kolacja w „Forum” była dalszym ciągiem uroczystości związanych z otwarciem obiektu produkcyjnego w Kazimierzowie. Z tym że już nie żaden spęd, ale pełna wytworność. Stół w sali bankietowej ustawiony w czworokąt. Na stole kwiaty. Przy każdym nakryciu wizytówka biesiadnika.

Pan Józio, który zawsze wyręcza Leszka za kierownicą, kiedy ten pije, odwiózł mnie do domu, bym się odświeżył i przebrał. Przyjechałem potem taksówką i wszedłem na salę, gdzie Leszek, świeżutki i niezmordowanie wytworny, bawił gości rozmową przy drinku. Czekano z siadaniem do stołu, aż przyjdzie reszta, ale ta reszta nie przychodziła. Nie było pana ministra, choć wcześniej przyjął zaproszenie, i paru innych ważnych osobistości. To nie mogło być dziełem przypadku. Nawet pan wicewojewoda, obecny w Kazimierzowie, wymówił się od kolacji w Warszawie, tłumacząc się nawałem obowiązków w swoim nieco odległym urzędzie, już od samego rana. Obecność naczelnika gminy nie mogła tej straty wyrównać.

— Czulem, że się coś psuje — powiedział mi w przelocie mocno zdehumorowany gospodarz — lecz nie sądziłem, że to pójdzie tak szybko.

— To wokół ciebie ten smród?

— Nie, wszystkim nam robią kolo pióra. Biznes polonijny staje się chłopcem do bicia. Zobaczysz, co jutro napiszą te pieski o otwarciu w Kazimierzowie. Może stary Derkacz miał rację, że trzeba nieco przycichnąć?

Stary Derkacz okazał się konsekwentny. Do „Forum” nie przybył. Tutaj też reprezentował go syn. Ponury, nie biorący udziału w rozmowie. Była z nim jego żona, Elżbieta, przystojna i elegancka blondynka. Ta rozmawiała z ożywieniem. W pewnym momencie mąż coś jej powiedział, na co ona zareagowała z najwyższą niechęcią. Potem oboje wstali i podeszli się pożegnać z Leszkiem, choć do końca kolacji było jeszcze daleko.

— Ojciec nie lubi, kiedy się późno wraca do domu — oświadczył Henryk.

— Nie wiem, o co tu może chodzić, i nie chce mi się domyślać — stwierdził Morsztyn, gdy mu opowiedziałem o pojawieniu się Korzyckiego. — Jak Leszek ma jakieś podejrzenia, to niech mi powie, bo nie mam głowy do aluzji.

Podtatusiały urzędnik sprzed dwudziestu lat zniknął bez śladu. Rysiek wyszczuplał, wyprzystojniał. Czoło miał, owszem, wysokie, ale ubytek włosów rekompensowały z powodzeniem długie, wiszące w dół wąsy. Na sobie miał zgrabne sztruksowe spodnie i zamszową kurteczkę. W zębach — wygiętą fajkę.

— Tak się was munduruje? — spytałem.

— Trzeba iść z duchem czasu. Glinie też się coś od życia należy.

Chwilę posiedzieliśmy cicho, a potem Rysiek zapytał:

— Tyle lat ci nie daje spokoju ten Derkacz?

On mi pokazał Derkacza piętnaście lub może więcej lat temu.

— To by była ciekawa historia, gdyby była do opisania — powiedział wówczas, gdy zauważył Derkacza parę stolików dalej w kawiarni „Nowy Świat”.

Firmy „Derpol” oczywiście jeszcze przez wiele lat miało nie być. Derkacz prowadził zakład instalatorski i choć wykonywał różne roboty budowlane, to tych prostszych raczej unikał. Zarabiał sporo, żył na poziomie należnym swemu stanowi. Ale wielu ludzi domyślało się, że to nie wszystko.

— On ma rozległe interesy — objaśniał mi wtedy Morsztyn. — Głównie ładuje forszę w inne zakłady.

— Jak to?

— Zakłada szklarnie, otwiera warsztaty naprawy samochodów, kupuje pralnie... Umawia się z obrotnym i zaufanym człowiekiem, który to bierze na siebie.

— A zyski zgarnia Derkacz?

— To jest kwestia, umowy i zdaje się, że zależy od tego, z kim on ma do czynienia. Jedni prowadzą interes na własną rękę i tylko mu płacą jakąś stałą kwotę lub go spłacają i wykupują ze

wszystkim zakład. Inni mają umowę procentową. Jeszcze inni są na faktycznej pensji, jak kierownicy zakładów, a Derkacz nimi na bieżąco zarządza. Zresztą nie znam szczegółów.

— Ale chyba je poznasz niebawem?

— Nie sądzę. Nie prowadzimy dochodzenia.

— Ależ dlaczego?

— A dlaczego byśmy je mieli prowadzić? Nie ma tu wyraźnego przestępstwa. Może skrywanie dochodów przed podatkami, ale ci inni je płacą. To są sprawy fiskusa. Nas u prywaciarzy interesuje kradziony towar: surowce, materiały, półprodukty. Skąd one są, którędy przeciekają? Zawsze z gospodarki uspołecznionej. A z tym jest Derkacz w porządku.

— Ale jest wielkim przedsiębiorcą!

— Daj mu Boże zdrowie. Formalnie nie jest. A jakby tobie, Andrzej, dał jutro do poprowadzenia jakiś zakładzik? Miałbyś świadomość, że uczestniczysz w przestępstwie?

— Nie mówisz jak policjant.

— Bo studiowałem ekonomię. Ty też, a masz policyjne podejście. Ja mam mieszane uczucia, nawet jak łapię ewidentnie kradziony towar. Wiem, że go inaczej nie można dostać, a nie wiem, gdzie przynosi więcej pożytku. A Derkacz? Ma zdolności, ale na inne warunki. Byłby już wielkim fabrykantem gdzie indziej. A czy to takie złe, że zakłada firmy, zamiast obracać wszystko w dolary i siedzieć na nich lub lokować je za granicą?

Ów milicyjny liberalizm ekonomiczny był dla mnie wówczas dosyć zaskakujący. Nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć. Ale obrona Derkacza miała swój słaby punkt. Był nim młody, szczupły człowiek, siedzący samotnie nad kawą parę stolików dalej. Wstał on, kiedy wstał Derkacz i wyszedł razem z nim na ulicę. To był właśnie mój późniejszy klient, Zbysio Komandos.

— Goryl, kierowca, człowiek do specjalnych poruczeń — objaśnił Rysiek. — Na nim może mógłby się Derkacz poślizgnąć...

Seweryn Derkacz nie był jedynym człowiekiem, który prowadził tego rodzaju interesy, może tylko na większą skalę niż inni. Wszystko w nich opierało się na umowie

dżentelmeńskiej, lecz nie wszyscy byli dżentelmenami. Co mógł zrobić taki nakładca, jeśli człowiek, któremu on powierzył kapitał, odmówił płacenia działki lub jeśli faktyczny kierownik jego przedsiębiorstwa wykorzystał swoje formalne prawo własności i kazał się pocałować na propozycję opuszczenia stanowiska? Nie było żadnych weksli, które by szły do protestu, żadnych notarialnych umów, z którymi można się udać do sądu.

Pojawili się zatem prywatni egzekutorzy, którzy mogli zrobić propozycję nie do odrzucenia. I do takich należał Komandos. Ich kwalifikacje polegały na sprawności fizycznej i predyspozycjach psychicznych, pozwalających z tej sprawności skorzystać. Byli komandosi, bokserzy, zapaśnicy, potem zaczęli dochodzić judocy i karatecy. Siła tych ludzi nie szła w parze ze skłonnością do ciężkiej roboty, raczej już — do lekkiego chleba. A lekki on był i dlatego, że z reguły wystarczała ich obecność, aby załatwić sprawę.

— Czy taki jak on ma broń? — spytałem wtedy Morsztyna.

— Skąd! Zaraz by go zwinęli. U nas broni w obiegu nie ma, a sięgają po nią najgłupsze bandziory...

— To co taki mógłby mi zrobić?

— Uderzyć kantem dłoni w szyję i zabić. Mają też taki chwyt przez bark i szyję, który potrafią stopniować. Możesz potem trzy dni chodzić z lekko skrzywioną głową i bólem w karku. To ostrzeżenie. Poważne ostrzeżenie jest odpowiednio mocniejsze. Można potem pół roku chodzić w gipsowym pancerzu lub zostać kaleką na całe życie. A jak się jeszcze trochę dociśnię, to trup na miejscu.

Potem jednak Morsztyn dodał, żebym się przesadnie nie podniecał tą opowieścią. Zabójstw żadnych w tym środowisku jeszcze nie było. Ciężkich uszkodzeń ciała, sugerujących taką rozprawę — też nie. Lekkich zaś nikt nie zgłaszał.

— „Kto przemocą lub groźbą bezprawną...” — zacząłem cytować, ale Rysiek przerwał mi uwagą, żebym się nie wygłupiał, bo przemocy nie odnotowano, a sama groźba nie jest do udowodnienia.

— Proszę napisać — zadysponował Seweryn Derkacz — że

zamiana dolarów na złotówki jako podstawowa operacja nie jest najlepszym interesem. Pan może dobrać słowa bardziej ogólnie, w wersji, którą będę zatwierdzał.

— Nawet po tysiąc czterysta i więcej?

— To jest kurs czarnorynkowy i nas nie dotyczy. Ja rozliczam dolara po trzysta z groszami, czyli za jedną czwartą jego rynkowej wartości.

— Ale też przy transferze za granicę wymienia pan po tym kursie! Te trzysta z czymś na dolara.

— Faktycznie to na pięćdziesiąt centów, bo drugie pięćdziesiąt muszę odstąpić państwu, po tym samym, nierealnym kursie. Ale to mi się już opłaca i państwu też. Tyle tylko że się nam czyni trudności. Bezprawnie zakazuje się kupowania surowców krajowych, zmuszając do importu. Być może w ten sposób nie uszczuplamy puli surowcowej, lecz uszczuplamy dewizową. Dalej. Nie zatwierdza się nam transakcji eksportowych, uznając, że bierzemy za niskie ceny. Żadna państwowa centrala nie jest w stanie sprzedać niczego nawet za taką cenę, ale od nas wymaga się cudów. A do tego nie pozwala się nam również robić zakupów za granicą — tych samych, do których chce się nas zmusić. A przecież firmy kupują za swoje pieniądze!

Już nie nadażalem notować i zdałem się tylko na magnetofon. Przestałem nawet słuchać uważnie, zwłaszcza że do gabinetu Derkacza weszła, nie wzywana w tym momencie przez nikogo, pani Wcisło i spytała, czy panowie życzą sobie kawy, herbaty lub może jeszcze czegoś innego.

Jeśli elegancka, zadbana kobieta nie wygląda na czterdzieści lat, to ma ich zapewne więcej. Musiało to dotyczyć i jej. Skromnie, a nawet surowo ubrana, jak przystało na siłę biurową w szanującym się biurze. Uprzejma, miła, bez cienia zalotności.

— Pan redaktor Strzelczyk? — upewniła się, gdy o umówionej porze wszedłem do biura „Derpolu”. — Pan dyrektor czeka. Zechce pan tylko na chwilę spocząć, bo kończy właśnie rozmowę telefoniczną.

Z jakiejś dziewiętnastowiecznej powieści zapamiętałem, że

dżentelmen nie powinien siadać w holach i poczekalniach, bo tym jakby sankcjonuje fakt, że mu się każe czekać, co jest dlań uwłaczające. Stąd mój głupi odruch, by zawsze mówić: „dziękuję, postoję”. Po chwili jednak reflektuję się i siadam. Zbyt długo musiałbym stać w sekretariatach notabli, do których zawsze przychodziłem co do minuty. Z reguły rekompensowali mi to potem uprzejmym przeciąganiem rozmowy, poza granice mojego zainteresowania i cierpliwości, podczas gdy następny rozmówca kruszał w sekretariacie. Pani Wcisło jednakże była tak sympatyczna, że siadłem od razu, bez żadnego oporu.

Biuro „Derpolu” zajmowało duże mieszkanie w odremontowanej secesyjnej kamienicy. U drzwi wejściowych wisiała solidna miedziana tablica z wygrawerowaną nazwą firmy. Wystrój biura z grubsza pasował do wysokich pokoiów, mozaikowego parkietu, stiuków oraz rzeźbionych drzwi z mosiężnymi klamkami. Meble — Henryków robiony na Księstwo Warszawskie.

Gdy czekałem, zadzwonił jeden z telefonów na biurku pani Wcisło.

— Dobry wieczór, tu przedsiębiorstwo „Derpol” — zaczęła. — A! To pani, pani Elżbieto. Dobry wieczór... nie, nie mogę. Pan dyrektor rozmawia przez telefon i zaraz potem będzie miał ważną rozmowę. — Poczuję się z lekka podbudowany. — Mogę poprosić pani męża... proszę chwileczkę poczekać.

Wyszła zza biurka i podeszła do drzwi naprzeciwko gabinetu szefa. Kiedy je otworzyła, zobaczyłem amfiladę paru podobnych pokoi, a w nich kilka osób, wyraźnie zajętych pracą.

— Panie Henryku, telefon do pana. Małżonka...

Henryk Derkacz podszedł do telefonu wyraźnie wściekły, nie zwracając na mnie uwagi.

— Tak... ja... o co chodzi?... aha, znowu... Nie, nie powiem... załatw to z ojcem sama!

Przyglądałem mu się uważnie. Duży, zwałisty blondyn, niepodobny w niczym do ojca. Twarz, normalnie chyba bez wyrazu, teraz zacięta w coraz większym gniewie.

— Rób, jak chcesz, ale to jego dom... tak, uważam, że w

swoim domu ma prawo decydować, o której ma być kolacja. Ma być zresztą Luiza z mężem... nie obchodzi mnie, co robisz ani gdzie... ani z kim! — dodał po wyraźnej chwili wahania.

— Już powiedziałem, że nie! — teraz krzychał, — Dobrze, niech będzie, że się go boję! — i trzasnął z rozmachem słuchawką.

Gdy wyszedł do sąsiedniego pokoju, trzasnąwszy jeszcze i drzwiami, zauważyłem, że sekretarka patrzy na mnie z ujmującym uśmiechem. Zobaczywszy mój wzrok, powiedziała:

— Jeszcze raz proszę o wybaczenie. Pan dyrektor na pewno już za chwilę skończy tamtą rozmowę. Jesteśmy zawsze punktualni.

— I zawsze tak do późna pracujecie?

— Normalnie do czwartej, ale potem zostaje włączony dalekopis i telefon z magnetofonem, tak że zawsze może pan zostawić wiadomość. Pan dyrektor często pracuje do późna, wtedy lubi być sam. Wystarcza mu dyktafon, z którego nazajutrz spisuję. Czasem tylko, jak dziś, musimy pozostać wszyscy... Przepraszam najmocniej, pan dyrektor już skończył i prosi pana.

Gdy pani Wcisło podawała mi kawę, a Derkaczowi wodę mineralną, której ten wszakże nie ruszył, zauważyłem, że ma bardzo zgrabne i starannie utrzymane dłonie.

Odruchowo nieomal spuściłem wzrok, wiedząc, że dłonie i stopy ludzie często mają podobne, a jestem cokolwiek fetyszystą, jeśli chodzi o damskie kończyny — nie zaniedbując innych detali. Stopy miała faktycznie zgrabne, w otwartych pantoflach, na wysokim obcasie, i w pończochach, co było rzadkie o tej porze roku i przy tej pogodzie. Ale, jak się wkrótce zorientowałem, pryncypał wymagał od personelu należytego wyglądu. U kobiet obejmował on bezwzględnie pończochy i eleganckie obuwie, spódnice za kolana, żadnych dekoltów, fryzurę i makijaż — staranne i skromne. Panowie obowiązkowo w wyprasowanych garniturach, krawatach i czystych butach. Włosy krótkie, twarze ogolone. Razilem tu więc zapewne swymi bawełnianymi portkami, rozpiętą koszulą i pantoflami udającymi adidasy. Ale w starych grubych murach było latem

dość chłodno i dawało się wytrzymać w służbowych uniformach „Derpolu”. Kiedy wkrótce zacząłem przyjeżdżać po panią Wcisło lub odjeżdżać z nią jej fiacikiem, po wejściu do wozu zawsze zdejmowała pończochy lub podkolanówki i mówiła, że teraz dopiero wie, iż nie jest już w pracy.

Derkacz, zorientowawszy się, że nie słucham uważnie i nie notuję, mówił już wprost do mojego magnetofonu.

— Istotna jest kwestia nastawienia do nas opinii publicznej. Nie ma ona doświadczenia w odniesieniu do takiej przedsiębiorczości jak nasza, nie czuje, na czym polega sens przedsiębiorstwa nastawionego na zysk. Przecież nikt nas nie finansuje.

To właśnie należałoby wytłumaczyć — kontynuował Seweryn Derkacz — a tymczasem jesteśmy obiektem kampanii dezinformacyjnej i szkalującej, podjętej w zamiarze znalezienia łatwego obiektu krytyki. Oczywiście, może pan to złagodzić, ale sens, bardzo proszę, by został. Nie chcemy się przy tym wybielać za wszelką cenę. Rozumiem, że ludziom jest ciężko i jak widzą, że komuś w warunkach kryzysu udają się interesy, to sądzą, że on na tym kryzysie żeruje, a nie przychodzi im do głowy, że, być może, jego działalność służy akurat przezwyciężeniu kryzysu. Że nie tylko zarabia, ale coś dostarcza na rynek czy daje krajowi dewizy.

Znowu słuchałem uważnie i zaczynało mi się podobać, co stary mówił.

— Z czego więc firmy polonijne miałyby się wybielać? — spytałem.

— Proszę mi nie przerywać. Pamiętam o tym. Chodzi o ostentację, z jaką się zachowują niektórzy właściciele i ich pełnomocnicy. Każdy pracuje dla zysku i ma prawo do spożycia tego, co zapracował, lecz nie powinien z tym się afiszować. Tu niech pan nic nie łagodzi. Chcę, żeby to było powiedziane stanowczo. To demonstrowanie bogactwa nie licuje z poważnym przedsięwzięciem, które wymaga skromności i pracy. Ci bałwani muszą zrozumieć, że mają robić swoje po cichu. No! Tego zdania może pan nie powtarzać.

— Panie dyrektorze. Może parę zdań o panu. Trzeba jakoś

przybliżyć sylwetkę...

— Nie uważam za wskazane w świetle tego, co przed chwilą mówiłem. Ale może pan napisać, zobaczę, jak wyjdzie. Co pan chce wiedzieć?

— Pana doświadczenia przed powstaniem „Derpolu”?

— Nie miałem doświadczeń potrzebnych takiej pracy. Byłem zwykłym rzemieślnikiem i pracowałem na mniejszą skalę. Ale szefowie dużych przedsiębiorstw w Polsce jeszcze mniej się do tego nadają, bo nie potrafią pracować na zysk.

— Jak doszło do powstania „Derpolu”?

— Kiedy powstały możliwości zakładania przedsiębiorstw polonijnych, mój brat, żyjący stale w USA, zdecydował się je założyć. Mnie zrobił swoim pełnomocnikiem, bo zaufanie jest tutaj sprawą najistotniejszą.

— Skąd brat wziął kapitał na założenie tak wielkiego przedsiębiorstwa?

— W Ameryce nikt by takiego pytania uczciwemu człowiekowi nie zadał. Lecz proszę, mogę odpowiedzieć. Zacznę od tego, że to jest wielkie przedsiębiorstwo w Polsce, ale nie w USA. Ponadto Polska jest krajem o wiele tańszym, jeśli chodzi o inwestowanie i pracę, nawet gdy się dolara przelicza po oficjalnym kursie. Za sumę, która tam wystarczy, powiedzmy, na mały sklepik, tu już można coś większego zbudować. Więc dla człowieka, który w USA przez długie lata ciężko pracował i skromnie żył, zebranie takiej sumy jest rzeczą możliwą. A do tego brat cieszy się zaufaniem w kręgach polonijnych w Buffalo. Występuje on jako właściciel, ale parę osób powierzyło mu swoje oszczędności na ten cel, chcąc pomóc Polsce i licząc też na godziwy dochód. To nakłada na mnie dodatkowe zobowiązania.

Zamilkł i już wiedziałem, że nic mi więcej nie powie. Ciekawiło mnie, czy się domyśla, że wiem, iż z tym prostym rzemieślnikiem to była lipa. Że więcej włożył w ten biznes własnych, po cichu wytransferowanych uprzednio za granicę dolarów, niż mu dał jego brat i jego sąsiedzi z Buffalo, jeśli tacy w ogóle istnieją. I że tworzył „Derpol”, wcielając doń własne zakłady, prowadzone dotąd pod cudzym nazwiskiem. Teraz

dopiero można się było zorientować, jak wielkie jest jego imperium, chociaż zapewne nie wszystkie zakłady włączył, a niektóre rodzaje działalności podjął obecnie od początku.

Koncesja „Derpolu” zaskakiwała swoją różnorodnością, nawet jak na firmy polonijne, mające niekiedy po kilkanaście specjalności. Obejmowała ona: wyrób materiałów i elementów budowlanych oraz prace budowlane — stara specjalność Derkacza — mechanikę precyzyjną, elektronikę, uprawę warzyw i owoców wraz z ich przetwórstwem, skup i przerób płodów rolnych, produkcję konfekcji, mebli i innych wyrobów z drewna, sprzętu sportowego, naprawę samochodów i sprzedaż części do nich za waluty wymienne, dystrybucję paczek z zagranicy, obsługę ruchu turystycznego oraz usługi poligraficzne. Tego ostatniego „Derpol” jeszcze nie robił, jak i jeszcze tam czegoś, ale miał na to wszystko koncesję. Nie pytałem już Derkacza, skąd taka szeroka skala działania, bo znałem z góry odpowiedź i musiałbym uznać jej racje.

Gdy wychodziłem, pani Wcisło pożegnała mnie równie uprzejmie, jak przyjmowała, oraz podziękowała mi za przybycie. Wydało mi się, że aż takiej uprzejmości Derkacz od personelu nie żądał.

— I ja pani bardzo dziękuję.

— Pan mnie? Za co? Ja tutaj pełnię obowiązki.

— Ta propozycja kawy—herbaty nie była pani obowiązkiem. Mam doświadczenie z rozmów w biurach. To była pani inicjatywa.

Pani Wcisło z uśmiechem skłoniła głowę.

— Przejrzał mnie pan. Już dzień się kończy, a ja nie miałam jeszcze swego dobrego uczynku.

Odpowiedziałem, że bardzo mi miło, iż stałem się jego obiektem i że będę miał chyba prawo się zrewanżować, na co pani Wcisło uśmiechnęła się jeszcze uprzejmiej, lecz oczywiście bez zalotności, niedopuszczalnej wszak w biurze Seweryna Derkacza.

Siadając do samochodu-pomyślałem, że ta pani rekompensuje w pełni niesympatyczne zachowanie obu Derkaczów. Przypomniałem też sobie Elżbietę Derkacz, którą widziałem na

bankiecie w „Forum”, a z którą jej mąż tak niemiło przy mnie dzisiaj rozmawiał.

Łącząc ją w myśli z Wcisło, uświadomiłem sobie, że podobają mi się kobiety już niemłode, ale efektowne, opanowane i zdecydowane oraz że nie wiem, jak tej Wcisło się pracuje z jej szefem, ale ja na miejscu Elżbiety, na pewno nie spieszyłbym się na kolację ze starym i młodym Derkaczem.

Gdybym wiedział już wtedy, w jakich okolicznościach rozmawiała Elżbieta ze swoim mężem, rozumiałbym ją jeszcze bardziej.

Interesy rodzinne

Elżbieta Derkacz rozmawiała tego popołudnia ze swoim mężem, dzwoniąc do biura „Derpolu” z motelu - restauracji „Lido”.

Był to obiekt prowadzony przez niejakiego pana Kowalskiego, znanego ongiś — zanim się jako tako ustatkował w „Lido” — jako Pysiek, oraz przez jego żonę, o której mówiono tylko Terenia. Mieścił się za miastem, w takiej odległości, by w pół godziny można było dotrzeć tam samochodem. Wokół wszystkich większych miast pojawił się w dekadzie przyspieszonego rozwoju i wzmożonej konsumpcji wianuszek takich obiektów, mało przydatnych jako miejsce posiłku lub noclegu dla kogoś, kto tylko co z tego miasta wyruszył w podróż albo do niego z daleka dojeżdża.

„Lido” było tego rodzaju lokalem, gdzie stali bywalcy nie musieli fatygować się do recepcji ani nawet telefonować, aby z góry zamówić usługę gastronomiczną i hotelarską. Wystarczyło spojrzeć kelnerowi głęboko w oczy, a przynosił na talerzyku klucz przykryty rachunkiem. Gdyby jednak jakaś kontrola udała się do recepcji, znalazłaby tam karty meldunkowe wypełnione wedle przepisów. Ale chłopcy z miejscowego posterunku nie wpadali tu na kontrolę, lecz aby pogwarzyć z panem Kowalskim, który ich zawsze miło i gościnnie

przyjmował, oraz z panią Kowalską, równie, a nawet znacznie bardziej gościnną, a przy tym mocno seksowną brunetką.

Znałem „Lido” i znałem oboje Kowalskich. Korzystałem od czasu do czasu z ich usług, zanim nie udało się nam z moją ekszoną podzielić mieszkania, które zajmowaliśmy jeszcze jakiś czas po rozwodzie.

Obiekt został wzniesiony z pustaków alfa, kanciasty, o złej sylwetce. W środku bogato obity marną sosnową boazerią. Kowalscy pokryli ją grubą warstwą błyszczącego lakieru, utwardzonego chemolakiem, zanim im ktoś zdążył powiedzieć, że nie to jest najbardziej eleganckie i że ciemna bejca najlepiej służy lichemu drewnu. Pokoiki były dwuosobowe, wyposażone w dwa wąziutkie tapczaniki, z cienkimi materacami z gąbki, co jakby się kłóciło z ich najczęstszym sposobem użytkowania. Tak samo umeblowane były dwa pokoje dawane lepszym gościom, do których się zaliczałem. Miały one jednak aparat telefoniczny, łączony przez ręczną centralkę w recepcji — co pozwalało Tereni podsłuchiwać rozmowy, kiedy nikt jej nie obserwował — oraz brodziki i WC, a nie samą tylko umywalkę. Zważywszy, że partner Elżbiety Derkacz był w „Lido” także częstym bywalcem, musieliśmy najprawdopodobniej korzystać z panią Derkacz w tych samych celach z tych samych pomieszczeń i sprzętów, tyle że w różnym czasie i z różnymi partnerami, czego potem trochę było mi żal.

Elżbieta jest szczupła — w moim typie — a Grzegorz Sawko — Gregory dla przyjaciół — z którym akurat dzieliła tapczanik w pokoiku dla lepszych gości, to mężczyzna postawny, a do tego tyjący od pewnego czasu, gdyż zamięłowanie do jedzenia i picia łączył z niechęcią do wszelkiego ruchu, poza — jak mawiał — ruszaniem tyłkiem. Wedle dawnej terminologii można było powiedzieć, że jest rubaszny, ale lepiej pasowało tu określenie cham. W każdym razie, jak później się przekonałem, nie był dyskretny, jeśli chodzi o sprawy z kobietami. Tyle że wyszło to potem na dobre śledztwu, a i ja sporo się dowiedziałem dzięki temu.

Elżbieta była zła, bo rozmowa z mężem ją, jak zawsze, denerwowała, a do tego w czasie jej trwania Grzegorz — jak

potem zeznał — starał się przystąpić do czynów lubieżnych, przed którymi, milcząc, usiłowała się bronić w strachu, że oboje zwałą się zaraz na podłogę.

— Słuchaj, przecież ty jesteś bałwan — powiedziała po chwili z nie skrywaną wściekłością, co jego bawiło, tym bardziej że nadzy leżeli przyciśnięci do siebie, bo na tym mebelku nie było innego sposobu koegzystencji.

— Przestań, na miłość boską! — usiadła, spuszcżając nogi, żeby móc swobodniej rozmawiać. — Jak ci się ze mną znudziło, to powiedz i damy spokój. Musisz robić aferę na zakończenie? Chcesz mi wszystko rozwalić?

I sobie, bo powiem wtedy, z kim byłam.

To była groźba poważna i dla tego, kto znał Elżbietę — realna. Więc Grzegorz zaczął się dobierać do niej całkiem już serio, by jej poprawić nastrój, i odniósł swój zamierzony rezultat.

Powaga groźby polegała zaś na tym, że żona Grzegorza, Luiza de domo Derkacz, jest córką Seweryna, siostrą Henryka i szwagierką Elżbiety — tak to się dziwnie splotło. To z Grzegorzem właśnie, tego wieczoru, Luiza miała być u ojca na rodzinnej kolacji, na którą się zamierzała spóźnić Elżbieta.

Oboje, Grzegorz i Elżbieta wżenili się ongiś w rodzinę Derkaczów z tych samych pobudek i w bardzo podobny sposób. Elżbieta jak najbardziej świadomie zaszła w ciążę z Henrykiem, który jako młody chłopak był do pańienek nieśmiały. Pewno na skutek surowego wychowania. Mimo to Elżbiecie udało się — wykorzystując nieuważę starego — podporządkować sobie Henryka tak, że przy niej stawał się od niej zależny. O ciąży jednakże powiedziała mu na wszelki wypadek dopiero wtedy, kiedy było zbyt późno na jej usunięcie. Potem poszła przedstawić sprawę seniorowi, który jako człowiek starych zasad — na co Elżbieta liczyła — nakazał ożenek, nie skrywając

bynajmniej tego, co myśli o takich sposobach jego wymuszania. Henryk nie odważył się sam przyjść z tym do ojca i Elżbieta nigdy mu nie darowała tego strachu, a on jej upokorzenia, które w związku z tym musiał przeżyć.

Tak właśnie jednak młoda i na swój sposób ambitna ekspe-

dientka ze sklepu z obuwiem zrealizowała swój cel życiowy, aby nigdy więcej nie cierpieć biedy. I swój status stale ceniła, mimo coraz większej niechęci do rodziny, do której weszła.

Grzegorz Sawko, mechanik w zakładzie samochodowym, podający się panienkom za jego współwłaściciela, poznawszy Luizę i dowiedziawszy się, kim ona jest, wpadł na ten sam pomysł, który wcześniej nieco przyszedł do głowy Elżbiecie. Poszło mu łatwiej, bo nie musiał zwalczać żadnych oporów w panience. Była w mniejszym stopniu niż brat zależna psychicznie od ojca i zdecydowanie dość miała jego kurateli, a wiedziała, że z wyjściem za mąż z pewnością ona ustanie. Rozsądną rzeczą było więc to przyspieszyć i pracowała nad tym dosyć pilnie. Stary Derkacz nie dowiedział się nigdy, że jej ciąża nie była wynikiem uwiedzenia łatwowiernej panienki przez cynicznego oszusta i że córka próbowała już ten numer z różnymi panami, lecz z tym się dopiero udało. Grzegorzowi natomiast powiedziała to w czasie awantury rodzinnej, a on czynił jej z tego zarzuty podczas licznych następnych.

Co jeszcze udało mi się ustalić i zrekonstruować z sytuacji rodzinnej Derkaczów?

Otóż Grzegorz pozostał dziwkarzem i Lusia to nawet tolerowała, odkąd zorientowała się, że może mu odpłacać tym samym. Bardziej się przy tym bała, by nie dowiedział się ojciec niż mąż. Gregory wolał kobiety łatwe, lecz długo i z uporem zalecał się do szwagierki, Elżbiety. Ta z kolei była ostrożna. Ciągle się bała o swoją pozycję w domu, w którym bezwzględnie rządził teść, człowiek niezmiennie surowych obyczajów. Nie wiedziała, jak by zareagował, gdyby się dowiedział o jakimś wyskoku. A miała na to coraz większą ochotę, w miarę jak psuło się jej — zawsze w gruncie rzeczy niedobre — pożycie z Henrykiem. Rzadkie przelotne okazje z przypadkowymi partnerami, które się jej trafiały, męczyły ją i denerwowały. Doszła do wniosku, że przyjęcie niedwuznacznej propozycji Grzegorza, który się jej do tego podobał, będzie bezpieczniejsze. Jeśli ją ktoś nawet parę razy zobaczy ze szwagrem, to nie będzie z tego większych podejrzeń.

Opowiedziała to potem Grzegorzowi, jedynemu człowiekowi,

z którym ta zamknięta kobieta była cokolwiek szczerą, choć znając go mogła była przewidzieć, że w razie czego wszystko wypaple...

Stan interesów Gregory'ego w tym momencie był istotniejszy niż stan jego uczuć. Kiedy przeciągnąwszy w czasie igraszki cielesne poza granice tolerancji Seweryna Derkacza, jeśli chodzi o porę zasiadania do rodzinnego stołu, ubierali się pośpiesznie w pokoju motelu- restauracji „Lido”, Grzegorz postanowił, że opowie jej o swych perypetiach. Ona jednak tak skoncentrowała się na ubieraniu, że nie zdecydował się na zaczęcie rozmowy i pomyślał, iż poręczniej będzie pogadać w hondzie, którą odwiezie Elżbietę na parking, gdzie ta zostawiła swego malucha. Tym bardziej że wołał przyjemne rozmowy od nieprzyjemnych, a ze wszystkim, co nieprzyjemne, zwlekał zawsze jak można najdłużej.

Seweryn Derkacz tego wieczoru zdążył wprawdzie do domu na ustaloną porę kolacji, lecz przybył — co mu się raczej nie zdarzało — w ostatniej minucie, zastając zresztą tylko Henryka i jego dzieci. Elżbiety ani Luizy z rodziną jeszcze nie było.

Wkrótce po moim wyjściu z „Derpolu” zakończono w nim pracę. Szef powiedział, że wszyscy mogą już iść do domu, a zostanie z nim na parę minut pan Drapich, który prosił go o rozmowę.

Pierwszy wyjechał Henryk. Potem wyszli następni. Pani Maria Wcisło układała jeszcze dla szefa agendę na następny dzień i robiła porządek w papierach, kiedy przez jej pokój przeszedł Mateusz Drapich, udając się do gabinetu Derkacza. Uśmiechnęła się, jak zawsze, do kierownika biura, z którym pracowała od lat, a który jeszcze dłużej od niej pracował z Derkaczem, lecz zobaczyła, że pan Mateusz jest mocno zdenerwowany i nie zwraca uwagi na to, co się dzieje. Nawet nie domknął za sobą obitych skórą drzwi do gabinetu szefa...

Maria była bezwzględnie lojalną pracownicą. Wiele wiedziała i cieszyła się zaufaniem. I jeśli nawet wykraczała poza swe obowiązki, to nigdy nie wykorzystywała tego przeciw swemu

chlebobawcy, o czym jeszcze miałem możność się przekonać. W tym wypadku jednak — co tu ukrywać — podsłuchiwała rozmowę i nie był to ani pierwszy, ani przypadkowy incydent.

Umarłaby chyba ze wstydu — opowiadała mi potem — gdyby ją na tym przyłapano, ale była gotowa do cichej ucieczki, przy czym buty trzymała w ręku. Gdyby usłyszała, że któryś z rozmówców zbliża się do drzwi, by je zamknąć bądź wyjść, zdołałaby po cichutku opuścić biuro.

— Jest sprawa Kowalskiego — zaczął Drapich.

— O Kowalskim możemy jutro, w normalnym trybie. Dziś jest już późno. Chyba miałaś coś poważnego?

Drapich to jedyny człowiek, który był ze starym Derkaczem na ty. Jakieś interesy łączyły ich z czasów wojny, przy czym zawsze Drapich był wykonawcą, prawda, że zaufanym, poleceń Derkacza. Po wojnie też przechodzili bardzo skomplikowane i dramatyczne koleje. W czasach gdy władza wygrywała „bitwę o handel”.

Derkacz bywał zatrzymywany, a Drapich siedział przez jakiś czas — z powodu wspólnych spraw — przy czym nawet Morsztyn nie mógł powiedzieć, o co tam właściwie chodziło. Akta w tych burzliwych czasach nie były prowadzone ani przechowywane zbyt skrupulatnie.

To wszystko, razem z mówieniem sobie po imieniu, nie zmniejszyło dystansu między panami D. Nie prowadzili ze sobą życia towarzyskiego (zresztą obaj od lat go już unikali), nie rozmawiali nigdy o sprawach prywatnych. Derkacz nie radził się w niczym Drapicha, a ten mu nigdy niczego nie sugerował — podobnie jak inni współpracownicy.

Tego wieczora Drapich milczał, nie mogąc wyłuszczyć sprawy, a Derkacz — nie zamierzał mu tego ułatwiać.

W końcu, czując, że musi już zacząć, Drapich powiedział:

— Słuchaj Seweryn... ja... ja chciałbym już odejść...

Derkacz milczał.

— Ja już nie mogę pracować. Jestem stary, chory... zmęczony... No, zrozum, nie mogę!

— Nie musisz się tłumaczyć, Mateusz. Ja nikogo siłą nie trzymam. Możesz odejść, z jakiego powodu chcesz.

Drapich wydawał się zaskoczony.

— No, nie. Po tylu latach nie odejdę tak bez słowa, z dnia na dzień. Skończę swoje sprawy. Odejdę, jak ustalimy, że tobie jest najwygodniej.

— Nie. Jak chcesz odejść, to nie ma co ciągnąć. Od najbliższego pierwszego.

— To tak jakbyś mnie wyrzucił, Seweryn.

— Nie odwracaj sytuacji. To ty chcesz odejść. Czy jeszcze coś?

— No... coś mi się przecież należy.

— Emerytura.

— I to wszystko?

— Nie, Mateusz. Będę ci do niej dopłacał, żebyś miał tyle, ile teraz zarabiasz. Mało tego. Będę ci podnosił dodatek w miarę wzrostu cen. I jeszcze trzymiesięczną odprawę dostaniesz.

— Seweryn... Słuchaj, Seweryn, przecież ty zawsze wszystko pamiętasz. Czy zapomniałeś więc, jak umawialiśmy się na samym początku, że interes jest twój, ale jak go kończymy, to dostaję odprawę, która mi pozwoli żyć spokojnie do końca?

— Pamiętam, lecz nie skończyliśmy interesów. Ty się z nich wycofujesz.

— Bo już nie daję rady, czy możesz zrozumieć?

— Mogę. Ale to niczego nie zmienia.

— Zmienia, bo my nasze interesy ze sobą kończymy. Więc zgodnie z umową...

— Sam przypomniałeś, że interes jest mój!

Drapich zamilkł i Wcisło, myśląc, że rozmowa skończona, zbierała się już do odejścia. Ale w tej chwili usłyszała, że kierownik biura znowu zaczyna mówić.

— Poczekaj, Seweryn. Po tylu latach możemy sobie powiedzieć parę słów więcej...

— Nie widzę potrzeby. Spieszę się teraz do domu.

— Nie szkodzi. Raz przyjdiesz pięć minut później. Czy ty naprawdę też nie masz dość? Już nie jesteś tajnym nakładcą, który musi udawać płotkę. Jesteś wreszcie menedżerem, gadasz w telewizji, udzielasz wywiadów, zasiadasz w prezydiach. Każdy widzi, jak jesteś ważny. Ale większy już tutaj nie będziesz. To już jest górna kreska tego biznesu. Wiesz to

lepiej niż ja. Odtąd będzie coraz trudniej i trudniej.

— Po co to mówisz?

— Żebyś zrozumiał, że pora kończyć. Tobie i mnie. Możesz odejść w najlepszym momencie. Jutro zaczną się czepiać ciebie, tak jak już czepiają się Rózyckiego i innych. Będziesz wysyłał sprostowania, pisał „nieprawdą jest jakoby... natomiast prawdą jest, że...” i będziesz się tym bardziej pograżał, im więcej będziesz wyjaśniał. Znowu chcesz być jak dawniej marginesem gospodarczym, obcym ciałem? Tyle że już na większą skalę. Ja ci, Seweryn, nie chcę doradzać...

— Jak nie chcesz, to nie radź i kończmy już tę rozmowę! — wykrzyknął Derkacz, co Marię zdziwiło, gdyż nigdy nie podnosił głosu, nawet kiedy się bardzo gniewał.

Teraz zaczął też krzyczeć Drapich:

— Nie krzycz na mnie! Przynajmniej nie krzycz po tym, co dla ciebie zrobiłem! Czterdzieści pięć lat mogłeś na mnie polegać! Mogłeś czy nie? No, powiedz! Wszystko dla ciebie robiłem. Najbrudniejszą robotę. Siedziałem! Siedziałem, choć wiedziałem, że tracę żonę i dzieci, choć mogłem wyjść, gdybym tylko powiedział, co wiem! Może było inaczej? Wiesz, że nie było! A teraz? Pomyślałeś, że jednak za dużo wiem, i zabezpieczasz się przede mną! Boisz się, żebym choć przed śmiercią nie poczuł się samodzielny, żebym nie musiał czekać co miesiąc na pieniądze od ciebie...

W tym momencie Derkacz spokojnie wyszedł ze swego gabinetu. Czekająca na koniec rozmowy, zaskoczona pani Maria ledwo zdołała schować się za portierę koło drzwi. Derkacz się nie oglądał i ruszył do wyjścia. Drapich, zaskoczony widać jego reakcją, tkwił w gabinecie. Nie ruszył się, Maria wybiegła na schody, którymi już zdążył zejść Derkacz. Przy wyjściu na ulicę zorientowała się dopiero, że wciąż trzyma pantofle w rękę.

— No, to na razie, Elka. Leć do domu, a ja skoczę po Luśkę i po bachory i zaraz będę.

— Luśka już mogła pojechać sama.

— Ma zepsuty wóz, a taksówki nie weźmie, bo woli zrobić mi awanturę, że się przeze mnie spóźnia. Cześć — i odjechał.

Maluch Elżbiety gasł na każdym skrzyżowaniu i nie zapalał za pierwszym pociągnięciem. Trąbiono na nią i pobłyskiwano światłami. Jak zawsze ogarnęła ją wściekłość, że w rodzinie Derkaczów nie ma dla niej na przyzwoity samochód. Ale jeszcze bardziej była zła z powodu Grzegorza. Miał być kawał chłopca do łóżka, bez żadnych problemów, a teraz musi się przejmować jego sprawami. I to ze świadomością, że on sam jest winien swoich kłopotów.

Grzegorz żeniąc się z Luską był przekonany, iż łapie pana Boga za nogi i że wszelkie jego kłopoty, materialne i inne, skończą się automatycznie wraz z wejściem do klanu Derkaczów. Sytuacja była podobna jak z niewydarzonym zięciem Ojca Chrzestnego, z pewną różnicą — Derkacz, w przeciwieństwie do starego Corleone, nie uznał od razu, iż zięć nigdy nie wejdzie do rodzinnego biznesu. Po naradzie z Drapichem i mecenasem Sztarkiełło postanowił go wypróbować. Bezsprzeczne było, że nie może dalej być pracownikiem w czymś zakładzie, co się rychło wydało. Elżbieta przypomniała sobie, że ucieszyła się z tego powodu. Mogła przestać się wstydić tego, że była zaledwie ekspedientką.

Propozycja, aby teść użyczył zięciowi poważnej sumy na założenie poważnego biznesu, została z miejsca odrzucona. Stary godził się na powierzenie mu pod jego nazwiskiem, ale tylko pro forma, jakiegoś zakładu, nie zgodził się jednak, aby był to wielki, nowoczesnie wyposażony warsztat samochodowy, z wieloma kanałami i podnośnikami, zagranicznym sprzętem diagnostycznym, zapleczem i tłumem pracowników.

— Ciekawe, co powiesz, jak cię pytają, za co ten warsztat? Poradz sobie wpierw z małym, to zobaczymy. — Tę rozmowę teścia ze swoim przyszłym kochankiem zapamiętała dobrze, bo miała ona miejsce na spotkaniu całej rodziny.

Grzegorz zaczął sobie radzić. Odkąd jednak wszedł do zamożnej rodziny, utwierdził się w przekonaniu, że tkwienie w brudnym kanale nie jest jego hobby, a przy jednym pracowniku

było to dlań nieuniknione.

Próba zostania kierowcą rajdowym nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. Jazda po mieście ryczącym, podrasowanym samochodem, z nalepkami, masą reflektorów i kaskami na tylnym siedzeniu była przyjemna, kiedy się rwało dziewczyny. Ale same rajdy okazały się morderczą pracą i do tego dość niebezpieczną.

Przeprofilowanie zakładu na podrasowywanie w celach rajdowych zwykłych pojazdów niedzielnych kierowców z ambicjami też nie dało dobrych wyników. Zwłaszcza gdy kilka podrasowanych silników rozleciało się po pierwszych kilometrach i trzeba było zapłacić, zanim doszło do serii procesów.

Decyzja ta zapadła na kolejnej rodzinnej naradzie, na którą Seweryn Derkacz zaprosił mecenasa Sztarkiello. Zapłacić musiał, z braku innego wyjścia, stary Derkacz, gdyż mecenas ostrzegł, że powodom będą przysługiwały roszczenia do ustawowej wspólnoty majątkowej małżeństwa Sawko, a Luiza Derkaczówna miała w posagu co nieco do ugryzienia.

Teś zapytał wówczas Grzegorza, czy mu przypadkiem nie załatwić jakiejś państwowej posady. Był to wyraz najwyższej pogardy w jego ustach. Pod tym warunkiem godził się anulować długi. Córka, Luśka, dostała jednak ataku hysterii, Grzegorz obiecał, że się weźmie w garść i podźwignie. Na tym stanęło, ale stary zapowiedział, że odtąd nie chce mieć niczego wspólnego z jego interesami, natomiast czeka na spłatę. Na tej to właśnie naradzie Elżbieta poczuła się solidarna z gnębionym Grzegorzem, takim samym jak ona biednym intruzem w tej zamożnej rodzinie. Uczucie to wyraziła zgodnie z jego życzeniem — poszli ze sobą do łóżka wkrótce potem.

Od tego momentu zaczął się handel. Niby jeszcze coś naprawiano w tym warsztacie, ale żaden przypadkowy klient żadnej naprawy się nie doprosił. Wpierw obracano tam częściami. Potem można było „u Gregory'ego” sprzedać i kupić samochód. Wtedy jednak w warsztacie zaczęli się pojawiać inspektorzy z izby skarbowej oraz — co gorzej — funkcjonariusze. Zanim jednak doszło do pierwszej sprawy o

paserstwo, powiadomiony swoimi kanałami mecenas Sztarkiełło zjawił się z własnej inicjatywy u Seweryna Derkacza z ostrzeżeniem.

Stary powiedział, że nie chce Grzegorza znać ani tym bardziej widzieć. Mecenas wziął sprawę we własne ręce, pochodził gdzie trzeba — bo był to jeden z tych adwokatów, którzy nie mniej potrafią załatwić w urzędzie niż w sądzie — i Gregory został koncesjonowanym pośrednikiem od handlu samochodami. Miał jednak przykazane, aby wpieryw oglądał papiery, a potem wóz.

Wreszcie Sawko znalazł się w swoim żywiole. Nieprzyjemną stroną tego biznesu było to, że chcąc w nim naprawdę zarobić, należało pracować. Elżbieta zrozumiała to od razu, kiedy zaczął jej podczas schadzek opowiadać, na czym polega ten interes. Ale Grzegorz zupełnie się z tym nie liczył, mimo jej mentorskich napomnień.

Czekanie aż jeden klient przyprowadzi bombowy wóz, a drugi przyjedzie go kupić, nie dawało zbyt wielkich rezultatów. W tej branży trzeba, okazuje się, pochodzić za dobrą transakcją.

Poza tym należy wiedzieć, kiedy brać w komis, a kiedy kupować na swój rachunek. I jeszcze ważniejsze — wiedzieć, z kim i jak takie transakcje załatwiać. Jeśli pośrednik jest leniwy, nie chce się uczyć biznesu, to lewą ręką i przez sen zarobi na luksusowe życie w pojęciu przeciętnego obywatela, lecz do prawdziwych pieniędzy nie dojdzie. Tak właśnie było z Grzegorzem. A jeśli jeszcze do tego będzie lekkomyślny, to znajdzie się w sytuacji takiej jak właśnie Grzegorz — pomyślała, ruszając spod światła.

Sprzedał on dobre cztery sztuki w komisie, z czego trzy od jednego dostawcy. Grzegorz nie pytał, skąd się biorą tacy hurtownicy i dlaczego korzystają z jego pośrednictwa. Zwalniają go z biegania za interesem. Sprzedawszy, Grzegorz nie spieszy się z oddaniem pieniędzy, dostawcy zresztą nie nalegali na pośpiech i nie sprawdzali, czy wozy sprzedane. To Grzegorz ich ma zawiadomić. Tydzień w te, tydzień we w te, nie powinno robić różnicy. W tym czasie może coś podlecieć, i podlatuje. Grzegorz kupuje następne wozy. Za nie swoją

gotówkę, otrzymaną ze sprzedaży poprzedniej partii. Nowemu dostawcy spieszy się akurat do pieniędzy i godzi się na niską cenę, byle od ręki. Godzi się też, aby wozów nie przerejestrowywać na Grzegorza, bo po co płacić podatek od dwóch transakcji. Zarejestruje się od razu na następnych nabywców, a tymczasem figurują jako własność innych ludzi — nie tego, który je faktycznie dostarczył. Grzegorz poczuł się królem życia. Luśce kupił w Pewexie perfumy, Elżbiecie — jakiś złoty drobiażdżek, który ta musiała starannie ukryć przed mężem.

Pojawiają się rychło kupcy, których nęcą te golfy, fordy, toyoty. Oglądają, targują się, ale w końcu ustalają ceny, płacą zaliczki i chcą finalizować transakcję, czego — okazuje się — zupełnie nie można zrobić. Formalni właściciele, figurujący w dowodach rejestracyjnych wozów, są nieuchwytni. Faktyczny dostawca też jest przez jakiś czas nieuchwytny, potem "coś długo kręci, aż wreszcie mówi, że on się wycofuje z transakcji, bo mu się odmieniło, bo się dał panu Sawko oszukać. Wziął — mówi — śmiesznie małe pieniądze, gdyż nie wiedział, ile te wozy są warte, a pośrednik tę jego niewiedzę wykorzystał. Pieniądze te, owszem, odda, ale ratami, jeśli pan Sawko pójdzie na rękę i wozy wyda natychmiast.

Nie wyda? To pójdzie meldunek na MO. Z dowodów rejestracyjnych wyniknie, czyją są one własnością. Ukryje je? Będzie się procesował o zwrot pieniędzy? Mają jego kwity, że wstawili mu wozy... w komis. Więc albo wozy, albo im jeszcze raz za nie zapłaci. Jednocześnie przylatują niefortunni nabywcy i też żądają tych samochodów albo zwrotu zaliczek w podwójnej wysokości. Machają kwitami i umowami wstępnymi.

Robi się piekło, ale Grzegorz wie, że najgorsze jeszcze nie nastąpiło. Następuje, gdy pewnego dnia zjawia się wcześniejszy dostawca samochodów już sprzedanych w komisie i żąda forsy lub zwrotu samochodów, które Grzegorz już lege artis sprzedał. Po kilku dniach przychodzi ktoś taki jak Zbynio Komandos i mówi, że chyba trzeba płacić, bo byłoby żal, gdyby się tu miało coś złego przytrafić. Takie ładne wózki stoją, a mógłby je jakiś wandal porysować, porznąć opony i siedzenia, rozbić szyby,

pogmerać łomem w silnikach. I to jeszcze nie jest najgorsze, bo w następnym terminie ktoś potraktuje pana Sawko tak jak te wozy. PZU da parę groszy za wozy, ZUS — za Sawkę, ale chyba się nie będzie kalkulowało.

Sytuacja taka w prywatnym biznesie zdarza się niesłychanie rzadko. Na ogół milionowe transakcje są załatwiane na słowo, warte więcej niż papier z największą liczbą pieczęci. Lecz te zasady obowiązują wśród ludzi, którzy wiedzą, że ich nie wolno naruszać. Przepisy podatkowe i wszelkie inne to co innego. Jednakże w prawdziwych interesach, tych między sobą, obowiązuje solidność. Natomiast gdy ktoś idzie na łatwiznę i lewiznę w rozumieniu środowiska, to' podpada pod inne reguły, jak to się stało z kochankiem Elżbiety Derkacz.

Wie ona, że w gruncie rzeczy jego sytuacja nie jest aż tak dramatyczna, choć okolicznościami przypomina porachunki w gorszej części Brooklynu. Naruszenia nietykalności samochodów i powłoki cielesnej można jeszcze uniknąć. Przed wszystkim — oddać te wozy. Jakąś część pieniędzy przy tym odzyska. Musi też zaraz rozpocząć spłacanie. Państwo Sawko mają jeszcze dwa własne niezgorsze wozy, spory warsztat, z urządzeniami, w dobrym punkcie, willę z cennymi rzeczami, luksusowy dom letniskowy, trochę dolarów na koncie i jeszcze więcej w „banku ziemskim”. Pani Sawko ma sporo biżuterii i trochę futer — wszystko razem warte te parę groszy. Jeśli jednak większość tego majątku pójdzie na spłacenie roszczeń, to zostanie im chyba na mieszkanie w bloku i perspektywa na... posadę państwową, bo z interesów Grzegorz będzie ostatecznie wyeliminowany. I jakby w tym celu funkcjonuje ten cały mechanizm.

Elżbieta zdaje sobie sprawę, że Grzegorz na nic innego nie zasługuje, a Luśka z dziećmi ją mało obchodzi. Jeśli jednak ten dureń ma pozostać jej kochankiem, to musi mieć jakiś standard. Nie będzie przecież za niego płaciła rachunków. A gdyby miała się z nim związać na stałe, to tym bardziej należy mu stworzyć warunki.

Tak myśląc, nie wiedziała, że ma już dodatkowe kłopoty. W „Lido” była z Grzegorzem drugi czy trzeci raz. Jego znano tam

dobrze jako stałego bywalca, a z kim przyjeżdżał, to Kowalskich nie obchodziło. Mówili do niej „pani Elu” i przyjmowali jak dobrą znajomą, choć o niczym istotnym nie rozmawiali. To byli fachowcy w branży i traktowali tak wszystkie parki. Każdy gość miał się czuć u nich miło i uniknąć skrępowania, co dobrze znałem z własnych w „Lido” pobytów. Ale rozmowę Elżbiety z firmą „Derpol” i z mężem, Derkaczem juniorem, Terenia, swoim zwyczajem, podслуchała. I aż gwizdnęła z wrażenia. Następnie poleciała powiedzieć to mężowi, który mruknął: — Siedź cicho, to nas nic nie obchodzi — i Terenia przyznała mu rację.

Jednakże jeszcze tego samego wieczora zorientowali się, że wiadomość ta może ich bardzo obchodzić. Albowiem w tym samym czasie, kiedy Elżbieta otwierała bramę, by wjechać swoim fiacikiem na teren posesji Derkacza, na parking motelu-restauracji „Lido” wtaczał się wielki, czarny mercedes starszego pana Derkacza. Solidnie utrzymany model sprzed paru lat, bo Derkacz uważał, że po to mercedes jest, żeby nie trzeba go było co roku zmieniać. Pan Stasio, aktualny następca Zbignia Komandosa odwiózł swego szefa do domu i teraz przyjeżdżał, by w jego imieniu zrobić Kowalskim propozycję nie do odrzucenia.

Umowa

— Dobry wieczór. Jak ojciec się czuje?

— Muszę cię zmartwić. Dobrze.

Rozpoczęty w ten sposób wieczór rodzinny nie zapowiada się na ogół zbyt sympatycznie. Do tego, że u teścia jest mało zabawnie, Grzegorz był już przyzwyczajony. Tym razem jednak chciał tutaj coś załatwić i wolałby miłszą atmosferę na wejściu.

— Ależ, tatusiu! Co tatuś mówi — usiłowała ratować sytuację Luiza — przecież wszyscy tatę kochamy...

Szczebiotanie tłustej, niemłodej kobiety na nikim nie zrobiło dobrego wrażenia.

— Spaskudzi wszystko, kretyńka — pomyślał Grzegorz, a senior rodu oświadczył, że wszyscy oni mogliby sobie zaoszczędzić wyrażania uczuć rodzinnych, natomiast wiedząc, że mu na tym zależy, przyjść na kolację o tej porze, o której się ją jada w tym domu od pięćdziesięciu lat.

Potem jedzono, milcząc, gdyż Seweryn Derkacz uważał, iż wnuki są zbyt małe, by poruszać przy nich sprawy rodzinne.

Przy jedzeniu Grzegorz na chwilę zapomniał o swych kłopotach, bo u Derkaczów jadano smacznie, co było osiągnięciem obsługującej ten dom pani Justyny. Przy deserze jednak przypomniał sobie o czekającym go dziś zadaniu.

Było więcej niż wątpliwe, by stary pomógł mu w czymkolwiek, lecz Grzegorz miałby sobie za złe, gdyby przynajmniej nie spróbował. Kiedy więc wszystkie bachory grzecznie podziękowały, pocałowały dziadka w policzek i poszły się bawić do pokoju dzieci Henryka, Grzegorz spytał teścia, czy by nie mogli ze sobą porozmawiać na osobności. Właśnie ma taką trudną sprawę i nikt inny mu jej nie rozwikła.

— Ja ci jej też nie rozwikłam. Nie mamy co mówić na stronie. Trzeba było słuchać, kiedy chciałem rozmawiać. Teraz rób, co uważasz.

Grzegorz wiedział, że jest po herbacie, ale Luśka rozryczała się, swoim zwyczajem. Stary siedział nieporuszony, a na jej wyszlochane pytania, za co wykarmi swoje dzieci, odpowiedział, że to jest właśnie ta czarna godzina, na którą dostała nieco biżuterii w posagu. Od tego momentu Luska już nic nie mówiła, ale ryczała nadal, aby niejako nie wyjść ze zwarcia, nie dać sytuacji się skończyć.

Henryk i Elżbieta milczeli przez cały czas. Kiedy jednak Seweryn Derkacz zrobił ruch wskazujący, że zbiera się do odejścia, Elżbieta odezwała się spokojnie i cicho:

— Czy nie można by tej sprawy raz jeszcze spokojnie przedyskutować?

— Ależ Elżbieto! Jak możesz? — ocknął się nagle Henryk i widać było, że jego strach jest zupełnie nie udawany.

— Mogę. Jestem prawie dwadzieścia lat w tej rodzinie i chyba nabrałam już jakichś praw. Nie wnikam, w jaki sposób

Grzegorz doprowadził do tego stanu, lecz skutki mogą rzutować na całą rodzinę.

— Pozwolisz może, że ja coś powiem — odezwał się Seweryn Derkacz. — Możecie spokojnie dyskutować, o czym zechcecie, byle beze mnie. Sprawa jest rodzinna, ale pieniądze moje. A ja od dawna nie mam niczego wspólnego z panem Sawko i jego interesami.

— Chwileczkę — znów zabrała głos. Elżbieta — to chyba nie całkiem jest tak.

— Przestań natychmiast! — wrzasnął Henryk.

— Cicho! Rozmawiam z ojcem, nie z tobą — i wtedy się naprawdę zrobiło cicho.

— To prawda, że firma jest ojca — mówiła dalej — ale nie tylko ojciec w niej pracuje. Henryk też pracuje w niej całe życie. Czy ojciec mu płaci pensję, żeby powiedzieć: masz, co ci się należy i nie wtrącaj się do reszty?

— Elka! — Henryk już tylko jęknął.

— Jeszcze chwileczkę. Siedemnaście lat tu milczałam. Otóż ja i Henryk za każdym razem musimy prosić o pieniądze u ojca. Na ubranie, benzynę, na rower dla dziecka, na dom i zakupy. Jesteśmy rodziną, nie rozliczamy się między sobą. W porządku. Ale wtedy proszę nas nie traktować jak wyrobników bez prawa głosu!

— To kolej na mnie — zauważył Seweryn Derkacz. — Lepiej było, Elżbieto, pomilczeć jeszcze, bo teraz powiem, jak jest naprawdę. Przecież nie musicie tu siedzieć, jeśli wam to nie odpowiada. Henryk mógł iść na posadę, mógł założyć własny interes. Tylko ciekawe, czy byście mieli więcej niż to, o co teraz musicie mnie prosić? I wcale bym go nie wydziedziczał, gdyby ode mnie odszedł. Jakbym zobaczył, że sobie daje radę, to bym wiedział, komu mogę wszystko przekazać. Ja po ojcu dostałem jedynie cymę, nawet niezłotą, i to musiałem ją dać żandarmowi, by mnie wypuścił z łapanki. A wy sobie żyjecie u mnie, czekacie na spadek i jeszcze wam źle, że was się nie słucham czy za mało wam daję. Albo może za długo żyję?

— A jak ty uważasz, Henryku — spytała Elżbieta. — Czemu nie mówisz?

— Bo ma jeszcze trochę rozumu w głowie — odrzekł za syna stary. — Wystarczy, jak my ze sobą porozmawiamy. Starłaś się, żeby wejść do tego domu, tyle że teraz czekanie za długie? Co? Ale się nie śpiesz, bo tak długo Henryk się z tobą nie rozwiedzie, dopóki mieszkacie ze mną. Wiedziałaś, że nie pozwolę na nieślubne dzieci w rodzinie, to wiedz, że nie pozwolę też na rozwody. Ale się nie skarż, że źle cię traktuję, bo nie chcę ładować pieniędzy w twojego szwagra!

I na tym się wieczór rodzinny skończył. Starszy pan przypomniał, że o tej porze wychodzi na swój codzienny spacer i wyszedł, żegnany chóralnym „dobranoc, ojciec”. Potem Elżbieta głosem równie spokojnym jak przedtem spytała Henryka, czy to prawda, że chce się z nią rozwieść, na co nie uzyskała wiążącej odpowiedzi, lecz też nie nalegała na nią. Przy tym temacie ruszył się Grzegorz i stwierdził, że pora do domu. Zaczęło się wyciąganie pary jego dzieci z pokoju dwóch najmłodszych Derkaczów. W tym czasie Luśka ścisłała i obcałowywała Elżbietę, by wyrazić jej wdzięczność, za to, że ta się narażała ojcu. Wreszcie rodzina Sawków wyszła, razem z Elżbietą, która oświadczyła, że się przejedzie z nimi kawałek, a potem wróci spacerkiem, bo boli ją głowa.

Henryk został w salonie sam. Pani Justyna już dawno spała w swoim pokoiku i pewne było, że przed ranem żadna siła jej nie obudzi. Z góry, z pokoju chłopców, dobiegał głuchy łomot muzyki rockowej, bo wiedzieli, że dziadka nie ma w domu. Dziadek nie cierpiał tej muzyki i nie uważał, by słuchanie jej godzinami przez młodzież było wskazane. Jego despotyzm wystarczał wszakże tylko na to, by ta muzyka nie wydobywała się z ich pokoju w jego obecności. Nie zdobył się na skasowanie płyt, taśm i aparatury hi-fi. Henryk i Luiza w ich wieku byli kontrolowani skuteczniej.

Ten łomot sprawił, że Henryk nie od razu usłyszał delikatne pukanie w szybę drzwi, szeroko otwartych na taras.

— Panie Derkacz — usłyszał niecierpliwy szept — no, co jest, na Boga Ojca? Mamy do pogadania.

Zbynio Komandos z uśmiechem wkroczył do saloniku.

— Wiem, jak się tędy chodzi. Cały wieczór czekałem, aż się wszyscy rozejdą. Ale cyrk, co, panie Derkacz? No, teraz, myślę, to pan kupuje moją ofertę.

— Proszę mnie zostawić w spokoju! Pan zwariował! — Henryk podnosił głos na Zbynia, który dla niego nadal był nieznanym.

— Pan tu nie robi teatru, panie Derkacz — te jego słowa Henryk potem zrelacjonował żonie, ta powiedziała kochankowi, a ten je powtórzył w zeznaniach, być może nawet dosłownie.

— Pan przecież dobrze wie, że ja nie jestem wariat. To uczciwie skalkulowany biznes. Pana rzecz przyjąć go lub odrzucić. Wie pan, jak jest w interesach: nie gniewamy się na propozycję. Ni na odmowę.

— Skąd się pan wziął z tą swoją... propozycją?

— Widzę, że jednak porozmawiamy, panie Derkacz.

Pan Stasio nikogo nie zauważył w recepcji, więc na zapach i gwar ruszył w kierunku części gastronomicznej motelu-restauracji „Lido”. Restauracja ta, poza serwowaniem intymnych obiadków i kolacyjek, służyła także jako wytworny lokal dla miejscowej ludności. Odkąd jednak nowa ustawa przeciwalkoholowa drastycznie obcięła marże na alkohol, pojenie tubylców stało się mniej lukratywne, a zmuszanie ich do zamawiania pełnokalorycznej zakąski okazywało się ponad siły państwa Kowalskich.

W związku z tym skończyło się piwko, podawane już teraz tylko gościom do pokoi, a czystej wódki było tyle tylko, aby wypito ją do siódmej wieczór. Feeria zagranicznych trunków za barem wyglądała, jak zawsze, wspaniale, ale to u miejscowych nie szło. Zamożni ogrodnicy, owszem, pijali je, ale w lepszych lokalach. Państwo Kowalscy pracowali więc teraz nad tym, by hołota nie zasiadywała się do późna, skoro to nie przynosi profitu.

Dlatego też pan Stasio wszedł już do prawie pustego lokalu. Przy paru stolikach goście sposobili się do wyjścia, a za barem

piękna Terenia nie miała ani jednego klienta.

— Co dla pana? — spytała, kiedy człowiek Derkacza stanął przy barze.

Ten jednak zamurowany wpatrywał się w jej biust, do czego Terenia była przyzwyczajona i z uśmiechem czekała, aż gość wypowie swoje życzenie. Była nim rozmowa z panem Kowalskim.

— Kazek! — krzyknęła, odwracając się w stronę zaplecza — do ciebie! — a gdy dobiegło do niej jakieś mruknięcie, powiedziała do Stasia — pan idzie! — i wskazała mu drogę.

Odrywając z niechęcią wzrok od jej biustu, ruszył korytarzykiem w stronę kuchni, lecz po drodze jakaś ręka wciągnęła go do małej, jaskrawo oświetlonej komórki, zawalonej stosami skrzynek.

— Kowalski, słucham — wyciągnął doń rękę nieduży blondyn, o sympatycznym i budzącym zaufanie uśmiechu.

Polska jest krajem, w którym hotelarz i knajpiarz może wyjść na swoje będąc ponurym drabem o zniechęcającej aparycji. Ale farmazon, szuler i inny niebieski ptak musi budzić sympatię i zaufanie. I ten walor Pysiek miał zawsze. Dlatego też chętnie siadano z nim do pokerka Poza tym szulerem był przeciętnym. Wpadał więc dosyć często, po czym bili go, nieraz dotkliwie.

Proceder ten mu się jawnie nie kalkulował, ale nie wiedział, czym go zastąpić, dopóki po kolejnym pobiciu nie zlitowała się nad nim i nie wzięła go w swoje ręce Terenia. Od tej pory prowadzili „Lido” przez dobrych już parę lat. Pyśka szybko zapomniano w środowisku karcianym, a on niemal zapomniał o kartach. Czasami grywał z gośćmi, lecz Terenia pilnowana, by nie wygrywał zbyt wiele i nawet zdarzało się, że mówiła, komu się ma zgrabnie podłożyć. „Lido” nie miało być szulernią i kojarzyć się komukolwiek ze stratą.

Kiedy teraz pan Stasio, wysoki i chudy, w sposób podpatrzony na filmach gangsterskich rozwalił się, a raczej zawisł na niewielkim krzeselku i zaczął wolno i niedbale mówić, że przysłała go właśnie pan Derkacz, bo jest taka niewielka sprawa, Kowalski od razu poczuł się dawnym Pyśkiem i ze smutkiem pomyślał, że znów może być bity, od

czego zdążył się już odzwyczaić. Na razie jednak jako człowiek obdarzony dużą zdolnością wyczuwania bliźniego — empatia w kartach rzecz podstawowa — zorientował się, że dobrze będzie odegrać z przybyszem całą scenę, wedle scenariusza, z którym tamten przyjechał.

— Pan się napije?

— Nie, jestem w pracy.

— To szkoda, bo sam pić nie lubię. Co to za sprawa?

— Należy się nam parę groszy, panie Kowalski.

— Panu?

— Pan się nie zgrywa. Ja mam tylko przywieźć pieniądze.

— A jak pan nie przywiezie?

— To zgłoszę się jeszcze raz. Ale to już będzie inna rozmowa.

— Pan straszy?

— Pan nie będzie dziecko. Pan wie, co jest grane, panie Kowalski.

— Musiałbym pomówić z panem Derkaczem.

— Pan Derkacz właśnie mnie przysłał. On nie rozmawia w takich sprawach.

— A pan Drapich?

— Drapich już z panem rozmawiał. Trzeba mu było płacić. Ze mną jest inna mowa. Panie Kowalski, ja panu naprawdę szczerze radzę zapłacić.

— A jak nie mam?

— Co mnie to obchodzi? Było się martwić wcześniej. Zresztą nikt pana nie stawia pod murem. Może pan sprzedać tę budę firmie „Dorpol” i po herbacie.

— A szmal?

— Do rozliczenia. Te sprawy to przyjedzie załatwiać Drapich, tylko powiedz pan, że się zgadzasz. I bez kawałów, bo jak ja będę musiał znowu przyjechać...

W tym momencie tokujący goryl pana Derkacza zorientował się, że jego rozmówca już od pewnej chwili patrzy w drzwi, za jego plecami. Zdał sobie sprawę, że zapomniał o regule zakazującej siadania tyłem do drzwi. W drzwiach nie stał jednak inny gangster ze spluwą — co by mu się za ten błąd należało — tylko mile uśmiechnięta barmanka.

— Oj, panowie, panowie. Za moich czasów to się takich spraw nie załatwiało o suchym pysku... co mi mówisz, że pan odmówił?... trzeba było zaraz mnie wołać. Chyba jeszcze nie jestem taka, żeby mi dżentelmen odrzucał propozycję.

Stasio wiedział, że powinien być opanowany, zimny i cyniczny, ale biust Tereni kusił go niesamowicie, a ostatnie słowa wypowiedziała głosem niskim, namiętym, patrząc mu przy tym głęboko w oczy.

Kowalski się wyraźnie ożywił:

— No właśnie, właśnie, trzeba by jakoś porozmawiać do sensu, nie w tej komórcie, oczywiście...

— Już lepiej zostaw to mnie — rzekła Terenia, na co Kowalski, że z chęcią zostawi, że w końcu po to człowiek się żeni, żeby miał kto z niego kłopoty zdejmować. Po chwili przypomniał sobie, że przecież i tak miał jechać do Warszawy, to teraz musi tym bardziej, bo trzeba przecież jakieś pieniądze...

— Znowu się schlejesz — warknęła Terenia.

— To wytrzeźwieję — i już go nie było.

— Zawsze tak, kiedy są jakieś sprawy! Dwa dni go teraz nie będzie. No, ale co ja panu jeszcze będę truła rodzinnymi sprawami, panie... panie Stasiu. Pan pozwoli jeszcze na chwilę do barku, bo muszę zakończyć na dzisiaj. Napije się pan jednego... nie, nie ma mowy, taki duży mężczyzna, pan chyba żartuje... Nigdzie pan dzisiaj nie pojedzie, zaraz zrobię kolację, porozmawiamy... jest pan gościem firmy, rzecz jasna, ... ale nie... nie o to chodzi, czy pan ma pieniądze, czy nie ma, ale że ja chcę pana ugościć i przenocować, a pan, rzecz jasna, może się zrewanżować...

Gdyby człowiek Derkacza nie był tak napalony i głupi, zorientowałby się na pewno, że jest już wydany i stracony. Na Terenię zresztą nie było sposobu.

Ja ją pamiętałam sprzed lat, z innych, lepszych od „Lido” barów. Potem miała jakieś poważne przykrości, trochę nawet siedziała, aż związała się z Pyśkiem Kowalskim i zatrzymała w „Lido”. Wszystkie bary, w których kolejno pracowała, nazywano wśród bywalców „Pod Wydatnym Biustem” albo też

prościej — „Pod Cycem”. Terenia zawsze eksponowała swe pyszne piersi, ogromne, pełne, uniesione w jakiś przemyślny sposób i wydekoltowane aż po brodawki. Wysoka koafiura z pomalowanych na kruczoczarny kolor włosów pozwalała szyję traktować jako wysoką i smukłą. Twarz miała bardzo ostro zrobioną, usta jaskrawo pomalowane, w uszach ogromne złote kolczyki. Było na co popatrzeć.

Reszta urody chowana była za kontuarem, i słusznie. Gdy trzeba było wyjść na salę, Terenia wkładała niesamowicie wysokie koturny, na których drobila, kręcąc dosyć zalotnie pupcią, budzącą również uznanie panów. Za barkiem stała zawsze na podwyższeniu i wydawała się w miarę postawną kobietą. Czasem zapominała się i w nerwach wylatywała boso na salę, a wówczas trudno było się nie zgodzić z brutalnie wypowiedzianą opinią, że jest to „kurdupel na kaczych łapach”.

Powiedzenie, że Terenia jest kobietą łatwą, mijало się jakby z istotą sprawy. Zaprzyjaźniłem się z nią nieco bliżej, wkrótce potem jak ruszyło „Lido”. Przyjechałem, zająłem pokój i czekałem na przyjazd panienki, który nie następował. Zatelefonowałem, by usłyszeć jakąś nędzną wymówkę i zapowiedź, że na pewno następnym razem.

Po chwili weszła do pokoju Terenia z buteleczką koniaku i słowami, że chyba zrobi mi dobrze, bo wygląda na to, że nikt do mnie dziś nie przyjedzie. Oczywiście podsłuchiwała moją rozmowę i nawet nie próbowała tego ukrywać. Rozczuliła mnie tak daleko posunięta troska o gościa... W środku nocy spytałem, co na to mąż. Usłyszałem, że to jej mąż, a nie mój, a zatem nie moje zmartwienie. To mnie wzruszyło jeszcze bardziej. Przyjeżdżałem potem niekiedy sam, uzgodniwszy to przez telefon z Terenią. A kiedy przyjeżdżałem nie sam, byłem zawsze mile przez nią witany.

Kiedy dowiedziałem się o perypetiach długiego pana Stasia w motelu-restauracji „Lido”, zrozumiałem że był od razu ugotowany. Chłopak miał powodzenie i sporo panienek, ale dopiero Terenia pokazała mu, jak może być dobrze z kobietą, jeśli jest ona zmysłowa, doświadczona i... zakochana, bo sprawa była poważna i wymagała pójścia na całość. Mąż więc

był już tylko nieszczęśliwym przyjacielem, którym się musi opiekować, utrata „Lido” groziła obojgu jakimś koszmarnym niebezpieczeństwem i takie różne... Były już łzy, próby zerwania — odejdz, przynoszę nieszczęście! — próby samobójstw, po czym znowu wybuchy szalonej namiętności. Stasio kupował. Po jakimś czasie i on by się musiał tym znużyć, ale rzecz była grana na krótką metę. Kowalskim chodziło o odroczenie egzekucji, dopóki znajdzie się trwalsze wyjście. A wiedzieli, że Derkacz nie będzie zbyt długo czekać.

Już później okazało się, że nie zamierzał on raczej łamać Pyśkowi kości z powodu zaległych rat, chciał go natomiast spławić z motelu. W rozliczeniu Kowalscy pewnie by jeszcze coś dostali. Derkacz postanowił bowiem skorzystać z koncesji na hotelarstwo i przerobić „Lido” na luksusowy hotel dla wycieczek Polaków z Ameryki.

Po otrzymaniu meldunku Stasia, że sprawa ruszyła, nie pytał przez jakiś czas o jej przebieg. Stasio spędzał wszystkie wolne chwile z Terenią, ale w pracy się nie opuszczał, więc szef niczego nie zauważył. Zbliżał się jednak termin, który Derkacz wyznaczył na sfinalizowanie sprawy i Stasio zapewnił, że wszystko będzie w porządku. Od tego momentu zaczął się bać, bo wiedział, że szef nie zapomni o tym terminie. I że niczego nie wybacza, a już szczególnie gdy go własny pracownik świadomie wprowadza w błąd.

Następny dzień w biurze „Derpolu” zaczął się od tego samego, czym się skończył poprzedni, od rozmowy Drapicha z Derkaczem. Gdy Drapich wchodził do gabinetu szefa, pani Wcisło uśmiechnęła się do niego najmilej jak mogła, on się odwzajemnił uśmiechem i starannie zamknął za sobą wygłuszające drzwi. Pani Maria wzięła więc jakiś papier dla szefa, weszła, przeprosiła, powiedziała, że to jest pilne i wyszła nie domykając drzwi do końca. W tej sprawie postanowiła być czujna, chociaż nic nie miało wynikać z jej wiedzy, poza skrytym współczuciem dla pana Mateusza.

Panowie nie powracali jednak do wczorajszego tematu.

Derkacz powiedział, że od Kowalskiego już zażądał pieniędzy i ten chyba się zgodzi wycofać z „Lido”. Na razie więc nie ma o czym rozmawiać. I jeszcze jedno. W tym „Lido” mieszka lub bywa Zbigniew Korzycki... tak, ten sam. Otóż prosi on Mateusza, by się z nim spotkał dyskretnie, w żadnym wypadku tam, i wręczył mu dwieście dolarów gotówką, z jego, Derkacza, prywatnych pieniędzy. Bez pokwitowania i poza wszelką księgowością.

— Przepraszam, Seweryn, zrobię, jak zechcesz, rzecz jasna, ale czy on cię nie szantażuje?

— Nie wiadomo, kto kogo by szantażował. I nie na tak drobną sumę. Niewielka bieżąca przysługa. Nic poważnego, Mateusz, nie przejmuj się.

Henryk był tego dnia jeszcze bardziej ponury niż zwykle, na co Maria zwróciła uwagę. Miał sporządzić wykaz produktów, które „Derpol” chciał eksponować w tym roku w Poznaniu, uzgodnić z dyrekcją targów termin ich dostarczenia i podpisać umowę z plastykiem, autorem ekspozycji. Właściwie było to w gestii działu handlowego, lecz dział ten miał pilną i ważną umowę na dostawę mikromieszadeł laboratoryjnych dla służby zdrowia, czemu szef nadawał duże znaczenie. O targi nie dbał, gdyż uważał, że kosztują, nie dając żadnych wymiernych efektów, i traktował je jako zło konieczne. Dlatego też zajmował się nimi Henryk.

I pani Maria zdała sobie sprawę, że ten człowiek, syn i chyba następca szefa, nie ma żadnej roboty, za którą byłby odpowiedzialny, o niczym nie może decydować, nikomu niczego polecić. A stary traktuje go gorzej niż innych. Nie mogła jednak jakoś zdobyć się dlań na współczucie, choć w części takie jak dla Drapicha.

Odebrała telefon do Henryka. Mężczyzna, który go prosił, nie przedstawił się, lecz głos jego wydał się jej znajomy. Henryk podszedł, jakby się ociągając.

— Ach, to pan... No tak, pamiętam, że miał pan dzwonić... nie... jeszcze się nie zdecydowałem, to znaczy nie wiem jeszcze, czy będę w Poznaniu... No, nie wiem!... Proszę zadzwonić później!

Kiedy odkładał słuchawkę, stał już przy nim Seweryn Derkacz. — Jak to, nie wiesz, czy będziesz w Poznaniu? Przecież ci poleciłem jechać. Zmieniłeś plany?

Stary mówił pełnym głosem, przy otwartych drzwiach do dalszych pomieszczeń. Wszyscy musieli to słyszeć.

— Nie, nie zmieniłem. Jadę.

— To dlaczego mówisz, że nie wiesz? Kogo wprowadzasz w błąd?

— To taka moja sprawa.

— W moim biurze? Pani Mario, niech pani łaskawie przy każdym telefonie pyta, kto dzwoni i, w miarę możliwości, w jakiej sprawie.

— Tak jest, panie dyrektorze.

I w tym akurat momencie wkroczyłem do biura „Derpolu” z serdecznym uśmiechem dla pani Wcisło i lekkim ukłonem dla Seweryna Derkacza.

— Nie umawialiśmy się na dzisiaj — powiedział.

— Nie, lecz obiecałem, że przyniosę wywiad do autoryzacji, zaraz jak będzie gotów. Zamierzałem go tylko zostawić.

— Szybki pan jest. Proszę do mnie, przeczytam od razu. Pani Maria poda nam kawę.

Moje notowania u Seweryna Derkacza wyraźnie wzrosły.

Pani Maria parzyła kawę chyba w superekspresie, co znaczyło, że dobrze wiedziała, jak niezręczna to sytuacja w gabinecie, kiedy rozmowa jest już skończona, a kawa nie dopita, albo — co gorsza — nie podana.

Gdy zamknęła za sobą drzwi, Derkacz powiedział:

— W porządku. Nie mam uwag do treści, a forma to pana sprawa.

— Cieszę się. Sądzę, że przepcham tekst szybko. Gdyby były jakieś zmiany, to zgodnie z umową...

Skinął głową, więc szybko dopiłem kawę, lecz nie zamierzałem wychodzić, ponieważ wczoraj, późnym wieczorem, zadzwonił do mnie Rysiek Morsztyn.

— Andrzej, ja do ciebie w sprawie Korzyckiego, tak, Zbysia Komandosa, o którym ze mną mówiłeś.

— To raczej nie na telefon — odpowiedziałem odruchowo.

— Nie wygłupiaj się. Zapomniałeś, z kim mówisz. Jak będziesz rozmawiał z Derkaczem, powiedz mu, że go widziałeś w pobliżu niego. W miarę możliwości nie zwlekaj. Dobrze?... No, to dziękuję ci. Cześć.

Teraz właśnie rozmawiałem z Derkaczem.

— Panie dyrektorze. Jedna sprawa nie związana z tym wywiadem.

— Słucham.

— Kiedyś przypadkowo zetknąłem się ze sprawą pańskiego pracownika, Korzyckiego.

— Pamiętam. Był pan ławnikiem na sprawie.

Muszę przyznać, że trochę mnie tym zaskoczył.

— Nie przypuszczałem, że mnie pan pozna.

— Zawsze pamiętam i poznaję. Ale czemu pan o tym mówi?

— Otóż widziałem niedawno tego człowieka.

— No i co z tego? Daliście mu panowie tylko trzy i pół roku.

— Ale ja go widziałem w Kazimierzowie, na otwarciu fabryki „Santexu”. Ustaliłem, że pan Różycki ani nikt inny go nie zapraszał.

— Niewiele z tego wynika, panie redaktorze, ale dziękuję za informację, choć wątpię, by miała ona jakiś związek z moją osobą.

Kiedy się ruszyłem, by wstać. Derkacz przytrzymał mnie gestem.

— Teraz ja mam do pana sprawę. Cenię ludzi, którzy pracują szybko i dobrze. Zakładam też, że poinformował mnie pan o Korzyckim, licząc, że mi to będzie użyteczne. To też cenię w ludziach.

Skinąłem głową.

— Pan wie, że „Derpol” ma koncesję na usługi poligraficzne. Zamierzam je uruchomić i jednocześnie rozszerzyć koncesję na uprawnienia wydawnicze. Chcę wydawać materiały informacyjne i reklamowe na cudze zlecenie, żeby wykonywać nie tylko druk, lecz także prace redakcyjne i graficzne. Będę też publikował książeczki dla dzieci, kalendarze... oczywiście bez jakiegokolwiek pornografii. To wykluczone. Myślę raczej o treściach religijnych.

Pomyślałem, że na tym można zarobić nie mniej niż na gołych panienkach, nie licząc odpuszczenia grzechów.

— Dowiadywałem się już i sądzę, że mi na to pozwolą. Mogę, oczywiście, wynająć do tej roboty, kogo chcę, ale łatwiej uzyskam zezwolenie, gdy odpowiednie instancje będą wiedziały, że powierzyłem to jakiemuś zweryfikowanemu dziennikarzowi.

— Rozumiem.

— Proszę potraktować to, co mówię, jeszcze nie jako propozycję, lecz jako sondaż. Czy pan ewentualnie przyjąłby u mnie taką pracę?

To było to, na co czekałem od dawna. Wpierw u Leszka, który jednakże robił tylko w konfekcji, potem — co tu ukrywać — u Derkacza, choć nie wiedziałem, że zamierza być również wydawcą. Po prostu czułem, że jeśli można się gdzieś załapać i coś zarobić bez kapitału, to tylko w tym polonijnym sektorze. Dlatego rozwścieczył mnie ten idiota W., gdy zaczął głośno pytać o to, do czego ja w myślach nie chciałem się przyznać przed samym sobą.

— Musiałbym o tym pomyśleć — odpowiedziałem.

— To jasne. Wiem, że ma pan kontakty z dyrektorem Różyckim, lecz z tego powodu nie musi pan mieć skrupułów. Rozmawiałem z nim o panu. On nie ma dla pana porównywalnej propozycji i polecił mi pana. Chcę w miarę szybko wiedzieć, czy mógłbym na pana liczyć, gdyby rzecz dochodziła do skutku. Warunki pracy i płacy omówimy, rzecz jasna, później. Dopóki pan się nie wycofa, nie będę rozmawiał z innymi kandydatami.

— Jeśli tak, to moją wstępną zgodę pan ma.

— Dziękuję. To mi na dzisiaj wystarczy. I jeszcze jedno, panie redaktorze. Byłbym zobowiązany za dyskrecję. W tej sprawie i w związku z Korzyckim. To nie było dla mnie przyjemne i wolałbym, by więcej nie łączono tej sprawy z moim nazwiskiem. Myślę, że mogę na pana liczyć.

Gdy wychodziłem, poza panią Wcisło nie było nikogo w sekretariacie.

— Dziękuję za dzisiejszą kawę. Była jeszcze smaczniejsza.

— Dziś na wyraźne polecenie Pan słyszał.

— Dla mnie to była taka sama przyjemność. Czy chrześcijańskie uczucia nie nakazują pani dać mi szansę na zrobienie takiego samego dobrego uczynku wobec pani?

— Czy w ten skomplikowany sposób usiłuje mnie pan zaprosić na kawę?

— Tak.

— Nie umawiam się z klientami biura, ale skoro odwołał się pan do uczuć chrześcijańskich...

— To zadzwonię z konkretną propozycją szybciej, niż się pani spodziewa — powiedziałem z myślą, że zadzwonię jeszcze dziś, ale że w tej chwili korzystniej będzie potrzymać ją w lekkiej niepewności, czy się rzeczywiście umówię. Podszedłem do niej i ukloniłem się w taki sposób, że musiała mi podać dłoń, którą z szacunkiem ucałowałem.

W tej chwili przypomniałem sobie, że tym razem jestem tu w garniturze, koszuli z krawatem i w wyczyszczonych butach. „Are you looking for job, aren't you?” spytały mnie znajomi w USA, kiedy pierwszego dnia przybyłem do nich w ten sposób ubrany. Teraz pomyślałem, że chyba odruchowo wybrałem się szukać zajęcia i to właśnie u Seweryna Derkacza.

Wkrótce po moim wyjściu Seweryn Derkacz znowu stanął koło biurka pani Wcisło.

— Henryk!

W ten sposób nigdy nie postępował — pomyślała Maria — nie krzyczał i raczej wołał do siebie, do gabinetu. Dlaczego dzisiaj jest taki?

— Słucham, ojcze.

— Trzeba potwierdzić zamówienie na powierzchnię wystawową w Poznaniu.

— Już potwierdziłem.

— Sam?

— Nie. Po rozmowie z plastykiem.

— Nie wiedziałem, że on został szefem firmy.

— Przecież to nieważna sprawa. Techniczna. Nie chciałem

ojcu zawracać głowy.

— Pozwolisz, że ja będę decydował, co jest ważne w „Derpolu"! Jaką powierzchnię zamówiłeś?

— Czterysta metrów kwadratowych. Tyle wynika z liczby eksponatów, plus konieczność ich podziału na branże, oprawa plastyczna...

— Masz z czego zapłacić za tę powierzchnię i plastykowi za to, że zrobi to, co należało do woźnego? Bo „Derpol" nie ma!

— Więc co mam robić?

— Teraz dopiero pytasz? Ograniczyć powierzchnię do stu pięćdziesięciu metrów i zmienić umowę z plastykiem.

— To niemożliwe, proszę ojca. Jak będę wyglądał? Co powiem plastykowi i tam, w Poznaniu?

— Powiedz, co zechcesz. Najlepiej, że podjąłeś niekompetentną i samowolną decyzję. Czyli to, co wszyscy i tak będą wiedzieć.

— To może już nie ma sensu, żebym jechał do Poznania?

— Pojedziesz. I weźmiesz Elżbietę, żebyś miał z kim chodzić na przyjęcia i nie próbował się łajdaczyć!

Tego dnia raz jeszcze ten sam, znajomy Marii głos spytał, czy pan Henryk Derkacz nie mógłby podejść do telefonu. Na pytanie, zadane zgodnie z poleceniem szefa, rozmówca odpowiedział, że się nazywa Kozicki i dzwoni w sprawie Targów Poznańskich.

Henryk znowu podszedł do biurka pani Wcisło.

— Aha, to pan... tak jest, wyjeżdżam do Poznania. Będę tam na dwa dni przed otwarciem targów i przez cały czas ich trwania. Tak jak powiedziałem... tak... wszystkie ustalenia obowiązują.

Ta rozmowa zaintrygowała cokolwiek panią Wcisło. Jej zaintrygowanie wzrosło jeszcze bardziej, gdy po jakimś czasie ten sam człowiek zadzwonił znów i poprosił o rozmowę z panem dyrektorem, Sewerynem Derkaczem. Maria już sobie przypomniała, czyj to był głos. Dzwonił kolejno do obu Derkaczów Zbyszek Korzycki, ten sam chłopak, który po fatalnym wypadku z oplem poszedł na parę lat do więzienia, a któremu szef kazał dziś dać dwieście dolarów.

Kobiety

— Jestem samochodem!

— Przede wszystkim jesteś dżentelmenem. A dżentelmen wypija w południe whisky. Tak zbudowano Imperium Brytyjskie. A poza tym — dodał Leszek, rozlewając do szklaneczek — nikt cię nie będzie podejrzewał o picie w samo południe. Cipulek! — to było do aparatu na biurku — nie wpuszczaj nikogo ani mnie nie łącz przez jakiś kwadrans, bo będziemy konferować z redaktorem o ważnych sprawach.

Obyczaje w biurze „Santexu” bardzo różniły się od standardu, jaki Derkacz narzucał w „Derpolu” i muszę przyznać, że były sympatyczniejsze. Damski personel, jak wspominałem, był wystrzałowy, bo Leszek dbał, aby choć oko było na czym położyć. Poza tym baczył, by się nie spoufalać z personelem. Dziewczyny nosiły się tutaj, jak chciały; podkreślały, co miały do podkreślenia, a latem, jak teraz, odsłaniały, co było można, a nawet więcej. Chłopcy — bo inne określenie, bez względu na wiek, tutaj nie pasowało — też nosili się luźno i sportowo, z tym że były to rzeczy drogie i eleganckie, a także czyste. Wszyscy do wszystkich, w tym również do bossa, mówili „ty”, gdyż to, zdaniem Leszka, usprawniało komunikację. Trzecia osoba w języku polskim, zwłaszcza gdy zachowa się tytułaturę, wymaga doprawdy zbyt wielu słów.

Pracowano przy tym szybko i sprawnie. Parę osób, które nonszalancję rozciągnęły również na obowiązki, Leszek wywalił bez żadnej dyskusji.

Zewnętrznie biuro niczym nie przypominało typowego polskiego urzędu, w którym zadęcie na wysoki połysk współżyje z biedą i łataniną. Stały tu metalowe biureczka i także segregatory, obrotowe krzeselka, a prawie wszystkie meble na rolkach. Dużo też było elektrycznych maszyn do pisania, kalkulatorów i wszelkich biurowych gadżetów, barwnych i wpadających w oko. I oczywiście komputer z jakąś

drukarką. Na podłodze miękka kolorowa wykładzina, na ścianach kalendarze: barwne, pomysłowe i przeważnie frywolne.

— Masz mnie teraz w ręku — powiedział boss, gdy rozsiedliśmy się ze szklaneczkami. Miło jest naruszać nową ustawę alkoholową...

— Przeciwalkoholową.

— Niech będzie przeciw. Więc miło jest, ale możesz mnie, jako kierownika zakładu, zapuszkować na dwa lata, samemu zaś wywinąć się grzywną.

— Możesz mi się okupić.

— Właśnie zamierzam to zrobić. Mam dla ciebie informację, chyba coś wartą, jeśli zamierzasz pracować w „Derpolu”.

— Słucham.

— Wspominałeś o niejakim Korzyckim, gdyśmy wracali z Kazimierzowa.

— Wspominałem.

— Pamiętasz, prosiłem mojego Józia, by się czegoś o nim dowiedział?

— Tak?

— Otóż ten facet mieszka teraz w motelu „Lido”, do którego pewno wpadałeś z panienkami. Ten motel to jest faktycznie własność Derkacza, który chce go przerobić na wysoki standard. Pewnie będzie chciał spławić tego, kto go teraz prowadzi. Nie wiem, czy twój Komandos trzyma z tym Kowalskim, czy też ma go stamtąd wysiudać. To stary kumpel Kowalskich, a raczej Kowalskiej, co może rzutować na sprawę. W Kazimierzowie chyba mu chodziło nie o mnie, a o Derkaczów. Chodzi po ludziach i pyta o nich. Nie wiem, co to ma znaczyć, ale albo on znowu robi coś dla Derkacza, albo mu robi koło pióra.

— Ale to chyba sprawa Derkacza, a nie moja. Nawet gdybym pracował w „Derpolu”.

— To jeszcze nie wszystko, co ci chciałem powiedzieć. I nawet nie najważniejsze...

Przerwał i nie pytając nalał po jeszcze jednej szklaneczce.

— Andrzej, czy jak sądziłeś wtedy tego człowieka, to zwróciłeś

uwagę, kogo on przejechał?

— Jakiegoś emeryta. Ale to nieistotne.

— Może pamiętasz coś więcej?

— Zdaje się, że był to jakiś samotny reemigrant z USA.

Przypadkowa ofiara.

— Tego nie byłbym pewien.

— Co?

— Słuchaj uważnie. Byłem wtedy za granicą i miałem kontakty z Derkaczem. Więcej. Byłem jego człowiekiem w Wiedniu.

— Co robiłeś?

— Przysyłałem towary do jego zakładów. Kulki do długopisów, paski do zegarków, tworzywa sztuczne, wszystko, co było potrzebne. Szedłem do stałych hurtowników i mówiłem, ile czego mają posłać oraz na jaki adres.

— Jak płaciłeś?

— Dolarami, rzecz jasna. Dolar włożony w ten biznes dawał po sprzedaniu towaru w Polsce średnio dwieście złotych lub więcej. Kosztował zaś u nas na czarnym rynku — nie wiem, czy jeszcze pamiętasz — około setki albo niewiele więcej. Potem nawet przejściowo staniał.

— Ale trzeba było przemycić dolary na Zachód.

— Albo wytransferować.

— Przez takich emerytów z USA?

— Chwytasz. Też tak robiłeś?

— Nie doszedłem do tego, żeby wywozić. Jeździłem, by zarobić i przywieźć. No, ale mów dalej.

— Dziadkowie i babcie wprawdzie wpłacali swoje amerykańskie renty Polsce Ludowej i brali po siedemdziesiąt dwa złote. Taki był kurs pekaowski, z którego im pozwolono korzystać, bo normalnie cudzoziemcy musieli wymieniać po jakieś dwadzieścia parę. Za sto dolarów, bo i takie renty bywały, już nawet zdechnąć w USA nie było można, a u nas za siedem dwieście samotna osoba mogła zadawać szyku.

— Pamiętam, Leszek. Mów, o co naprawdę chodzi.

— Ci ludzie umieli liczyć i szybko skombinowali, że czarny rynek płaci więcej niż Pekao, ale się bali sprzedawać dolce na

rogu, a krewni i znajomi za bardzo ich chcieli wycyckać. Wtedy trafiał się im człowiek Derkacza i dawał po stówie za każdego dolara.

— Którego oni przekazywali tobie.

— Nie bezpośrednio. Wpłacali swe renty na konto w wiedeńskim banku, z którego je podejmowałem i przekazywałem hurtownikom.

Zauważyłem, że Leszek nalewa trzecią kolejkę i nawet nie próbowałem protestować.

— Właścicielem formalnym konta był Polak z Ameryki, emeryt, mieszkający w Polsce. Szef całej grupy. On brał złotówki od Derkacza dla wszystkich.

— I mógł dysponować kontem w Wiedniu.

— Derkacz pilnował jego i mnie. W banku było zastrzeżenie, żeby nie honorować żadnych czeków czy upoważnień tego emeryta poza wystawionymi na mnie, na określoną kwotę miesięcznie. Ale konto było imienne i nie można było odmówić prawa dysponowania nim właścicielowi, gdyby ten się zjawiał osobiście. I tylko to mogło być niebezpieczne. Gdybym, powiedzmy, ja sprzeniewierzył pobraną kwotę, to on w następnym miesiącu wstrzymałby wszystkie wypłaty. Ale gdyby on chciał zdefraudować te sumy, to upłynęłyby długie miesiące, zanimby Derkacz odnalazł tych emerytów i nie wiadomo czy wszystkich. Tylko ten emeryt miał z nimi kontakt — on się także pilnował.

— ... Mógłby więc zgarnąć te pieniądze.

— Właśnie. Więc Derkacz miał z nim umowę, że on nie wyjedzie z Polski, dopóki trwa ten proceder. Trzeba powiedzieć, że dla emeryta wyjątkowo korzystny. Ale to nie było gentlemen's agreement. Za te pieniądze pośrednik musiał zdeponować u Derkacza swój amerykański paszport. Na co dzień taki cudzoziemiec ma dokument stałego pobytu w Polsce i to do wszystkiego wystarczy. Do paszportów Amerykanie nie są tak przywiązani jak my. I słusznie. Derkacz może nie zdawał sobie sprawy, jak prosto ambasada amerykańska traktuje meldunek o zagubieniu paszportu i jak szybko wystawia duplikat. Ten facet, gdy go kierowca Derkacza przejechał, miał

już nowy paszport i zabukowany samolot do Wiednia, Kapujesz?

Teraz ja zacząłem rozlewać *four roses*, bo właśnie piliśmy bourbona, zupełnie nie myśląc o uzupełnieniu lodu, który dawno roztopił.

— No i co dalej?

— Nic. Jak skazywałeś Komandosa, to nie wynikała sprawa denata. Oczywiście, mógł to być zupełnie niesamowity zbieg okoliczności, wszelako...

— ... wątpi Kościół Boży. Interes Derkacza, człowiek Derkacza, samochód Derkacza...

— Musisz być ostrożny z Derkaczem, Andrzej. Od tamtego czasu interesów z nim nie prowadzę.

— Powiedziałeś, żebym się porozumiał z Ryśkiem Morsztynem.

— I to był błąd, ale się stało. Poza tym, ja nic nie wiem, ty nic nie wiesz.

— Myślisz, żeby mu tego nie mówić?

— A ty jak myślisz? Ja nie jestem zainteresowany w wywekaniu tych spraw. A jeśli chcesz u Derkacza pracować, to chyba nie masz co go pogrążyć.

— Chyba masz rację.

— Myślę, że mam. A poza tym, mam do ciebie interes. Zanim będziesz człowiekiem „Derpolu”, możesz dla mnie wykonać jeszcze jedną lukratywną robótkę.

W tym momencie Leszek zauważył, że go przestałem słuchać i że wpatruję się w drzwi. Weszła przez nie, widocznie pokonawszy opór Cipulka, kobieta podobna do właścicielki „Santexu”, której zdjęcie znałem z robionej przeze mnie broszurki. Ta jednak była o wiele atrakcyjniejsza. Skromnie ubrana, bardzo zgrabna, o prześlicznej twarzy, nawet nie uśmiechniętej, ale roześmianej. Kolor włosów i wiek — nieokreślone, to jednak nie miało żadnego znaczenia.

— Och, Lucille! — krzyknął zobaczywszy ją Leszek i rzucił się do całowania jej dłoni.

— Rozumiem, że już jestem za stara, byś wciąż ze mną sypiał, ale pocałować można nawet prababcie — i Lucille (od tej pory

nie mogłem o niej myśleć jako o madame Sanders) serdecznie wycałowała się z Leszkiem.

— Przecież to ty wygoniłaś mnie z łóżka i do dziś to uważam za krzywdę.

— Doskonale! Zawsze wiedziałam, że się potrafisz znaleźć. Och, mój Boże! Za to ja zachowuję się jak barbarzyńca. Nie zwracam uwagi, że nie jesteś sam i nawet nie spytałam, czy mówi pan po francusku. A może mówi pan po angielsku? Lub po niemiecku? — spytała, przerzucając się z francuskiego kolejno na dwa wymienione języki.

Ukloniłem się, odpowiadając po angielsku, że najlepiej mi się mówi w tym właśnie języku. Leszek natychmiast przedstawił mnie jako swojego kolegę ze studiów i wieloletniego przyjaciela oraz dziennikarza współpracującego owocnie z firmą „Santex”. Rozmowa toczyła się już wyłącznie po angielsku.

— Już wiem. To pan napisał moją hagiografię w broszurce o firmie. Wzruszyłam się czytając o sobie tyle dobrego Leś — to słowo powiedziała miękko, całkiem poprawnie po polsku — żeby ten tekst znalazł się w moim nekrologu. Ale... chłopcy! Chyba nie zamierzacie skończyć tej butelki beze mnie.

— Przepraszam cię — powiedziała do Leszka, gdy siedliśmy w trójkę ze szklaneczkami napełnionymi świeżym lodem i kolejną porcją bourbona — za ten niespodziewany najazd. Na ogół nie zaskakuję moich kochanków i moich plenipotentów. Miałam przyjechać za parę dni i oczywiście zadzwonić przedtem, ale miałam interesy w Madrycie i Rzymie, a Rzym mi wypadł i nie chciałam czekać czy lecieć znów do Paryża. A dodzwonić się do ciebie nie mogłam ni z Madrytu, ni z waszego lotniska.

— Jesteś tutaj u siebie, Lucille — powiedział Leszek.

Wstałem, mówiąc, że jest mi miło i już nie będę przeszkadzał, ale Lucille niezwykle naturalnym i ciepłym gestem chwyciła mnie za rękę.

— Niech pan zostanie, na miłość boską! Panowie coś omawiali, a ja wpadłam bez zapowiedzi. Za to tylko na chwilę. O interesach jeszcze porozmawiamy, jeśli to będzie konieczne, a teraz pojedę do hotelu wykapać się, przebrać i coś przekąsić. Aha, Leś. Wiem, że u was jest straszny kryzys i nawet

przywiozłam ci coś do jedzenia, ale chyba nie jest tak źle, abys mnie nie wziął wieczorem gdzieś na kolację? A może zaprosisz swojego przyjaciela?... Doprawdy, niech się pan nie wymawia z grzeczności. Ja nie jestem kurtuazyjna, on to potwierdzi. Jakbym nie chciała z panem jeść kolacji, to bym tego nie powiedziała... aha... no, jeśli kobieta, to rozumiem i nie nalegam.

Potem poprosiła Leszka, aby jej wezwał taksówkę, bo już miała kłopoty z dojechaniem z lotniska, a Leszek powiedział, że każe ją odwieźć, najlepiej nie do hotelu, ale do niego do domu, gdzie będzie najmilszym gościem.

— Już nie te lata, żebym mieszkała u mężczyzn. Zwłaszcza gdy mają mnie traktować z daleko idącą delikatnością. Aha! — to było do mnie — musiałam na samym początku zrobić mu wymówkę, że przestał być dla mnie czuły, odkąd nie jest moim kochankiem. Przepraszam, że zawracam głowę osobistymi sprawami, ale żeby pan nie pomyślał, że mieliśmy jakieś tajemnice, mówiąc przy panu po francusku.

Był to ostatni moment, kiedy powinienem był powiedzieć, że choć po francusku mówię słabo, to jednak wszystko dobrze rozumiem, po dwóch pobytach na winobranii połączonych z wypadami do Paryża. Lecz już mi było niezręcznie i nie zrobiłem tego.

Spotkanie z kobietą nie było bynajmniej wymówką, gdyż na ten wieczór umówiłem się z Marią. Nie miałem specjalnie skryzalizowanych poglądów na temat jego spędzenia, ale na wszelki wypadek zrobiłem porządek w swoim M-2, co i tak należałoby kiedyś uczynić. Sto dolarów za usługę dla PPZ „Santex” pozwoliło mi na wizytę w Pewexie, po której w barku i lodówce było co trzeba: whisky, koniak, żyto, gin i parę paczek dobrych papierosów.

Za sto dolarów życia sobie nie zmienię, więc niech je przynajmniej ubarwię na chwilę — pomyślałem. Krystynie dałem alimenty na kwartał z góry, co znaczyło, że przez ten czas będzie mi oszczędzone comiesięczne miotanie się, aby chociaż tę płatność uiścić w należyтым terminie i ustalonej

wysokości, jak na dżentelmena przystało. Trzydzieści tysięcy na dwoje dzieci nie było już sumą dżentelmeńską, ale ani ja, ani Krystyna nie poruszaliśmy tego tematu.

Po tych wydatkach zostało mi jeszcze parę luźnych groszy w kieszeni, które twardo postanowiłem wydać na ulotne przyjemności. Nie zaliczało się do nich uregulowanie któregoś z długów, kupno czegoś z ubrania ani nawet jakiejś części do mojej sypiącej się zastawy. Natomiast mógł się zaliczać wieczór z kobietą, w czasie którego człowiek by nerwowo nie przeliczał w głowie po kilka razy rachunku, jaki trzeba będzie zapłacić, i nie biegał do toalety, sprawdzać, czy ma odpowiednią ilość pieniędzy.

Prawdę powiedziawszy, to ten element pauperyzacji najbardziej mi dokuczał w całym kryzysie. Dawniej, ilekolewiek zarabiałem, to też zawsze mi brakowało pieniędzy, nie było jednak tak, bym nie mógł zaprosić kobiety na obiad, kolację albo i do nocnej knajpy, a tym bardziej pójść tam z kolegami. Teraz trzeba było zacząć się miarkować z chodzeniem na kawę. Byłem rzadkim okazem wśród moich kolegów, który się nie pchał na każdy wyjazd za granicę. Nie dlatego, bym nie lubił oglądać świata, lecz dlatego, że mierzilo mnie liczenie centów albo fenigów i zastanawianie się, czy mam wydać na piwo czy siusiu. A teraz ta wredna sytuacja dopadła mnie w kraju, mimo że pracowałem znacznie więcej niż dawniej.

To był też powód, dla którego ze skrywaną zazdrością myślałem o ludziach robiących coś istotnego w biznesie polonijnym. Wygodne domy i sprzęty, sprawne przynajmniej – samochody, dobre jedzenie, wyjazdy zagraniczne, owszem, lecz przede wszystkim to poczucie luzu, gdy się człowiek porusza po mieście i życiu, tak niezbędne dorosłemu mężczyźnie.

Mimo to, a może dlatego, postanowiłem absolutnie nie myśleć o niedawnej propozycji Derkacza. Przyjemność wieczoru z Marią miała być oparta na wielkoduszności firmy „Santex”, a nie hipotetycznych apanażach „Derpolu”.

Stawiła się z derkaczowską punktualnością, lecz w stroju, za który by w „Derpolu” na pewno poleciało po premii. Wystawało spod niego górą i dołem dużo, a wszystko opalone, jak na ten

gorący czerwiec przystało. Należy komplement przyjęła skinieniem głowy, a skomentowała później, już w innych okolicznościach.

— Skoro mi się tak przyglądałeś, to chciałam ci się pokazać. Spostrzegłam nawet, że spojrzales na moje stopy, gdy podawałam kawę — stąd te sandały.

Stwierdzenie, że o tej porze, przed wypiciem kawy, dobrze by było zjeść kolację, Maria przyjęła ze zrozumieniem, mnie zostawiając wybór lokalu. W grę, jeśli chodzi o mnie, mogła wchodzić teraz nawet „Victoria”, lecz pomyślałem, że niezależnie od niskiej efektywności zainwestowanej tam w pobyt złotówki, dla prawdziwie eleganckiej kobiety nie byłaby to z mej strony propozycja w najlepszym stylu. Powiedziałem więc, że z dawnych czasów pamiętam, iż można było nieźle zjeść we „Wrzosie” na Młocinach i w „Baszcie” w Pyrach. Ze Śródmieścia, w którym teraz jesteśmy, mamy równie daleko tu jak i tam. Obojętne mi jest, dokąd jutro pojedę po swój samochód, bo teraz nie będziemy łąpać taksówki.

— Zapraszali mnie panowie, gdy byłam młodsza — stwierdziła — i tu, i tam. A teraz dokąd?

Prawdę powiedziawszy, wolałbym Pyry, bo rano, z Ursynowa, miałbym tam bliżej. Poza tym gdyby sytuacja stawała się rozwojowa, to poręczniej by było zaciągnąć do siebie Marię z bliższej o wiele „Baszty”. Ale zdecydowałem, że będę elegancki i stanęło, niestety, na „Wrzosie”.

Wieczeraliśmy sobie na werandzie. Jedzenie było takie sobie, ale do wytrzymania. Napoje — jak Pan Bóg przykazał: wódeczka, wino, koniaczek. Nieskapo, ale też bez natrętnego dolewania. Ogólnie miło. Kiedy kolacja już w naturalny sposób wygasła, kelner pisał rachunek, a ja myślałem, jak zagaić na temat wspólnego spędzenia reszty wieczoru, z sali wyszli, trzymając się pod rękę, Leszek z Lucille. Lucille była ubrana, czy rozebrana, podobnie jak Maria. Tak samo promienna i opalona i tak samo, no prawie tak samo, młoda. Z Leszkiem, w najgorszym dla siebie wypadku, wyglądała na rówieśnicę.

W ten sposób znaleźliśmy się jednak w „Victorii”, dokąd Leszek nas wszystkich zdecydowanie zaprosił, zapewniając

Marię, że nie wyda jej przed Derkaczem.

— Czuję się, będąc z panią, pani Mario, jakbym wszedł w szkodę. Ale jeśli ktoś mu doniesie i będzie miał pani za złe, ma pani posadę w „Santexie”.

Trochęśmy tańczyli, więcej pili. Robiło się z każdą chwilą przyjemniej. Po jakimś czasie wszyscy byliśmy już na ty. Leszek napomknął, że moglibyśmy jeszcze kontynuować zabawę u niego, lecz nie zostało to podchwyczone. Ja w każdym razie byłem za zajęciami w podgrupach.

Potem usłyszałem, jak Leszek i Lucille mówią ze sobą po francusku, nie wiedząc, że ich rozumiem. Po chwili tej rozmowy już mi zupełnie nie wypadało jakkolwiek zareagować.

— Już chyba pójdę do łóżka — zaczęła Lucille.

— Mam nadzieję, że ze mną.

— Ta rozmówka już była dzisiaj. Wiem, że można na ciebie liczyć.

— Jako na mężczyznę!

— Nie wątpię. Ale na to już muszą liczyć inne.

— Ależ Lucille, wyobraź sobie, że ja to mówię jak najbardziej poważnie.

— Nie uwierzę, póki cię nie będę mieć w łóżku.

— Więc już chyba szybko uwierzysz.

— Doprawdy, Leś? — widać było, że coś w niej pękło. — Przecież ja w gruncie rzeczy dlatego tu przyjechałam. Zwlekałam. I parę razy cofałam się z drogi. Wiem, że już swoje przeżyłam. I z tobą też. Czemu ja się tak czepiam życia i mam tak mało wstydu i woli? Przecież rozumiem, że cię stawiam w przymusowej sytuacji, że rano będzie nam obojgu paskudnie. I do tego idziemy do łóżka po alkoholu...

— Lucille, skończ wreszcie te idiotyzmy - przerwał jej Leszek.

— Ja już od lat nie robię tych śmiesznych ruchów na trzeźwo!

Kiedyśmy się z nimi rozstali i czekali, aż podjedzie taksówka, spytałem Marię, czy zna francuski.

— Urodziłam się we Francji, mam tam rodzinę, jeżdżę do nich co dwa, trzy lata.

— Więc mi powiedz, co oni ze sobą mówili.

— Nie. Wstyd mi, że ich w porę nie uprzedziłam. To zbyt

intymne, by rozpowiadać dalej.

Wtedy przypomniałem jej, że właściwie ją zaprosiłem na kawę i najwyższa pora, by to zrealizować. Kawa, niestety, może już być tylko u mnie.

— Za moich czasów w tych okolicznościach zapraszało się na herbatę. Prawdę powiedziawszy, to miałam zamiar podziękować, powiedzieć, że może następnym razem. Ale przed chwilą zmieniłam zdanie.

— Pojedziesz do mnie?

— Do mnie, jeśli ci nie robi różnicy. Zakładałam, że masz sympatyczne mieszkanie, ale zbyt dużo nowych elementów naraz stresuje mnie. Poza tym doceniam, że nie nalegałeś, abyśmy poszli do „Baszty”, mimo że mieszkasz na Ursynowie. Ode mnie, z Żoliborza, będziesz miał bliżej po samochód.

Nie należę do ludzi, dla których śniadanie podane do łóżka jest oznaką najwyższego komfortu, gdyż lubię wpierw się umyć i ubrać, a potem dopiero śniadać. Lecz nie każdy musi wiedzieć, że jestem takim wyjątkiem, zwłaszcza iż nie zrobiłem zastrzeżenia. Musiałem więc docenić śniadanie przyniesione nam przez Marię. Szczególnie kiedy spojrziałem na zegarek.

— Nie wyślą gońca, by sprawdzić, co z tobą się dzieje?

— Zadzwoiłam mówiąc, że przyjdę później lub wcale.

— I co podałaś jako przyczynę?

— Nic. Nie muszę się tłumaczyć. Skoro nie przychodzę, to widać musi to być coś ważnego.

— Nie przypuszczałem, że w „Derpolu” panuje taki liberalizm.

— Nic podobnego. Panuje surowa dyscyplina. Ale do mnie pan Derkacz ma zaufanie, bo go nie nadużywam.

Trochę mnie zdziwiło, że mówi o nim „pan Derkacz”, co jest rzadkie u pracowników w nieoficjalnych, przecież, okolicznościach.

— Dawno pracujesz u Derkacza?

— Dawno. Odkąd musiałam przerwać studia i zacząć pracować. — Potem dodała, że prośba: „Opowiedz mi coś o

sobie" należy w naszej sytuacji do rytuału, tak jak zaproszenie na herbatę, i jest na to przygotowana...

Ojciec Marii umarł we Francji, a matka po przyjeździe do Polski pracowała jakiś czas u Derkacza, prowadząc księgowość i korespondencję oraz pełniąc wszelkie usługi biurowe w kilkusobowym warsztacie. Już po jej śmierci, będąc w wyjątkowo trudnej sytuacji, Maria zwróciła się do Derkacza i otrzymała to samo zajęcie. Skwitowałem to uwagą, że każdy by lubił być dobry dla młodej, atrakcyjnej dziewczyny.

— Nie byłem atrakcyjna. Byłem niezgrabna, brzydka i nie zadbana. Nie umiałam nawiązywać kontaktów z ludźmi. I byłem w ciąży, bo dałam sobie zrobić dziecko jakiemuś typowi, który się o tym nawet nigdy nie dowiedział. Pan Derkacz nie miał sobie co obiecywać po mnie w żadnej dziedzinie.

— Czekaj. A co z tym dzieckiem?

— Kończyc studia. Będzie mikrobiologiem. Chyba pojedzie do Francji. Rodzina ułatwi mu start. Nie, tu go nie ma. Ma swoją kawalerkę. A Derkacz? On był twardy w interesach. Niezwykle twardy. Ale pomagał ludziom. Nie tylko mnie. Robił to często przeze mnie i zawsze wymagał dyskrecji. Często ten, komu pomógł, miał nie wiedzieć, że to od niego.

— Taki Harun al Raszid?

— On się bardzo krępował tego. Łatwo mu przychodziło być twardym. Dobre uczynki naprawdę robił po cichu. Co jeszcze? Wtedy to był piękny mężczyzna, w sile wieku. Oczywiście, że mi się podobał i imponował, ale nie śmiałam zrobić żadnego kroku czy gestu. On też go nie zrobił przez wszystkie lata.

— Mnie Derkacz też imponuje, choć nie wiem, czy mi się podoba — stwierdziłem. — Powiedz, jak wytrzymałaś przez tyle lat? Jedna godzina u was napawa zgrozą

I jeszcze. Coście robili przez tyle lat? Teraz to duża firma. Ale od lat pracowałaś tam ty, a przedtem twoja matka. Przez cały czas pracował z nim Drapich. Pracuje od lat jego syn, Henryk. Co ci, umysłowi, bądź co bądź, mieli do roboty w niewielkim zakładzie instalatorskim?

Maria roześmiała się, mówiąc, że zdawała sobie sprawę, iż nie idę z nią do łóżka dla niej, ale rozpracowuję „Derpol” i jego

szefa. W jej wieku trzeba już uwzględniać takie warunki. Ale zobaczą, że to było czyste uczucie, bo interesu na tym nie zrobię. Pan Derkacz uratował ją. Cokolwiek by o nim mówiono, słusznie czy nie, cokolwiek by się z nim działo, ona, jeśli pozwole, zostanie wobec niego lojalna. Nawet będąc w łóżku z mężczyzną.

Zapewniłem ją, że to — po pierwsze — doceniam, a — po drugie — nie rozpracowuję Derkacza. Pomyślałem sobie, że byłbym wiarygodniejszy, gdybym powiedział o mojej ewentualnej pracy u niego, ale czułbym się jakoś niezręcznie, gdyż dla mnie była to ciągle zbyt osobista sprawa. Powiedziałem więc, że pytam tak tylko, w ramach tego rytualnego „opowiedz coś o sobie”, i gotów jestem się odwzajemnić. Usłyszałem odpowiedź, że to naprawdę jest niekonieczne.

Nie tylko mnie tego ranka kobieta przyniosła śniadanie do łóżka.

Tego dnia, gdzieś przed ósmą, dokładnej godziny nie pamiętam, po spędzeniu ze mną nocy Stanisław Pęksa wyjechał z naszego motelu «Lido», bo musiał już wozic pana Derkacza do biura. Byliśmy oboje bardzo zmartwieni, bo on powiedział, że pan Derkacz czeka już ze dwa dni, że przyjdziemy i uregulujemy sprawę „Lido”, czyli, że sprzedamy, a właściwie oddamy mu go. A on, Stanisław Pęksa, powiedział mu, znaczy panu Derkaczowi, że jest wszystko w porządku, bo mnie współczuł. I że teraz boi się, co będzie, bo się boi pana Derkacza, a mnie to on dalej współczuje, a nawet bardziej.

Ja już mówiłam do protokołu, jak było z tym motelem

Jakieśmy się na początku uładzili z panem Derkaczem i niczego nie ukrywałam. Ale teraz chcę jeszcze raz powiedzieć, i to proszę na pewno zaprotokołować, że to wszystko było z naszej strony uczciwe. Jak myśmy to brali, to rozmawiał z nami pan mecenas Sztarkiełło i powiedział, że wszystko jest formalnie w porządku. Motel będzie na nas i mamy tylko przestrzegać wszystkich przepisów i płacić podatki, to będzie

dobrze. A że pan Derkacz daje nam na to pieniądze, to jego sprawa. My tylko jesteśmy moralnie zobowiązani, żeby się wobec niego wywiązać.

Ja bym inaczej tego nie brała, bo ja nie skrywam, że już miałam kolizję z prawem i byłam karana. Zresztą nie ma co skrywać, bo jest w rejestrze. Jak wyszłam z Fordonu za dobre sprawowanie, to powiedziałam sobie, że już nigdy nic takiego nie zrobię, żeby znów siedzieć, i dlatego tak pilnowałam się z tym „Lido”, i teraz wszystko od razu zeznaję, jak było. Więc jak tylko była przy mnie jakaś taka rozmowa, to mówiłam, że jak coś ma być nie w porządku, to ja na to nie idę. I ostrzegałam, żeby przy mnie nawet nie mówić. Bo ja sama nikogo nie zakapuję, ale jak mnie spytają, jak teraz, to wszystko powiem...”

„Jak pan Pęksa wyjechał, to ja powiedziałam mężowi, co on powiedział. Mąż nic nie mówił, że spałam z Pęksą, bo on jest tolerancyjny. Ja zresztą też. Wtedy powiedział, że pan Derkacz ma oczywiście prawo, bo dał pieniądze, ale przecież my nie mamy tyle, ile trzeba zapłacić, a krzywda by była, żeby po tylu latach nas tak wyrzucić z tego „Lido”. Że on zaraz wsiada w samochód i jedzie do Warszawy coś pokombinować. I niech ja też coś pomyślę.

Więc jak on pojechał, to ja zrobiłam śniadanie, postawiłam na tacę i poszłam do pokoju, gdzie mieszkał pan Zbigniew Korzycki. Pana Korzyckiego to ja znałam, i mąż znał, jak on jeszcze pracował u pana Derkacza i poszedł siedzieć, bo miał wypadek. Ja ze Zbyszkim to kochaliśmy się wtedy bardzo i nigdy potem nie kłóciliśmy się, i myślałam, że on mi może co poradzi albo pomoże. Bo jak on się niedawno pojawił, to ja i mąż bardzośmy go prosili, żeby u nas zamieszkał, że od starego przyjaciela, to my przecież nie weźmiemy pieniędzy, bo nie chodzi, czy on je ma, czy nie ma, ale by nam było wstyd.

Poszłam więc z tym śniadaniem do Zbyszka, a on jeszcze spał, lecz się obudził, jak weszłam. To powiedziałam mu co i jak, a on powiedział, że przychodzę do niego, jak całą noc spałam z tym Staszkiem, na co powiedziałam, żebym z nikim nie była, gdyby on jeszcze mnie chciał. Pan Korzycki

powiedział, że było, minęło i nie ma co wracać, choć ja jestem najlepsza kobieta, jaką miał. A teraz to niech mi radzi ten Stasiak, jak ze mną śpi i pracuje u Derkacza. Ze jak on by był na jego miejscu, to coś by poradził.

Zacząłam go prosić, żeby poradził teraz, ale on się dawał prosić i prosić. Aż wreszcie powiedział, żebym zamknęła drzwi do pokoju, a ja powiedziałam, że już zamknęłam na klucz, jak tylko weszłam. I rozebrałam się sama, i położyłam do niego do łóżka, a on odbył ze mną stosunek. I powiedział, że szkoda mnie dla tego Staśka, ale mi pomoże. Kazał mi powiedzieć Staśkowi, że ma do niego przyjść i słuchać go we wszystkim, jak też chce mi pomóc. I że ma nikomu o tym nie mówić, że do niego idzie, i że ja też mam nie mówić. I powiedział jeszcze, żebym ja się nie bała, bo wszystko będzie uczciwie i zgodnie z prawem, i że on jeszcze dłużej siedział niż ja, i że też już więcej nie chce. Więc dlatego powiedziałam potem panu Pęksie, żeby poszedł i słuchał, i nikomu nie opowiadał, bo ja też nie opowiem..."

W ten sposób Zbysio Komandos znalazł sobie podwykonawcę.

Salon ostatniej szansy

Szyld „AUTO TRADE, kupno-sprzedaż pojazdów mechanicznych, Grzegorz Sawko" nie zachęcał, aby wjechać na teren firmy zdezelowanym cokolwiek fiatem kombi. Kowalski zaparkował więc po przeciwnej stronie ulicy. Przez szeroko otwartą bramę widać było, że stoją tu wymienione w szyldzie pojazdy mechaniczne i że są to zachodnie wozy nowych typów, w dobrym przeważnie stanie. Ich wygląd w pełni uzasadniałby nową wersję szyldu, wymyśloną już przez Grzegorza, a mianowicie „GREGORY'S AUTO TRADE", ale bieżące kłopoty szefa nie pozwalały na zrealizowanie tej koncepcji.

Wśród samochodów kręciło się paru smutnych facetów, udających kupców. Pytali o rocznik, przebieg, zużycie paliwa i cenę w sposób niezwykle fachowy, sugerujący, że się znają na

tym, o co pytają, i chyba kupią tu wóz lub kupiliby, gdyby był to jeszcze wspanialszy nabytek. Musiało im to dobrze wpływać na samopoczucie.

Znużony personel odpowiadał niezmiennie, że wszystko, co tu stoi, już zadatkowane, niczego nowego na razie nie ma i chyba szybko nie będzie. Personel składał się z pana Julka, młodego człowieka z pięknym wąsem, który brał sześćdziesiąt miesięcznie, za to, że sam niczego nie ukradł i innym nie pozwalał odkręcać. Poza tym miał rozmawiać z klientami, kiedy szefa nie było w firmie — a szef głównie lubił wyskakiwać „w interesach” lub spławiać patafianów, co udawali klientów, by nie zwracali głowy szefowi. Pan Julek miał zawsze nieprze-partą ochotę powiedzieć takiemu: „Przecież pan i tak żadnego takiego wozu nie kupi, więc po co tracimy czas” albo też zgoła posunąć: „Zjeżdżaj gnoju, przecież ty nawet na wrotki nie masz!” Jednakże ograniczał się jedynie do pogardliwych monosylab, bo raz się jednak pomylił i usiłował spławić kogoś, kto się okazał poważnym nabywcą z prawdziwymi pieniędzmi. Ale na ogół wiedział, że autentyczny kontrahent przeważnie bywa umówiony i nie rzuca nawet okiem na samochody, tylko od razu pyta o pana Sawko. Ponieważ tak się właśnie zachował Kowalski, pan Julek osobiście go zaprowadził do kantorka, nad którym wisiał skromny, ale gustowny szyldzik „BIURO — OFFICE”, sugerujący, że załatwia się tu interesy na skalę międzynarodową. Szef firmy zajęty był akurat przeglądaniem jakichś zachodnich żurnali samochodowych. Kiedy usłyszał kroki, położył na pismach parę kartek papieru z nakreślonymi cyframi, przysunął sobie japoński kalkulator, wziął do ręki długopis i pochylił się nad powstałym w ten sposób warsztatem pracy biznesmena w branży samochodowej.

— O! Pan Kowalski — zdziwił się i ucieszył. — Wreszcie pan będzie moim klientem. Już dawno dałem panu zarobić na przyzwoity wóz!

— Sprawa jest, panie Sawko — powiedział gość, sadowiąc się w foteliku.

— Jak jest sprawa, to ją trzeba obgadać. Ale chyba nie tak o suchym pysku. Zrobimy piwko?

— Po jednym, ewentualnie — zgodził się pan Kowalski. A kiedy Sawko rozlał po puszcze tuborga, wyjętego z podręcznej lodówki, powiedział: — Jestem w kłopotach, panie Sawko.

— Kto dziś nie jest, panie Kowalski. Ale co panu mogę? W razie gdyby chodziło o szmal, to na mnie proszę nie liczyć. Akurat sam potrzebuję.

— Każdemu potrzeba. Jak panu powiem, o co chodzi, to może się okaże, że pan akurat ma. Ale może się obejść i bez szmalu. Czasem dobre słowo więcej pomoże.

— Nie pieprz pan więc i mów, o co chodzi!

— Dobra. Pan jest zięciem starego Derkacza.

— No i co z tego?

— A ja prowadzę jego motel, tyle że na swoje nazwisko.

— O rany! To ja do starego przyjeżdżałem?

— Można to i tak nazwać, ale on niczego nie wiedział.

— No, mam nadzieję.

— I może dalej niczego nie wiedzieć...

— Panie Kowalski? Co tu jest grane?

— To, że mnie Derkacz chce wypieprzyć z tego motelu. I przysłała takiego, co straszy.

— On? Nie myślałem, że on ma takie interesy!

— Pan widzi, że ma. Jakbym mu oddał, co jestem winien, to może by musiał popuścić. Ale ja nie mam. Musiałoby potrwać, zanim uskładał. Najlepiej by jednak było, jakby stary mi to zostawił i poczekał.

— On akurat panu zostawi!

— Mnie nie, ale jakby go może zięć poprosił...

— I z tym pan do mnie przychodzi?! Panie! Co pan mi d... trujesz z samego rana?!

Pan Kowalski nie przejął się tym wybuchem i tak samo spokojnie kontynuował.

— Pan się nie unosi, panie Sawko, bo mówimy o interesach. Tu trzeba po cichu skalkulować, a nie krzyczeć. Pan Derkacz może się dowiedzieć, że u mnie bywa jego zięć, ale też i synowa, pani Elżbieta. A tak! Myśli pan, że jak jestem dyskretny, to jestem głupi? I jej mąż się może dowiedzieć, i pańska żona.

— O żeż ty...! Tak się klienta traktuje?!

— No, już dobrze, bez wymyślania. I kazań niech mi pan też nie mówi! Ja dobrze wiem, co robię, ale mam nóż na gardle i zrobię wszystko.

— Dobra! Ja już nie krzyczę ani panu nie dam po pysku, choć wiem, że się by należało. Ja już na różne numery trafiałem, ale na szantaż to jeszcze nie. Niech pan teraz słucha uważnie. Ja mam też nóż na gardle i też potrzebuję szmalu. Może nawet bardziej niż pan. Nie musi mi pan wierzyć, ale grosza pan u mnie nie dostanie!

— Przecież mówię, że mi mniej zależy na szmalu, a bardziej na poparciu u starego Derkacza. To pana nic nie kosztuje.

— Ale i gównu daje. Też się pan miałeś do kogo wybrać! Co ja powiem, to on akurat na odwrót. Zresztą mnie już jest wszystko jedno. Mów pan, komu pan chcesz, z kim ja tam byłem. Tylko jak będzie afera, to ja nie skryję, jak się wszystko wydało. Ciekawe, jakich pan będzie miał wtedy klientów w tym „Lido”, jeśli nawet je panu Derkacz zostawi? No, a teraz schrzaniaj pan i niech się już skończy ta rozmowa!

Rozmowa Kowalskiego z Elżbietą Derkacz była krótsza i także nie dała rezultatów.

— Nie mam i nie dam — powiedziała w taki sposób, że zrozumiał, iż każde dodatkowe słowo jest zbędne.

— To mam powiedzieć pani mężowi i teściowi?

— Nie obchodzi mnie to. Proszę się wynieść — rozmowa odbywała się w domu Derkaczów, kiedy obu panów nie było. — Przecież dobrze pan wie, że niczego pan nie powie teściowi, jeśli pan chce coś u niego załatwić.

Musiał jej po cichu przyznać rację.

— Myślałam, że pan żyje z wynajmowania pokoi — zauważyła, gdy już wychodził.

— No właśnie, staram się coś z tego mieć — odpowiedział i pojechał znowu do „AUTO TRADE”.

Wieczorem tego dnia panowie Kowalski i Sawko udali się do Prezesa. Był to szczęśliwie piątek, a Prezes właśnie we wtorki i piątki przyjmował, dorabiając sobie do emerytury prowadzeniem salonu gry. Był to salon ruchomy. Za każdym razem grano w innym, wynajętym w tym celu pomieszczeniu,

do którego wracano dopiero po jakimś czasie. Zawsze był to lokal wytworny: willa lub eleganckie mieszkanie w Śródmieściu. Nigdy u Prezesa w domu, dokąd nawet nie wolno było dzwonić nikomu w sprawie gry. W salonie bywali tylko znajomi i sprawdzeni gracze oraz goście, których oni zarekomendowali. Chcąc przyjść do salonu, trzeba się było wcześniej telefonicznie umówić z Prezesem na spotkanie w którejś kawiarni, po południu, we wtorek i piątek. Jeśli mówił, że nie ma czasu, aby się spotkać, to znaczyło, iż tego dnia miał już komplet albo że gość nie jest akurat mile widziany. Nie musiało to oznaczać dyskwalifikacji. Czasem była to kwarantanna spowodowana smrodem wokół tego akurat klienta lub danie mu do zrozumienia, że nie najwłaściwiej się zachował ostatnim razem. Niekiedy już wcześniej był umówiony ktoś taki, z kim Prezes nie chciał zetknąć zgłaszającego się później gościa, bo przypuszczał, że mogłoby to doprowadzić do spięcia i naruszyć miłą atmosferę, jaka zawsze musiała panować w salonie. Dopiero jeśli kilka razy pod rząd Prezes się z kimś nie zamierzał umówić, to ten musiał wyciągnąć wniosek, że przestał być gościem, na którego w salonie się liczy.

Tym, z którymi wypijał kawkę, podawał adres, godzinę oraz hasło, na które można było wejść. To była też sposobność, aby zgłosić, że chce się kogoś wprowadzić i powiedzieć parę słów o tym gościu. Przyrowadzenie kogoś od razu na wieczór było niedopuszczalne i oznaczało trwałą dyskwalifikację.

Kowalski wrócił do Grzegorza na tyle wcześnie, że ten zdążył jeszcze zadzwonić do Prezesa i umówić się z nim na kawę po południu. Prezes i Grzegorz umawiali się z mieszanymi uczuciami. Pierwszy nie miał do drugiego nadmiernego zaufania. Grzegorz nie cieszył się bowiem poważaniem jako stateczny człowiek interesu, a tacy byli najmilej widziani w salonie. Ale grywał wysoko i podciągał stawkę, zachowując się przy tym w sposób dosyć opanowany. Prezes pobierał każdorazowo pięć procent z puli, więc nie było mu obojętne, ile się w niej znajduje, choć w myśl obowiązującej tam zasady — *safety first* — wolał raczej nie zarobić, niż się narazić.

Grzegorz z kolei nie chciał brać ze sobą Kowalskiego, gdy zorientował się, na co ten liczy.

— Słuchaj, Kazek — jak zaczęli rozmawiać poważnie, to odruchowo przeszli na ty. — Tam się gra wysoko, ale uczciwie. Prezes ma paru ludzi, którzy znają się na pokerze. Wyprowadzą każdego, jak zobaczą, że on coś kombinuje, a mówię ci, że bym nie chciał znaleźć się z nimi na schodach.

— Nie bój nic, Gregory — Pysiek się szybko zorientował, co Sawce sprawia przyjemność. — Ty po prostu nie wiesz, na czyni moja robota polega. Ja się w takich miejscach pilnuję. Na całość można iść, jak się ma paru dzianych jeleni na wczasach i trzeba ich w jeden wieczór załatwić. Tutaj się gra delikatnie. Żadnych kart w rękawie, błyszczącej papierośnicy na stole, znaków z partnerem i żadnych takich.

— No więc, dlaczego masz wygrać, jak nie nie robisz?

— Bo umiem grać. W każdej robocie zawodowiec jest lepszy od amatora. Ja nie mówię, że byłem najlepszy. Trafiali się tacy, co mi dawali radę i dlatego dałem sobie spokój z kartami. Ale żyłem z tego latami. Wiedziałem, że jak podpadnę, to mi mogą połamać kości. A taki facet u twojego Prezesa ma forsę jak lodu i zakłada, że może przeżyć trochę emocji za te parę groszy, które z góry odzajkuje. A jak dobrze pójdzie, to jeszcze zarobi. Ale! Po ile tam ślad?

— Po dwa dolary. Pod koniec, jak jest ostatnia rundka, to już nie ma ograniczeń w przebiciu. Aha. I jest umowa, że trzeba mieć trzysta dolarów na wejściu. Masz?

— Tyle to mam. Trzeba pokazać?

— Nowego Prezes może zapytać: „Pan, oczywiście, ma przy sobie trzysta dolarów?” I wtedy dobrze jest od razu szybko, bez pytania, wyjąć i pokazać parę grubych piepiereków, żeby nie liczyć drobnych. W razie czego Prezes potem rozmienia.

— A jak się tylko powie, że się ma?

— To albo nic, albo bardzo grzecznie poproszą, żeby pokazać. Lepiej samemu, wtedy Prezes powie: „Ależ, po co się pan fatyguje”. Ale ja ciebie proszę, Kazek, ty lepiej pokaż tam sam.

— Pokażę, pokażę, nie bój się!

A gdy Grzegorza znów ogarnęły wątpliwości, czy

wprowadzenie Kowalskiego do salonu go nie spali, ten cicho i łagodnie powiedział:

— Słuchaj, Gregory. Chyba nie spali, lecz jeśli nawet, to pomyśl, co wolisz. To, czy też żebym powiedział o tym, że przyjeżdżasz do mnie ze swoją szwagierką? Wiem, że mi nie możesz pożyczyć pieniędzy. Wierzę, jak mówisz, że nie pomożesz mi u Derkacza, ale wprowadzić mnie do salonu możesz i wiesz, że już nie popuszczę, bo to dla mnie ostatnia szansa!

Na pocieszenie podzielił się z nim paroma uwagami profesjonalnego pokerzysty, wartymi parę groszy dla rozsądnego człowieka.

— W pokerze jest tak, Gregory, że jak się gra uczciwie, to przeważnie bogaty ogra biednego. Więc jak chcesz coś trafić, to nie szukaj towarzystwa bogatszych z myślą, że ich obrobisz. Raczej poszukaj biedniejszych od siebie, bojących się i napalonych zarazem, którzy myślą, że ty będziesz jeleniem dla nich. I jak z nimi grasz, to normalnie pomyśl, ile ci warto postawić, a potem stawiaj dwa razy więcej. Zobaczysz, że będą pękać. Nie mówię, że zgarniesz dużą pulę, ale wystarczy, że będą składali karty.

— A jak mnie sprawdzą?

— Ze słabą, a nawet średnią kartą raczej nie sprawdzą, bo tacy się boją o swoje pieniądze. Nawet nieraz i z dobrą kartą spasują. A jak będą mieli naprawdę mocną, to i tak byś przegrał. Przy czym kiedy taki będzie się bał, to nawet z mocną kartą tylko cię sprawdzi, a nie przebije. A jak zacznie ostro przebijać, to zaraz pasuj, chociażbyś nawet myślał, że on blefuje. W ten sposób oduczają się z tobą takich numerów.

— Czyli z bogatymi nie siadać?

— Siadać, ale stawiać tak samo. Tak jakbyś był jeszcze bogatszy od nich. Najwyżej po półgodzinie wydasz szmal i odpadniesz od gry. Ale jak już coś trafisz, to trafisz. I pamiętaj. Dalej grasz ostro. Bogaty też boi się o pieniądze, czasami nawet bardziej niż biedny.

— Zmienił się pan, panie Zbyszku, ale pana łatwo poznałem. Mam nadzieję, że u pana wszystko w porządku.

— Obleci. A pan, panie Drapich, już się nie zmienił przez te lata, co pana nie widziałem. Szef pana przysłał?

— Tak. Tu jest dla pana dwieście dolarów. W porządku?

— W porządku, panie Drapich.

— No, to cieszę się bardzo. Gdzie pana podwieźć?

— Ja mam do pana prośbę. Wielką prośbę. Chciałbym, żeby mi pan nie odmówił.

— To zależy, czy będę mógł.

— Będzie pan mógł. Ja pana chciałem zaprosić na kolację. Napić się z panem. Nie dlatego, że pan mi przywiózł te dwieście dolarów. Ja już sobie dawno myślałem, że chcę to zrobić.

— No, miłe to z pana strony. Ale dlaczego mnie? Nigdy nie piliśmy ze sobą.

— Gdzie mnie było, żeby się z panem napić! U Derkacza był taki styl, żeby każdy z każdym sucho, zwłaszcza jak z góry w dół. Ja zresztą do pana Derkacza nic nie mam. Pan wie, że był ze mną w porządku, ale pan to miał ludzki charakter. To się dawało wyczuć, chociaż pan wiele nie gadał. I ja jak siedziałem, i potem przez wszystkie lata, myślałem, że chciałbym tak sobie kiedyś z panem pogadać. Niech mi pan nie odmawia. Wiem, że pan sam mieszka i ma czas. A jak nie dziś, to jutro, choć może lepiej już dziś...

Wobec tak przedstawionej prośby nie mogłem odmówić panu Korzyckiemu, choć nie miałem ochoty na prowadzenie z nim życia towarzyskiego" — zeznawał po jakimś czasie Mateusz Drapich. — „Pomyślałem sobie, że pan Derkacz nie byłby prawdopodobnie zadowolony z takiego obrotu sprawy, ale też miałem świadomość, że nie stanowiło to naruszenia moich bezpośrednich obowiązków służbowych, które już wypełniłem. Uznałem wreszcie, że swoim prywatnym czasem mam prawo dysponować, jak zechcę.

Korzycki zaproponował, abyśmy się udali do restauracji „Retman” koło Mariensztatu, na co przystałem, bo nie chadzam do restauracji i było mi obojętne, dokąd pójdziemy, byleby tam było spokojnie. Pan Korzycki powiedział, że będzie.

Pojechaliśmy tam moim wozem, który postanowiłem zostawić pod restauracją, bo orientowałem się, że nie obejdzie się bez spożycia alkoholu.

Korzycki dużo pił i chciał, żebym ja pił z nim także, ale się wymawiałem, bo nie jestem zdrow i w zasadzie nie piję. Wtedy jednak, po dwóch czy trzech kieliszkach, byłem bardziej pijany od niego, chociaż on wypił więcej. Pod wpływem alkoholu zrobiłem się zadowolony ze spotkania z Korzyckim. Zaczęliśmy rozmawiać szczerze. Powiedziałem mu o przykrościach, jakie mnie spotkały w ostatnim czasie. Mają one osobisty charakter i wolałbym o nich nie mówić. Nie mają one związku ze sprawą.

Nie wiem dokładnie, co było potem i nie bardzo to mogę powtórzyć. Pamiętam, że Korzycki zaczął bardzo źle mówić o panu Derkaczu. I że jak zechcę, to on może go załatwić. Nie przypominam sobie, o co chodziło, ale miało to dla mnie dosyć złowrogi charakter. Nie pamiętam, czy coś odpowiedziałem. W ogóle nie pamiętam, co było dalej. Obudziłem się nad ranem u siebie w domu.

Z bardzo złym samopoczuciem. Byłem ubrany, spałem na tapczanie. Moja łada stała pod domem. Zamknięta. Kluczyki leżały na stole. Nie wiem, czy ja nią przyjechałem, czy mnie ktoś odwiózł. Zbyszek czy może ktoś inny. Niczego nie brakowało w mieszkaniu ani przy mnie. Nie mogę wykluczyć, że prowadziłem po pijanemu samochód, ale nie mogę się do tego przyznać. Nie było na nim żadnych śladów, więc chyba i nie było wypadku.

Nazajutrz rano postanowiłem wszystko, co pamiętałem, opowiedzieć panu Derkaczowi, bo pomyślałem, że może należy go ostrzec. Co też zrobiłem, lecz pan Derkacz zlekceważył to ostrzeżenie, mówiąc, że to nic poważnego. I powiedział, żebym tego nikomu nie mówił, zwłaszcza zaś, w jakich okolicznościach miała miejsce rozmowa z Korzyckim, bo to tylko źle o mnie świadczy. Za ostrzeżenie mi podziękował, lecz powiedział, że to nic nie zmienia. Na dodatkowe pytanie odpowiadam i proszę to zaprotokolować, że nie wiem, co pan Derkacz miał na myśli, mówiąc, że to niczego nie zmienia".

Drapicha odwiózł jego samochodem do domu Kowalski, lecz Mateusz już nie pamiętał momentu, w którym dzierżawca „Lido” pojawił się na sali w „Retmanie”, by się pocieszyć po przykrym zajściu, jakie spotkało go niedaleko stąd.

Zapowiadało się na początku, że będzie mniej więcej normalnie. Kowalski na bramce wyszarpnął z kieszeni trzy stu dolarowe papierki, na co usłyszał: „Ależ, po co się pan fatyguje” — i rzeczywiście, bo bramkarz jedynie sprawdzał hasło i personalia, a o pieniądze pytał ewentualnie Prezes, czyniący honory domu.

Tym razem salon składał się z dwóch dużych pokoi w amfiladzie i jednego mniejszego na osobności. Na stolikach, na kredensach stały butelki z Paderewski trunkami, napoje chłodzące, kieliszki, szklaneczki, papierosy. W ten sposób zebranie mogło ująć za koktajl. Bufet prowadziła starsza pani, wytworna i uprzejma. Pytała: „Co dla pana?” — podawała, nalewała i inkasowała należność. Cena była też Paderewski z mniej więcej dwudziestoprocentową marżą. Podawano ją w dolarach, a płaciło się dolarami albo w innej walucie, łącznie z bonami Pekao i złotówkami. To samo dotyczyło gry. Stawiano i licytowano w dolarach, lecz obracano wszelkimi walorami przeliczanymi na dolary według aktualnych kursów, w których Prezes zawsze był na bieżąco.

Jeśli chodzi o picie, to nie podawano więcej niż parę drinków, gdyż upicie się, podobnie jak przyjście w stanie zdecydowanie nietrzeźwym było niedopuszczalne. Tu musiało być wszystko grzecznie i cicho.

Kiedy Grzegorz z Kowalskim weszli, siedziano dopiero przy jednym stoliku. Reszta panów spacerowała z kieliszkami i szklaneczkami w rękę, tak że złudzenie, iż to jest koktajl było kompletne.

Grzegorz znał tu około połowy bywalców. Witał się z nimi, rozmawiał, lecz Kowalskiego nie przedstawiał nikomu i nikt się nim nie usiłował interesować.

Po chwili zaczęto się sadzić przy drugim stoliku.

— Siądzie pan przy nas? — spytał jeden z grających Prezesa.

— Może za chwilę. Jeszcze paru panów ma przyjść i wypada mi ich powitać. Stach wam na razie potowarzyszy. — I Kowalski zobaczył, że młody człowiek, o ujmującym uśmiechu, zbliżył się do stolika. Siadł, lecz się nie włączał do gry. Zauważył też, że przy pierwszym stoliku, gdzie grano już, kiedy wchodzili, siedzi również taki nie grający i przerzuca się słówkami z graczami. Kiedy jednak dochodzi do zagarnięcia puli, ujmuje z niej jakąś dołę.

Pysiek natychmiast się zorientował, że każdy stolik ma swoją obstawę, co mogło komplikować sprawę, ale i nie musiało. Byli to bez wątpienia faceci znający się na kartach.

Muszą być jednak zainteresowani w podbijaniu puli, skoro są z niej na procencie — pomyślał. — Jeśli się to będzie robiło w miarę przyzwoicie, to nie powinni przeszkadzać.

Obiecał wprawdzie Grzegorzowi, że się będzie miarkował w wygrywaniu, ale miał szczery zamiar wyciągnąć, co tylko się da tego wieczoru, gdyż zdawał sobie sprawę, że drugi raz u Prezesa się nie pojawi.

Gregory i Pysiek nie rozstrzygnęli z góry, czy siadają razem czy nie. Lepiej by było nie obrabiać akurat dziś Gregory'ego — sądził Kowalski — i gdy go ktoś spytał: „Zagra pan z nami”, odpowiedział, że z przyjemnością, ale w ostatniej chwili rozejrzał się za swoim wprowadzającym, aby mu powiedzieć, że chce zagrać oddzielnie. W pokoju jednakże Sawki nie było. Wyjrzał przez szeroko otwarte drzwi do drugiego, tam także go nie zobaczył. Pozostawał ten trzeci, najmniejszy pokój, do którego trzeba było przejść przez korytarz. Wyszedł nań, lecz nie wszedł do małego pokoju, gdyż w korytarzu napotkał go uśmiechnięty Prezes. Uśmiechnął się jeszcze bardziej na widok Kowalskiego i poprosił za sobą na słoweczko.

Weszli do jeszcze innego pokoju, gdzie wstał na ich powitanie nie znany mu facet. Ten się już nie uśmiechał. Kowalski chciał się odwrócić, by zamknąć za sobą drzwi, lecz usłyszał, że wchodzi przez nie i zamyka je za sobą jeszcze ktoś. Nim się zdążył odwrócić, ten ktoś chwycił go z tyłu za rękę i boleśnie wykręcił ją do góry. Kowalski aż kucnął i schylił się, a tymczasem ten z przodu niezwykle szybko i sprawnie obszukał

go. Wyciągnął i pokazał Prezesowi kilka setek dolarów, kilkadziesiąt tysięcy złotych, dokumenty, klucze, kluczyki od samochodu, chusteczkę, notes, do którego też zajrzał. Prezes skinął głową i wyszedł z pokoju.

Teraz dopiero Kowalski zaczął się bać, gdyż zdał sobie sprawę, że wytworny gospodarz salonu nie chce być obecny przy rozprawie. Jednakże facet z tyłu go puścił, a ten z przodu oddał mu wszystkie rzeczy.

— A teraz spadaj stąd, ale szybko! — powiedział cicho, ale zdecydowanie.

— Panowie! Co to ma znaczyć? Jakim prawem? — Kowalski widząc, że nie biją, wiedząc, że niczego przy nim nie znaleźli i niczego nie zdołali zaobserwować, poczuł się pewniej. Nie wykluczał też, że padł ofiar pomyłki.

— Pysiek!? — usłyszał z tyłu.

— Znamy się? — wreszcie się obrócił i spojrzał na tego człowieka. Nie znali się z całą pewnością.

— Znamy się, Pysiek. Zapamiętali cię. Zresztą jak wiemy, że jesteś Pysiek, to znaczy, że wiemy, kto jesteś.

— No i co z tego? To stare sprawy. Robiłem jakieś numery? Miałem co lewego przy sobie?

— Dlatego wychodzisz cały. Ale tylko jak szybko wyjdiesz. No! Jazda!

Ten z tyłu otworzył drzwi na korytarz, wyjrzał i kiwnął głową. Drzwi z korytarza do innych pokoi były zamknięte. Stał tam jedynie bramkarz przy drzwiach wejściowych. Szybko je otworzył, wyjrzał na schody i też skinął głową. Pysiek poczuł, jak go chwytają i jak biegnie, wręcz leci przez ten korytarz. Dadzą kopa — zdążył pomyśleć i miał rację, ale kop był taki, że się tylko zatoczył i dał radę się złapać za poręcz. Usłyszał, jak zatraskują się za nim drzwi. Stanął na chwilę, jakby nie wiedząc, co robić, lecz usłyszawszy kroki na dole, ruszył spokojnie w dół, a na półpiętrze minął idącego na górę mecenasa Sztarkiełło.

Gdy gadający w małym pokoju Grzegorz uznał, że już pora zasiadać, i zobaczył, iż czyni to trzeci komplet graczy, rozejrzał się za Kowalskim. Nie było go jednak w obu wielkich pokojach.

Chwilę poczekał, myśląc, że może wyszedł on do toalety, a potem poprosił na stronę Prezesa, zobaczywszy, że i on zamierza pokibicować przy jednym ze stolików.

— Prezes — stali bywalcy byli z gospodarzem na ty — gdzie jest ten facet, co ze mną przyszedł?

— Poszedł sobie.

— Jak poszedł?

— Zwyczajnie. Na własnych nogach. Gregory, kogoś mi ty przyprowadził?

— Mówiłem przecież.

— Ale nie wszystko. Może powiesz, że nie wiedziałeś, że to jest szuler?

— Był, Prezes. Wiele lat temu. O co było ten szum teraz robić?

— To nie wiesz, dzwońcu, że tacy do mnie nigdy nie mają wstępu? Gregory, za taki numer to powinieneś stąd zjechać ze schodów. Jakbym cię nie znał, tobym nie uwierzył, żeś taki głupi i myślał, że mi świnie podkładasz. No dobra! Zostań i graj, ale mi już nigdy nikogo nie sprowadzaj. Pamiętaj!

Grzegorz pomyślał, że wypadaloby się obrazić i wyjść, ale wiedział cały czas, że na pewno tego nie zrobi. Burknął coś i ruszył w stronę stolika. Goście się już sadzili, lecz jeden z nich mruknął, że jeszcze chwilę poczeka i odszedł. Był to mecenas Sztarkiello. W pierwszej chwili Grzegorz z przerażeniem pomyślał, że Sztarkiello na pewno powie o tym spotkaniu teściowi, a w drugiej — uświadomił sobie, że nie ma to już żadnego znaczenia.

Kowalski zdziwił się bardzo, spotykając w „Retmanie” swojego dawnego kumpla, a obecnego lokatora z kierownikiem biura „Derpolu”, który kiedyś z nim załatwiał sprawy motelu. Pomyślał, że się z nim napije i może coś dzięki temu wskóra. Ale pan Drapich był już kompletnie pijany i nikogo nie rozpoznawał.

— Nic już z nim nie załatwisz, Kazek — powiedział Zbynio. — Zresztą na trzeźwo też chyba nie. Nie piłeś dużo?... To dobrze,

bo ja już mam dosyć. Chodź, odwieziemy go jego wozem do domu, bo nam jeszcze kłopotów narobi A napijemy się potem w „Lido”.

W ten właśnie sposób pan Drapich wylądował u siebie cało i zdrowo.

Zbynio i Pysiek wzięli następnie taksówkę, podjechali po fiata kombi Kowalskiego i ruszyli nim w kierunku „Lido”.

Zbynio był wprowadzony w kłopoty Kowalskich przez nich oboje i na pytanie: „Radziła się ciebie dzisiaj Terenia?” odpowiedział przecząco, wiedząc doskonale, w jakiej sprawie miałyby się go radzić. Oboje zdecydowali, by o ich rozmowie nic Kowalskiemu nie mówić, a Terenia do tego nie chciała nadużywać tolerancji męża, poza niezbędne minimum.

Po chwili jazdy Korzycki wiedział już, co spotkało dziś wieczorem jego kierowcę i gospodarza.

— Niefart — mruknął. — A ile mógłbyś teraz zainwestować, żeby ci Derkacz dał spokój?

— Jestem mu winien prawie cztery miliony. Ale nie wiem, czy da mi spokój, nawet jak splecę.

— Nie o to pytam. Ile byś dał, jakby ci to ktoś u Derkacza załatwił?

— Jak?

— Nie twoja sprawa! Pytam, ile w to możesz włożyć. Ile miałeś, jak szedłeś do Prezesa? Te trzysta dolarów?

— Pięćset z czymś. Jakieś pięćset sześćdziesiąt parę.

— Daj mi te pięćset, resztę miej na parę butelek i masz sprawę z głowy.

— Jak?

— Wolisz wiedzieć czy mieć załatwione?

— Za pięćset?

— Za tysiąc. Drugie pięćset dasz, jak sam przyjdiesz i powiesz, że jest w porządku.

— A jak nie będzie?

— To ja ci zwracam twoje pieniądze, ma się rozumieć.

Na parkingu „Lido” było dość pusto. Stał na swoim stałym już miejscu ogromny mercedes Derkacza. Szef „Derpolu” był surowy, ale nie drobiazgowy i nie sprawdzał licznika ani tego,

co robi jego człowiek z jego wozem, kiedy ma wolne.

Panowie nie wymienili na ten temat żadnych uwag i weszli na zaplecze pustego już baru. Po chwili przyłączyła się do nich Terenia i zaczęła się krzątać wokół wypicia oraz zakąski.

Kowalski, wyczerpany przeżyciami dnia, upił się dość szybko. Zbynio zamienił z Terenią kilka słów i udał się do pokoju na górze. Nie wracał tak długo, że Terenia zniechęcona czekaniem na Zbynia albo na Staszka, poszła spać do męża. Nie widziała i nie słyszała, jak w drugiej połowie nocy wielki mercedes, cicho mruknąwszy silnikiem, wytoczył się z parkingu na szosę i ruszył w stronę Warszawy.

Do przerwy na posiłek regeneracyjny szło — nie to żeby wspaniale — lecz jako tako. Grzegorz był wciąż przy swoim pieniądzu, z którym się stawił na wejściu, a nawet go żdziebko powiększył.

Trochę był zły, bo raz miał fula maksa z ręki, a drugim razem do trójki króli dokupił karetę i w obu wypadkach partnerzy musieli coś wykapować, bo poskładali karty, zostawiając go z pulą śmieszną na takie obrazki.

Prezes, który akurat kibucowa przy tym stoliku i patrzył, kto co ma w rękę — był niezawodny i nikt nigdy z jego miny nie wyczytał niczego — spojrzał potem na Grzegorza z przyganą. Jego pięć procent powinno było wynieść o wiele więcej.

— Nerwowo coś grasz dziś, Gregory, paskudzisz kartę — powiedział, co było dziwne, gdyż na ogół nie komentował gry. Potem poprosił Grzegorza, aby sobie nie brał do serca incydentu z Kowalskim, bo do niego on, Prezes, niczego nie ma, a że się starzy przyjaciele czasem przemówią, to przecież nic poważnego.

Inna rozmowa była trochę mniej przyjemna. Grzegorz na chwilę stanął sam w kącie, z kokilką, w której był boeuf Stroganow zapieczony z parmezanem i posypany pietruszką, kiedy podszedł do niego mecenas Sztarkiello.

— Dobry wieczór panu — powiedział. — Widziałem już wielu, którzy szukali wyjścia z kłopotów w kartach, lecz nie widziałem

nikogo, kto by je znalazł.

— I co pan radzi?

— Panu już radziłem parę razy.

— Przepraszam. Głupi byłem. Teraz już bym posłuchał.

— Teraz jest już za późno.

— To znaczy co?

— To znaczy, że już nie ma co kombinować. Trzeba zwiijać interes i oddawać, co się jest winnym. To nie żadna rada, bo panu instynkt samozachowawczy musi to podpowiedzieć. A zresztą, jedną radę to panu dam i nie w zespole, a tutaj. Jest tu ktoś, komu jest pan winien pieniądze. Nieważne kto. Wystarczy, że on pana poznaje, a pan robi sobie u niego tyły. Lepiej jak on zobaczy, że pan stąd idzie i dowie się jutro, że pan oddał chociaż te parę dolarów, z którymi pan tutaj przyszedł.

Mecenas odszedł. Po chwili zaczęto podawać kawę z ekspresu i liptowską herbatę, lecz goście byli tak podgrzani, że z dymiącymi filiżankami poczęli się sadowić do gry. Tace z małymi ciasteczkami podjeżdżały na barkach na kółkach.

W ogóle trzeba powiedzieć, że zakąska w salonie była niewielka, ale wytworna. W czasie gry podawano barwne kanapeczki z szynką, łososiem, nieraz kawiozem. Ostatnio przeważały zakąski z zagranicznych puszek. W sezonie stały patery z owocami. Zawsze kawa, herbata i napoje chłodzące. Dwa razy w czasie wieczoru była przerwa na jakieś krótkie danko. I poza alkoholem i papierosami wszystko wliczone w koszty, więc — gratis. Jednak firma wychodziła mocno na swoje, nie mówiąc o tym, że zakąska uwiarygodniała przyjęcie towarzyskie w razie wpadki, która jednakże — odpukać — nigdy nie nastąpiła.

Grzegorz chwilę się rozglądał po gościach, zastanawiając się, kto z nich mógłby być jego wierzyicielem, lecz na nic nie wpadł. Uśmiechnął się przepraszająco do mecenasa Sztarkiello, kiedy się spotkał z jego wzrokiem, i usiadł do stolika. Teraz był skupiony i pewny siebie. Lecz karta nie szła. Nie dawał się wpędzić w poważne koszty, w porę zabierał karty, lecz suma, z którą przyszedł, topniała.

U Prezesa panowała żelazna i przez wszystkich rozumiana

zasada: gra się tym, co na stole. Mogą być dolary i bony, z odpowiednim przelicznikiem, złotówki i ruble, ale nie weksle, kwitki, a tym bardziej słowo, honoru. I druga: grano do umówionej godziny, potem jeszcze trzy szybkie rundki i na tym koniec. Można było tylko jeszcze chwilę posiedzieć, wypić dla odprężenia drinka, pogadać minutę, choć było to między drugą a trzecią w nocy.

Finisz się zbliżał, sporo gości już poszło do domu, a Grzegorz grał coraz ostrożniej, by się utrzymać w grze do końca, bo nigdy nie wiadomo, kiedy przyjdzie właściwa karta. Zapomniał zupełnie o radach dawanych mu jeszcze tego popołudnia przez Kowalskiego. Pamiętał natomiast, że wolno mu grać tylko tym, co miał przeznaczone na ten właśnie wieczór. To co udało mu się zebrać w ciągu ostatnich kilku dni, a co miał w innej kieszeni, było nie do ruszenia.

Kiedy jednak znowu miał karetę z króli, tym razem z ręki, zdał sobie sprawę, że nie ma już czym tej karty rozegrać, a postanowił jej nie zmarnować. Sięgnął więc do tej drugiej kieszeni i zaczął ostrożnie przebijać. Licytowano się długo. Mało kto odpadał, ale wszyscy stawiali tak samo ostrożnie. Pula jednakże rosła i wyglądała całkiem pokaźnie.

Grzegorz stracił rachubę, ile tam jest i ile w tym jest jego pieniędzy, ponieważ oprócz dolarów leżały bardzo różne papierki. Lecz w przeliczeniu na zieleń musiało tego być kilkanaście. Taka suma już mu robiła. Prawie że załatwiała sprawę. Niestety, nie załatwiła. Sąsiad dokupił do czwórki asów.

Wracał do domu swoją hondą, gdyż uznał, że poniesiona klęska rozgrzesza go z prowadzenia w stanie wskazującym na spożycie alkoholu. Nie wypił zresztą wiele, jak u Prezesa. W domu, nim się położył koło śpiącej Loski, która już dawno się nie budziła — i chwała Bogu! — podczas jego nocnych powrotów, przeliczył wszystko, co miał, by ustalić upust krwi, jak to nazywał. Strata była poważna, lecz nie wpływała na ogólny stan interesów w obecnej chwili. Szkoda było tylko tej puli, której nie zgarnął.

Rano stwierdził, że straty są znacznie większe, gdyż zniknęła

honda, której nie chciało mu się wprowadzać do garażu pod domem. To sprawiło, że poczuł się opanowany i pełen determinacji. Luśce, gdy tylko otworzyła twarz, powiedział „won!” w taki sposób, że ta natychmiast zamilkła, co było rzeczą wprost niesłychaną. Wziął jej samochód i pojechał na milicję złożyć meldunek. Następnie udał się do zakładu.

Po drodze jeszcze raz zastanowił się, kto był tym jego wierzycielem, obecnym wczoraj u Prezesa. I pomyślał, że mógłby to być sam mecenas Sztarkiełło. I że na pewno działał w cudzym imieniu. Ta myśl, której się zdecydowanie uczepił, jeszcze bardziej umocniła go w jego postanowieniu.

Pan Julek przywitał go z niesłychanym, jak na siebie, respektem. Zameldował, że dzwonił jakiś pan, który powiedział, że był z panem Sawko umówiony na telefon i że jeszcze będzie telefonował.

Pierwszy dzwonek to był zupełnie ktoś inny. Drugi i trzeci — też. Grzegorz kończył rozmowy szybko, żeby mieć wolny aparat. Wreszcie zgłosił się właściwy rozmówca.

— Dobra, dobra. W porządku. Rób pan, umowa stoi — powiedział Grzegorz, po czym wyjechał z warsztatu, krzyknąwszy Julkowi, że go dziś na pewno nie będzie.

Sesja wyjazdowa

Lubię takie chwile dosyć względnego luksusu. Siedziałem koło okna, twarzą w kierunku jazdy, w wagonie pierwszej klasy ekspresu do Poznania. Ekspres był popołudniowy, gdyż wstawanie na poranny było dla mnie zawsze contra naturam. Woląłem przyjechać poprzedniego dnia wieczorem, zjeść kolację, przespać się w hotelu, a następnego dnia o dzentelmeńskiej porze, dziewiąta — dziesiąta, przystąpić do działania.

Tak było i tym razem. Nabilem sobie fajkę tytoniem „Nampho-Whisky”, gdyż wciąż jeszcze utrzymywałem podwyższony standard, wynikły z chałtury na rzecz PPZ

„Santex”. Standard ten miał zresztą jeszcze potrwać, bo w mej kieszeni znajdowała się już następna studolarówka, otrzymana od Leszka za kolejną usługę. Przemówienie napisane dlań na Forum Polonijne było krótsze i mniej pracochłonne niż wcześniejsza broszurka, ale Leszek uznał, że już mu nie wypada mniej płacić, szczególnie że mowa jest bardzo ważna.

Właściwie mogłem pojechać z nim, jego BMW siedemset z czymś tam, w absolutnym luksusie, ale uznałem, że byłoby to nieostrożne. Delegowała mnie do Poznania moja redakcja, a nie PPZ „Santex”. Kontakty z Leszkiem stawały się może trochę nazbyt widoczne, zwłaszcza że parę osób jednak doszło, iż znamy się z nim od dość dawna. W Poznaniu, jak zawsze, będzie kupa dziennikarzy. Kątem oka dostrzegłem na peronie dwóch, trzech kolegów, jadących zapewne tym samym pociągiem. Ich towarzystwo było ostatnią rzeczą, na jaką miałbym teraz ochotę. Zresztą jechali zapewne drugą klasą. Żenujący nawyk jeżdżenia drugą i rozliczania pierwszej mieli jeszcze z czasów, gdy im przysługiwało prawo do pierwszej w każdych warunkach. Teraz, kiedy pierwsza przysługuje tylko wówczas, gdy się jedzie ponad pięć godzin (a ekspresy na ogół mieszczą się poniżej tego limitu) lub zaraz po przyjeździe przystępuje się do pracy, koledzy z reguły nie dopłacają do biletu.

Prawdę powiedziawszy, nie mają z czego. Bieda zasysa nas powoli, ale systematycznie. Kiedy wszyscy najgłośniej krzydzeli o kryzysie, okazało się, że nie taki on znów straszny w rzeczywistości i dawało się żyć. Kiedy zaś w naszych artykułach zaczęliśmy „wychodzić na prostą”, „łapać oddech”, „widzieć światło w tunelu”, robiło się nam jakby trudniej.

Przypomniałem sobie nasze „źniwa inwestycyjne”, które miały nas czekać na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. I zrobiłem się ciekaw, który ze zdolniejszych kolegów pierwszy użyje słowa „przednówek” na sytuację dzisiejszą. A po chwili pomyślałem, że mnie już, być może, nie będzie to wcale dotyczyć. Przeszanę wreszcie przeliczać tę coraz nędźniejszą wierszówkę i biegać za chałturami.

Jeżeli Derkacz... Ale ponieważ miałem o tym nie myśleć, więc

postanowiłem pomyśleć chwilę o Marii. Z Marią było wszystko O.K. i na pewno z radością do niej powrócę z Poznania, a teraz nie bez pewnej ulgi od niej wyjeżdżam. Zdecydowałem bowiem przyznać się przed sobą, że przy wszystkich swoich zaletach w łóżku i poza nim jest ona cokolwiek męcząca.

Nie żyła bynajmniej w pełnej cnocie i wstrzemięźliwości przez wszystkie lata, ale romanse się jej trafiały co jakiś czas i w sumie dłużej trwały przerwy niż jej związki z mężczyznami. Podobała się chłopom niezmiennie, ale z wiekiem jej wymagania rosły, co — jak twierdziła — może nie było rozsądne. Przerwa przede mną trwała nieomal rok i Maria oświadczyła mi, że muszę to jej zrekompensować, samemu chyba nie tracąc.

Poza tym mając po południu czas całkowicie dla siebie i wiedząc, że jestem człowiekiem wolnym, nie rozumiała, dlaczego nie mielibyśmy spędzać ze sobą prawie wszystkich godzin poza pracą, skoro tak jest nam dobrze razem.

Nie dane mi było dłużej myśleć o Marii, gdyż redaktor W. przechodząc wraz z jeszcze innym kolegą przez mój wagon do restauracyjnego — chyba jeden z dwóch ostatnich na polskich kolejach kursował w tych dniach do Poznania — wyciągnął mnie na piwo. Nie miałem na to ochoty, lecz pomyślałem, że łatwiej będzie wytrzymać z nim te pół godziny niż znosić jego namowy i utyskiwania na moją niechęć do zadawania się z kolegami.

Wagon okazał się nie restauracyjny, lecz bufetowy. Stanęliśmy na końcu kolejki, uważając, by przechodzący z herbatą, piwem, śmierdzącym bigosem oraz fłaczkami z drobiu nie obleli nas swoim ładunkiem, gdy próbowali utrzymać równowagę w rozklekotanym wagonie. Było tłoczno, gwarno, smrodliwie i brudno i mój nastrój komfortu ulotnił się całkowicie.

— Wiesz, Andrzej — widać wypiliśmy z redaktorem W bruderszaft w czasie jednej z licznych podróży — nagrałem bombowy materiał do telewizji o firmie „Derpol”.

— Ty nagrałeś?

— No, wziąłem udział w dyskusji.

— W jakiej?

— O mydle.

— By nie mówili, że włazi bez mydła — zauważył ten drugi kolega, który z W. udawał się do bufetu.

— Komu włazę? — zaperzył się W.

— Tym, którzy cię napuszczają — odparł tamten.

— Jak chodzi o interes społeczny, to mnie nie trzeba napuszczać. Jak myślisz, Andrzej, ile może kosztować kawałek zwykłego mydła, które się do tego wcale nie pieni?

— Zupełnie to mnie nie obchodzi!

Wiedziałem, że nie jest to zwykłe mydło, ale lecytinowe, które wcale nie powinno się pienieć, natomiast powinno służyć osobom z uczuleniami skóry, i że nie ma innego takiego mydła na rynku. Wiedziałem też, że jego produkcja stanowi promille tego, co robi „Derpol”, a mimo to Derkacz kazał się z niej wycofać, a na resztę mydła kilkakrotnie obniżyć cenę, kiedy tylko zaczął się smród. Bo jeszcze zanim telewizja nagrała materiał z udziałem redaktora W. na ten kawałek mydła rzuciła się już ochoczo sfora piesków, szczęśliwych, że wreszcie mogą się wykazać śmiałością i bezkompromisowością w krytyce. Lecz o tym wszystkim nie miałem najmniejszej ochoty rozmawiać z W.

Siedząc ponownie w przedziale i usiłując odzyskać utracone poczucie komfortu, zdałem sobie sprawę, że za ewentualną ofertą Derkacza przemawia nie tylko pieniądz, ale i wyjście z zawodu, które do tego momentu wydawało mi się ceną nie do zapłacenia. Jeszcze niedawno, kiedy decydowało się, kto pozostanie w zawodzie, sądziłem, że gotów jestem za to zapłacić wysoką cenę. Mówiłem coś od sensu, że nie wyobrażam sobie życia poza dziennikarstwem. Teraz zaś myśl, że po przeszło dwudziestu latach wreszcie przestanę być żurnalistą, przynosiła mi ulgę.

Będąc w Poznaniu, szczególnie w interesach, należało stawać w hotelu „Bazar”, lecz świat interesów skupił się ostatnio w „Mercurym”. Tam też miałem zamówiony pokój i tamże w hallu spotkałem Henryka Derkacza z żoną. Ukłoniłem się im w przejściu, chociaż nikt nas nigdy nie zapoznawał, lecz

pomyślałem, że tak będzie grzeczniej, zwłaszcza gdybym z czasem miał mieć z nim służbowe stosunki.

Mieszkałem z Derkaczami na tym samym piętrze, parę pokoi dalej. Nie myślałem wówczas, że ich rozmowy w pokoju „Merkurego” mogłyby być ciekawe. Kiedy się okazało, że były, i nawet bardzo, mogłem je już tylko rekonstruować.

Na fotelu BMW, z którego nie skorzystałem, przyjechała ze swoim pełnomocnikiem madame Sanders. Przedłużyła swój pobyt w Polsce ponad przewidywane początkowo dwa dni. Zamieszkali również w „Merkurym”, ale oddzielnie. Lucille w apartamencie, który dla niej Leszek wynajął.

Przywitałem się z nimi, wysłuchałem jej komplementów na temat Marii. Widywaliśmy się z Lucille niejednokrotnie w trakcie tych targów, ale raczej w przelocie, gdyż nie chciałem się afiszować kontaktami z Leszkiem, a poza tym obowiązki służbowe skazywały mnie przeważnie na przebywanie wśród dziennikarzy. Znowu chadzałem z nimi na konferencje, jadałem, piłem, bez przyjemności, lecz z wieloletnią rutyną, która znakomicie ułatwia takie kontakty.

Targi jak targi. Jak zawsze ruch, gwar, ale stali bywalcy rozpoznawali bezbłędnie, że to już nie te loty co dawniej. Natomiast biznes polonijny występował z roku na rok okazalej. Nowe produkty, nowe usługi, wszystko dobrej jakości, choć po wysokiej cenie. Asortyment na tyle szeroki, że jeden z pełnomocników pewnego dnia zauważył, iż na dobrą sprawę nie wiadomo, po co jest ta reszta gospodarki narodowej.

Na szczęście powiedział to nie na konferencji prasowej, boby go moi koledzy zagryźli.

Konferencja była obsadzona tak tłumnie przez dziennikarzy krajowych, iż faktycznie można było pomyśleć, że poza biznesem polonijnym niczego na tych targach nie ma. Nie tak dawno w Kazimierzowie koledzy byli na ogół przymilni, teraz zaś odnosiło się wrażenie, że wszyscy przyszli wyżyć się na tych firmach. Miano im za złe, że dużo zarabiają, że zbyt mało eksportują, że za wiele eksportują i ogałają rynek krajowy, że nie chcą importować i uszczuplają krajowy zasób surowców, że wszystko importują, bo chcą w ten sposób wywieźć najwięcej

dewiz, że robią to, co im przynosi największe zyski, że zarzucają rynek gadżetami i fałszywymi nowościami, że nie współpracują z rzemiosłem, że niszczą rzemiosło i takie różne. Nie zostały jedynie powtórzone, publikowane już gdzieś w prasie, zarzuty o wyprzedzący polskiej gospodarki obcemu kapitałowi, ponieważ siedział tutaj tenże wykupujący kapitał, a nie decydenci, którzy pochopnie oddali mu w pacht huty, kopalnie i porty.

Krwiożerczy kapitał reprezentowany był przez Różyckiego, młodego Derkacza i paru innych właścicieli bądź pełnomocników, wytypowanych przez izbę do stawienia czoła dziennikarzom.

Stawiali, jak mogli, przy czym najgorzej to szło Henrykowi Derkaczowi, a najwięcej pytań i zarzutów kierowano pod adresem „Derpolu”. Henryk, okazuje się, był dosyć dobrze zorientowany w sprawach firmy i całego biznesu, bardzo wiele wiedział oraz rozumiał. Nie miał jednak refleksu, poczucia humoru i dystansu. Wolno i ciężko mówił. Dlatego też jego wypowiedzi nie słuchano do końca, przebijano je nowymi pytaniami. A on uparcie i długo starał się odpowiedzieć na stare pytania, co jakby nikogo nie interesowało, bo koledzy zabierali głos, nie żeby się czegoś dowiedzieć, lecz by się samemu popisać.

Choć bytem do tego przyzwyczajony, żenowało mnie to tym razem, ze względu na Lucille. Wymówiła się zdecydowanie od zasiadania w prezydium i siadła przy mnie, bym jej tłumaczył przebieg konferencji. Wystąpienie dziennikarzy słuchała z rosnącym zdumieniem.

— To muszą być bardzo biedni ludzie — szepnęła.

— Panowie — rozpoczął Leszek, który prawie się nie odzywał, a teraz powiedział, że pozwoli sobie podsumować spotkanie. — Tym razem ja chcę was spytać: ile każdy z was jest w stanie przeznaczyć na dobroczynność? Położyć na tacę w kościele, wpłacić na jakiś fundusz i tak dalej? Jak wiele tekstów możecie napisać i wygłosić za darmo? Do ilu delegacji dołożyć z własnej kieszeni? Każdy z was to zapewne robi, ale do pewnej granicy, a poza tym musi patrzeć, z czego żyje. Kto z was sprzeda

używany samochód po urzędowej cenie, jeśli go za nią kupił, odejmując od tego amortyzację? Nawet ten, kto pisze, że trzeba zlikwidować giełdę, sprzeda wóz po cenie giełdowej, mówiąc, że on jej nie wymyślił. Myśmy też nie wymyślili warunków, w których działamy. Natomiast w każdym warunkach musimy zarobić, dzieląc się zresztą z państwem każdą złotówką i każdym dolarem. Owszem, przeznaczamy pewną część dochodów na cele społeczne, i to z tego, co nam zostają po podzieleniu się z państwem, bo tego się nie odlicza od sumy podlegającej opodatkowaniu. Ale nie jesteśmy instytucjami użyteczności publicznej. Musimy na to sami zarobić. Nam nikt nie pokryje deficytu... To — chyba wszystko. Panowie możecie tego nie pisać, lecz dobrze by było, abyście orientowali się przynajmniej, o co tu chodzi. Więcej pytań — sądzę — nie będzie, więc w imieniu organizatorów zapraszam na kieliszeczek.

Wszyscy ruszyli hurmem, jakby nie pili bez przerwy od kilku dni. Z niezręczną galanterią usiłowałem osłonić Lucille przed stratowaniem. Ktoś się jej ukłonił, ktoś przywitał, a jeszcze ktoś w przelocie powiedział:

— Różycki skarży się, że musi spać z trupem, ale ona jest jeszcze całkiem do rzeczy. — Zjeżyłem się wewnętrznie słysząc to, a i Lucille, trzymająca się mojej ręki, jakoś drgnęła, co mogło być skutkiem potrącenia przez kogoś ze spieszących do bufetu, jako że polskiego przecież nie znała.

W sąsiednim pomieszczeniu notable „Interpolcomu” doskoczyli z rewerencjami do madame Sanders, ja zaś podszedłem do stojącej samotnie Elżbiety Derkacz, która wyraźnie ucieszyła się, widząc, że ktoś zamierza się do niej odezwać.

Przedstawiłem się, mówiąc, że miałem przyjemność robienia wywiadu z jej teściem i jestem co nieco zorientowany w sprawach „Derpolu” i polonijnego biznesu w ogóle. I trochę mi przykro za tę sforę, która opadła dziś akurat jej męża. Nie wydała się tym zbyt przygnębiona.

— To jest zajęcie dla dorosłych ludzi, ten biznes. Muszą sobie poradzić

Derkacz jednak wyraźnie nie radził sobie. Sfora dopadła go znowu. Kilku dziennikarzy coś do niego mówiło, on się wyraźnie ociągał z odpowiedziami. Widać było, że jest zły i rozgląda się po sali, jakby szukając pomocy. Zobaczywszy żonę, ruszył w jej — i moim — kierunku, ciągnąc za sobą stadko rozdyktowanych facetów.

— Idziemy! — warknął, nie zwracając uwagi na mój uprzejmy ukłon i na gadanie otaczających go panów redaktorów.

— Dlaczego? Nie chcę iść do hotelu — odpowiedziała Elżbieta — jest jeszcze czas. Zresztą zdaje się, że panowie chcą z tobą jeszcze pomówić.

Henryk spojrział z nienawiścią na panów, na żonę i z pewną ulgą na Leszka, który podszedł do naszej grupki.

— Nie jedźcie jeszcze — powiedział do Derkaczów — odwożę was niebawem, jak moja pryncypałowa przestanie tokować — i wskazał głową Lucille.

— A wy, panowie — zwrócił się ostro do dziennikarzy — co chcecie udowodnić? I komu? Po co nas tak męczycie, skoro i tak napiszecie, co chcecie? I nawet z góry już wiecie co.

— Pan ma swój biznes, my mamy swój — powiedział znany mi z twarzy dziennikarz.

— Ja mam uczciwy — stwierdził Leszek z rozbrajającym uśmiechem i zaproponował, aby lepiej się napić, skoro jest co, zamiast jeszcze raz gadać o tym samym. Następnie ruszył w stronę Lucille, ciągnąc za sobą Henryka i Elżbietę. Tych dwoje już nie rozmawiało, lecz zauważyłem, że patrzą na siebie z tą nienawiścią, na którą małżeństwa muszą pracować długo.

W hotelu Elżbieta poszła się zdrzemnąć, a Henryk zszedł do barku, w którym sobie akurat zasiadłem z koniaczkiem i kawką. Zamówił podwójną whisky i rozejrzał się, gdzie by z nią usiąść. A ponieważ zrobiłem zapraszający gest, nie miał wyjścia i przysiadł się do mnie.

Usiłowałem coś do niego zagadać, ale wyraźnie uchylał się od rozmowy. Był napięty i opryskliwy. Wypił jeszcze dwie takie same szklaneczki, ale nie zrobił się miłszy. Jakiś czas posiedzieliśmy milcząco, po czym wstaliśmy prawie jednocześnie i razem udaliśmy się do windy, którą

pojechaliśmy na to samo piętro. Pomyślałem sobie, że raczej nie czeka go miłe małżeńskie popołudnie. Następnie zjechałem znowu do baru i znów zamówiłem koniaczek, lecz już bez kawy. Po chwili postanowiłem pomówić z Leszkiem i zadzwoniłem do niego do pokoju. Ucieszył się z mego telefonu i z tego, że chcę z nim rozmawiać. A dowiedziawszy się, gdzie jestem i co robię, kazał zaraz zamówić dla siebie to samo i powiedział, że już schodzi.

— Miałeś dobry pomysł, aby zadzwonić, bo właśnie wpadła do mnie Lucille z krótką wizytą.

— Myślałem, że cię podejmuje w swoich apartamentach.

— Przeważnie. Czasami jednak udaje się z pałacu do chaty.

— To może niedobrze, że cię wyciągnąłem?

— Jakbym nie chciał wyjść, to bym przecież nie wyszedł. A o czym chciałeś pomówić?

— O Henryku Derkaczu. Starego już trochę rozgryzłem.

— Tego nie musisz rozgryzać, bo w „Derpolu” on się chyba najmniej liczy. Zresztą spytaj Marię, ona ci powie dokładniej.

— No, ale stary jest stary. Czy po nim przejmie to Henryk?

— Stary jest nie do zdarcia. Masz szansę przepracować u niego do emerytury. Też patrzysz na „Derpol” jak na własność Seweryna Derkacza. Odpowiada to prawdzie, ale jest on tylko pełnomocnikiem, jak ja, a pełnomocnictwo się nie dziedziczy.

— A co zrobi amerykański Derkacz?

— Zrobi pełnomocnikiem Henryka. On nie ma własnych dzieci i zakochał się w Henryku, kiedy ten u niego gościł w USA.

— A do niego nie dociera, że „Derpol” jest brata, nie jego?

— Dociera. Daje Sewerynowi wolną rękę we wszystkim, choć trochę swojego grosza również w to włożył. Ale decyzję o nowym pełnomocniku będzie podejmować sam, jeśli przeżyje Seweryna. Jeśli nie, to Seweryn po nim dziedziczy.

— A Seweryn nie chce, aby Henryk przejął po nim cały interes?

— Tego nikt nie wie. Gdyby chciał, toby chyba wciągał go poważniej w jakieś sprawy, budował mu autorytet w firmie i poza nią, a on go poniża, jakby chciał wykazać jego pełną

nieprzydatność. Nie wiem komu. Bratu? Bo tu nikogo to nie obchodzi. Do brata zaś chyba to nie dociera. A poza tym, nie widać nikogo innego, komu by to Derkacz przekazał. Drapich jest prawie równie stary jak on i nigdy nie był traktowany jako prawdziwy partner. Stary należy do ludzi, którzy wierzą w swą nieśmiertelność. Nie liczą się ze śmiercią i niczego na tę okoliczność nie przewidują.

— To było o starym i o Henryku. A Elżbieta? — spytałem.

— Uwodziłem ją kiedyś, ale bez skutku. Zbyt poważnie traktowała wejście do klanu Derkaczów, choć nie sądzę, by się tam dobrze czuła. Ta by się nadawała na szefową. Ona mi nawet przypomina Margaret Thatcher, ale stary jej też nie lubi i do niczego nie dopuszcza.

— Czy on w ogóle kogoś lubi?

— Nie sądzę. Zresztą nie znam jego życia uczuciowego. Andrzej, czy chcesz się jeszcze czegoś dowiedzieć o Derkaczu?

— Nie. Chyba mi starczy.

— To dobrze, bo więcej już bym nie mógł powiedzieć. Chciałbym cię natomiast prosić, byś w sprawozdaniu z forum dość szczegółowo zrelacjonował swe przemówienie.

— Postaram się, choć trochę niezręcznie będzie mi propagować akurat to, co ty mówisz.

— Postanowiłem ci to ułatwić...

Wyobrażałem sobie, a późniejsza relacja Elżbiety Grzegorzowi to potwierdziła, że Henryk, lekko przy napity na koktajlu i w barku hotelowym, uwalił się na łóżku w swoim pokoju i nieco się zdrzemnął. Elżbieta, skrupulatna i systematyczna, wstała zawczasu i weszła do łazienki, by się wykapać i zająć makijażem przed kolejnym wieczornym przyjęciem. Życie bankietowe na targach odchodziło bowiem jak za dawnych dobrych czasów.

Henryk budzi się i widzi krzątającą się po pokoju nagą Elżbietę, jeszcze pachnącą wilgocią. Zobojętnieli już sobie dawno. Elżbieta traktuje męża jak jeszcze jeden mebel, tyle że uciążliwy. On ją w zasadzie też, ale teraz jest nieco rozmarzony

po alkoholu, a Elżbieta wciąż bardzo zgrabna, więc jakimś słowem czy gestem zgłasza swe erotyczne zamiary.

Pani Derkaczowi z pogardą oddała te zaloty i zaczynając się ubierać, rozpoczyna rozmowę.

— Zdaje się, że chcesz się rozwieść i tylko ojciec ci nie pozwala. Czy tak, Henryku?

— Daj spokój, Elka. Czy musimy się zawsze kłócić?

— Pytałam o coś?

— No, może tak, może nie. Mało co ludzie w gniewie powiedzą. To i tak zresztą nie ma znaczenia.

— Bo ci ojciec nie pozwala. Ale mnie nie może tego zabronić.

— Co wygadujesz?

— Nie domyślasz się? Podaj mi kolczyki, są na półeczce nad tobą. Po prostu postanowiłam się z tobą rozwieść. Nie pomyślałeś, że mogę mieć dosyć ciebie, twojego ojca, waszego domu? Tylko mi nie przypominaj, że się sama do niego wpychałam. Bądź choć na końcu dżentelmenem. Wpychałam się, ale jestem rozczarowana. Uważasz, że nie mam podstaw?

— Zwariowałaś? A dom, dzieci? Z czego wyżyjesz?

— Zaczniij się zbierać, Henryk. Dom i tak nie jest mój, a dzieci wyżywią z alimentów. Podaj perfumy. Nie te. Tamte! Dam sobie radę. Coś mi się od Derkaczów po tych wszystkich latach należy.

— Ojciec się na to nigdy nie zgodzi.

— Sądz go nie będzie pytał. Nie pracuje w „Derpolu”. Zapnij mi łańcuszek, dobrze? Przecież tobie nie chodzi o mnie ani o dzieci. Ty tylko boisz się ojca? Nie bój się. Sama mu wszystko powiem, jak wtedy!

Henryk bez większego powodzenia usiłuje zapiąć jej na karku łańcuszek, aż wreszcie rzuca go na toaletkę.

— Poczekaj, Elka. Jak już zaczęłaś mówić, to pomówmy do końca. ... Powiedziałem: zaczekaj, to zaczekaj! Najwyżej się spóźnimy na to przyjęcie. Nachodzisz się po rozwodzie!

— A więc rozwiedziemy się jednak?

— Ja cię siłą trzymać nie będę. Lecz wpierw dowiedz się, jak sprawy stoją.

— No, to mów, szybko. I ubieraj się jednocześnie.

— Dobra, dobra. Nie takim głupi, by nie wiedzieć, o co ci chodzi. Wpierw myślałaś, że jak zostaniesz Derkaczowi, to będzie dobrze. Potem zobaczyłaś, że stary tu wszystkim trzęsie, lecz pomyślałaś, że go przeczekaasz. Teraz widzisz, że to za długo. Szkoda ci życia. Wolisz złapać, ile się da i uciekać niż czekać Bóg wie jak długo na wszystko. Nie zapieraj się, nie krzycz, bo mówimy o interesach. Ja się nie gniewam, bo rozumiem tę kalkulację.

— O co więc chodzi?

— O to, że może ci się już nie opłaci rozwodzić.

— Mów jaśniej.

I wtedy Henryk zaczyna mówić. Że też już ma tego dosyć. Że jest za stary, by być popychłem w domu i w pracy. Że nie wie, za co ojciec gardzi nim i nienawidzi go, ale od dawna ma wobec niego takie same uczucia.

— No dobra — przerywa Elżbieta — mów to staremu, nie mnie.

— Ze starym nie ma co mówić. Nie pomoże, a zresztą już mi nie warto.

— Co znaczy, że już ci nie warto?

I Henryk mówi o Zbysiu Komandosie, którego nazwiska nie zna — i lepiej może, żeby go nie znał — ale który jest doskonale wprowadzony w sprawy Derkaczów i gotów jest... po prostu zabić — tak, nie unikajmy tego słowa — starego. Za pieniądze. Za bardzo duże pieniądze, ale chyba je warto wyłożyć. Nawet nie za majątek ojca, lecz za to, by jego rodzina mogła wreszcie pożyć po ludzku. On, Henryk, bardzo długo się wzbraniał, ale ojciec zachowywał się tak, jakby sam na siebie wydawał wyrok. Zapewne jest to z jego strony początek nowego, gorszego jeszcze — o ile może być gorsze — stadium stosunków rodzinnych.

— Czekaj, Henryk. Co ty za brednie wygadujesz? Opowiadasz mi film gangsterski?

— Niech ci będzie, że film. Poczekaj — zobaczysz. Czekalaś tyle lat, to wytrzymaj jeszcze te parę dni. Potem porozmawiamy.

— Zaraz, bałwanie. Wygląda na to, że ty się naprawdę

wplątujesz w jakąś aferę. Komu ty dałeś za to pieniądze? Ile!?

— Nie bój się! Znów te pieniądze! Dwadzieścia tysięcy dolarów, ale ich nikomu nie dałem. Dam, jak wszystko będzie zrobione. Teraz już lepiej?

— Teraz jakby sensowniej. To ty naprawdę zleciłeś morderstwo własnego ojca?

— Jak widzisz.

I teraz wybuchła spokojna zazwyczaj Elżbieta. Krzyczy, że to i zbrodnia, i głupota, bo musi się wydać, jeśli to w ogóle nie jest jakaś pułapka. I że ją nie obchodzą porachunki rodzinne Derkaczów. A Henryk znów okazuje największą podłość, bo jej to mówi, wciąga ją w to i czyni współniczką. Nadal niczego nie jest w stanie udźwignąć sam.

Kontrargument, że to ona zaczęła rozmowę, a on chciał jedynie odwieść ją od zamiaru rozwodu, nie trafia Elżbiecie do przekonania. Wreszcie Henryk wali czymś ciężkim w stół i robi się cisza.

— Tu jest telefon, Elżbieto. Weź słuchawkę i poproś Warszawę. Połączenie jest automatyczne. Możesz od razu mówić z ojcem i ostrzec go. Albo poproś milicję. Nawet miejscową. Oni to zrobią jeszcze szybciej. No, proszę cię bardzo. Nie chcesz być współniczką zbrodni, to dzwoni!

Elżbieta milczy i Henryk czuje się pewniej.

— Nie masz może odwagi zadzwonić? Ja to rozumiem. Sam wiele razy tchórzyłem w życiu. Ale teraz mogę zadzwonić i ostrzec ojca. Mogę też rozmawiać z milicją i prokuraturą. Tylko ty mi to wyraźnie powiedz. Powiedz, że wszystko ma zostać po staremu albo że odejdziesz i będziesz procesowała się o podział ustawowej wspólnoty majątkowej małżonków. Zresztą małej, bo ojciec niczego nam nie dał. No więc? Milczysz? Czekasz? Na co ty jeszcze czekasz, Elżbieto?

— No dobrze. Kończmy tę psychodramę — mówi Elżbieta. — Jak to uzgodniłeś?

— Że powiem mu, kiedy jestem w Poznaniu, a on to w tym czasie załatwi. Ja nic nie wiem i robię tu swoje.

— No, to rób. Zasznurowuj wreszcie te buty i chodźmy.

„Panie przewodniczący, panie, panowie” — przygaśli już nieco uczestnicy Forum Polonijnego ożywili się nieco, słysząc te słowa. Ożywił się nawet siedzący w centrum prezydium zaproszony członek najwyższych władz państwowych, dawno już nauczony spać z otwartymi oczami.

Ożywiłem się również i ja, bo choć oczekiwałem tych słów, nie miał ich wypowiadać pan Krawczyk, pełnomocnik firmy „Taster” — skup runa, zamrażalnictwo i głęboki przerób produktów rolnych. Spojrzałem zdumiony na Leszka, który także siedział w prezydium, a on skinął mi głową, że wszystko w porządku.

Pomysł z „panem przewodniczącym” zastosowałem z powodzeniem sam na jednym z burzliwych zebrań w burzliwym okresie. Zwróciło to na mnie uwagę, pozwoliło powiedzieć do końca to, co miałem do powiedzenia, i pomogło w wyborze do władz, zresztą na krótko. Tu go sprawdzałem po raz drugi.

„Nie minęło kilka lat od uchwalenia przez Sejm ustawy o przedsiębiorstwach zagranicznych — leciał dalej mym tekstem, napisanym dla Różyckiego, Krawczyk — czas, przez który dziękowaliśmy pięknie za nią. Czy nie widzieliśmy odstępstw, naruszeń? Czy nie zauważaliśmy, jak kolejne akty wykonawcze wypaczały sens tej ustawy? Przecież niejednokrotnie wydawano je tylko po to, aby odstąpić od ustawy. Mówiliśmy sobie jednak, że to nieuniknione wyjątki, omyłki i naruszenia. Jeszcze gorsza była na wielu odcinkach realizacja ustawy, ale walczyliśmy, powołując się na ustawę z 1982 roku. A teraz okazuje się, że jest już kolejny projekt jej nowelizacji. I to nowelizacji zdecydowanie na niekorzyść przedsiębiorstw zagranicznych”.

Słuchałem nie bez pewnego napięcia. Gdybym sam miał wygłaszać ten tekst lub go podpisać w gazecie, nie byłby on tak ostry. Myślałem też, że go Leszek złagodzi.

„No dobrze. A na czym to będzie korzyść? Kto zyska na ograniczeniu naszej działalności? Gdzie jest — rzucał swe retoryczne pytanie prelegent — ta konkurencja, której nie

pozwalamy wejść na rynek? Gdzie są jej produkty? Gdzie jest ten państwowy eksport, który wypychamy z rynków zagranicznych?

Pomińmy zresztą kwestie gospodarcze. Mówmy o prawie. Nasze firmy działały i przed ustawą. W gruncie rzeczy na tych samych zasadach, a w praktyce w lepszych warunkach niż dziś. Ustawę uchwalono — jak słyszeliśmy z najwyższych trybun — po to, aby nadać rangę sektorowi zagranicznemu w gospodarce, aby podkreślić trwałość zasad, na których opiera się polityka wobec niego. Jeśli zatem tak szybko te zasady i ta polityka mają się zmienić na niekorzyść sektora, któremu miało to służyć, to pytam się tu obecnego członka najwyższych władz państwowych, jaką miarą mierzy się trwałość zasad oraz stabilność polityki?"

Tu Krawczyk skończył, a dalszy ciąg mego tekstu przejął inżynier Pietroń — foto optyka, mechanika precyzyjna, galanteria dziecięca oraz dzianina.

„Porządek prawny, którym kieruje się gospodarka i w jakim przychodzi działać przedsiębiorstwom zagranicznym, nie był tworzony pod kątem ich potrzeb i jesteśmy to w stanie zrozumieć. Możemy się dostosować do twardych reguł, ale to muszą być prawdziwe reguły, których nie zmienia się w czasie gry. Nie może być takiej gry, w której nagle hetman chodzi i bije na wprost, i na ukos, a pionek się rusza jak skoczek i daje mata bez uprzedzenia. Proszę, oto wytyczne ministerstwa w sprawie traktowania przedsiębiorstw zagranicznych. Dopóki traktowanie nas tak, jak się nas traktuje, było szykaną ze strony poszczególnych agend i urzędników, można było coś na to poradzić. Nie każdy musi nas lubić — rozumowaliśmy — ale każdy musi wypełniać przepisy. I odwoływaliśmy się do tych przepisów. Takim podstawowym przepisem jest Uchwała 112 Rady Ministrów, która zrównuje w uprawnieniach wszystkie podmioty gospodarki narodowej, w tym również przedsiębiorstwa polonijne. To dla nas było ważniejsze nawet od ustawy o naszych przedsiębiorstwach. I co się dzieje z tą uchwałą? Odwołała ją może Rada Ministrów, unieważnił Sejm czy jakiś trybunał? Nie. Ministerstwo wydaje wytyczne

ograniczające nas w naszych prawach, przekreślając jak gdyby nigdy nic akt normatywny wyższego rzędu, jakim jest dlań uchwała rządu..."

Notowałem skwapliwie, jakbym nie miał tego tekstu w kieszeni. Koledzy dziennikarze słuchali z zainteresowaniem, ale nikt nie notował. Ci już wiedzieli, że nic z tych kwestii nie pójdzie.

Kalicki, właściciel domu mody „Empoli”, powiedział zebranym, co ja myślę o kampanii prasowej wymierzonej w firmy polonijne i o samodzielności i niezależności publikatorów, które się nią zajmują. Kalicki najwyraźniej podzielał mój pogląd, gdyż mówił z niesłychanym zapałem. Zebrał też największe oklaski; bo widać było, że ta sprawa mocno doskwiera biznesmenom i menedżerom sektora.

„Zawiść nie jest motorem postępu, proszę państwa — kontynuował pan Zan, pełnomocnik od mrożonek, lekkiej konfekcji damskiej i prefabrykatów betonowych. — Konkurencja — tak, a zawiść nie. Konkurencja jest wtedy, kiedy staram się robić to samo lepiej albo od razu coś lepszego. Zawiść, gdy przeszkadzam robić innemu. Przeważnie po to, aby samemu nie musieć robić. Spotykamy się z zawiścią — nie konkurencją, proszę państwa! Nie zamykamy oczu na to, skąd ona płynie. Niezależnie od tego, że się na nas napuszcza, ludzi rażą nasze przywileje. Nasza samodzielność, operatywność — zresztą znamy nasze warunki. Nie chcą zrozumieć, że temu, co oni nazywają przywilejami, jeszcze daleko jest do normalnych warunków, w jakich w świecie prowadzi się działalność gospodarczą. Razi ich, że my walczymy o rozszerzenie naszych uprawnień i bronimy się przed ograniczeniami, które i tak zostawiają nas w sytuacji o wiele korzystniejszej od tej, w jakiej znajdują się inne podmioty gospodarki. Musimy powiedzieć szczerze. My nie rywalizujemy z innymi sektorami za pomocą naszych wyjątkowych uprawnień. My ich nie chcemy mieć tylko dla siebie. Nie tylko nam są potrzebne. Uważamy, że te i daleko większe uprawnienia muszą mieć wszyscy: sektor państwowy, spółdzielczy, prywatny. Wtedy będzie normalny krwiobieg w gospodarce, której jesteśmy częścią. Jeśli jedni

drugim będziemy starali się odebrać to, co mamy, to ogólna pula wolności i możliwości się zmniejszy. Lepiej jest użyć cudzych uprawnień jako pretekstu do żądania takich samych dla siebie..."

Tekst napisałem dość długi i wygłoszono go prawie w całości, cokolwiek jeszcze dodając. Nawet anegdota, którą wstawiłem dla zabawy, przekonany, że ją Leszek usunie, została zutylizowana przez Ławrynowicza z PPZ „Pastie” — krawiectwo męskie i damskie, obróbka metali szlchetnych, metaloplastyka, meble dziecięce i ogrodowe.

„Klient w domu publicznym — mówi w zupełnej ciszy pan G. — nie chce panienki, którą mu proponują, bo ta mu nie da tak, jak on lubi. Proponują mu lepszą, najlepszą i następne o najrozmaitszych specjalnościach, a on ciągle to samo. Wreszcie mamam zdenerwowała się i mówi: — już nie pracuję, ale honor profesji wymaga, bym poszła. Po trzydziestu latach nikt mi nie powie, że nie dam mu tak, jak on lubi. — Idą, a po chwili słyhać straszliwy rumor, wrzask, facet wylatuje na ulicę i schodzi czerwona z wściekłości mamam. — No i jak on też chciał? — pytają zdenerwowane panienki. A ta im mówi: — Wyobraźcie sobie, że ten s... chciał za darmo!

Otóż, proszę państwa — kontynuował Ławrynowicz, gdy ucichł gromki śmiech i ciche posykiwania zgorszonych — my jesteśmy takie... no... które nie mogą za darmo. Możemy tak, możemy inaczej, nie zawsze musimy zarobić, możemy nawet trochę dołożyć, ale per saldo nie możemy za darmo. Nie ma kto do nas dokładać. Ci, którzy mają z nami do czynienia muszą zrozumieć, że to jest biznes" — zakończył i zebrał huczne oklaski.

Członek najwyższych władz po pierwszym szoku przyszedł do siebie, słuchał, kiwał głową i coś notował na skrawku papieru. Oficjele Izby „Interpolcomu" milczeli, a wśród nich Leszek, który swoim zwyczajem znów ostatni zabierał głos.

Zaczął od tego, że w ogóle nie zamierzał przemawiać. Wystąpienia panów właścicieli i pełnomocników pokazały jednak, co myśli ogół członków izby, który wybrał jego i innych do zarządu. Więc będzie on musiał z tego wyciągnąć wnioski,

co też uczyni.

— Nie chciałeś się narażać? — spytałem, gdy zasiedliśmy przy whisky w jego hotelowym pokoju, a on zadzwonił do Lucille i przeprosił ją, że nie może przyjść do niej ani jej przyjąć u siebie.

— Korma? Z wizard nine mam jun witchery interest, a w zombie pseudonymous sis ostrich inconvenient. Wolfram Sedna, bay prizewinner cox *populi*.

Sam Leszek, co wnioskowałem z kilku z nim rozmów, nie sądził, by jakakolwiek akcja mogła odwrócić bieg wydarzeń i musiałem mu przyznać rację. Firmy polonijne przeżyły już swój najlepszy okres na samym początku. Dostały szybko wszystko, co mogły Dostoevsky, i od tego momentu zaczęło się stopniowe odbieranie. Ten trend ma obiektywny charakter z punktu widzenia sektora, który ma zbyt małą wagę, by wpływać na wydarzenia określające jego warunki.

Taka była pierwsza przesłanka Leszka. Druga jednakże mówiła, że do likwidacji sektora nie dojdzie, że powstaną nowe i nowe firmy, zachęczone powodzeniem tych pierwszych. I że powstawszy, będą istniały i zarabiałły, chociaż już w gorszych warunkach. I że o te warunki ciągle warto się kłócić, bo potulnym zabierają, co mogą, dwa razy szybciej i dają połowę tego, co mogą dać.

Interesy „Santexu” stały w tym czasie dość dobrze. Leszek zdążył jeszcze w dobrym okresie postawić fabrykę z prawdziwego zdarzenia i wyposażyć ją w zachodnie maszyny; sprawne, lecz nieco już przestarzałe moralnie — więc tanie. Dla przyuczonych robotnic z Kazimierzowa i okolic były w sam raz. Pracowały na nich wydajnie, chwając sobie czterdzieści i więcej tysięcy miesięcznie za spokojną, dobrze zorganizowaną pracę, dobre warunki bhp i bliską odległość od domu.

Praca była w tej firmie podstawowym surowcem krajowym. Z Paryża przychodziły modele, wzory wykrojów, materiały, dodatki, a nawet nici. Szyto odzież wyłącznie sportową, jako że nie obejmowały jej międzynarodowe umowy, określające kwoty eksportowo-importowe w tej branży.

Na rynek krajowy szło tyle, aby było na bieżące wydatki

złotówkowe. Z przeliczeniami bowiem działa się cuda. Jeśli „Santex” sprzedał jedną kurtkę w Polsce za dwadzieścia tysięcy złotych, a dwie takie same na Zachód po 30 dolarów, to licząc po 320 złotych za dolar, a tak się liczyło, wychodziło, że eksport wynosił mniej niż dziesięć tysięcy złotych, a więc mniej niż połowę tego, co poszło na kraj. Tak czy inaczej dolary jednak wychodziły na Zachód, państwo odkupywało z nich połowę, po kursie 320 złotych i wszyscy po drodze wychodzili na swoje.

W tej sytuacji Leszek mógł się już nie przemęczać i zażywać życia, doglądając na bieżąco swych rozkręconych już interesów. Sprawy firmy „Santex” — zauważył — będą go znacznie dłużej trzymały teraz w Paryżu i w innych miejscach niż w Polsce.

— Nie lepiej na Zachodzie zarabiać, a w Polsce wydawać?

— Do pewnego poziomu, Andrzej. Potem lepiej jest być bogatym w Paryżu niż w Warszawie.

— A co będziesz tam robił, poza wydawaniem pieniędzy?

— Zarabiał. Prowadząc interesy firmy „Santex”. Lucille jest poważnym udziałowcem w firmie konfekcyjnej, która kiedyś szyła, a teraz handluje tym, co zleca do szycia innym. Polska konkuruje w tym z Tajwanem i Południową Koreą. Hongkong, Singapur są już poza konkurencją i robią zmyślniejsze rzeczy. Ale włącza się Senegal. Jest ruch w interesie i może to być równie pasjonujące, jak użeranie się z centralą handlu zagranicznego w Warszawie czy producentem nici bawełnianych w Łodzi.

— A jak się ma do tego Lucille?

— Paryż wart był mszy, wart jest i Lucille.

Pobyt w Poznaniu miał się ku końcowi i z każdym dniem był coraz bardziej męczący. Po czterdzieście można jeszcze ostro popracować, a przy tym napić się i zabawić, lecz po kilku dniach zaczyna się mieć tego dosyć. Myślałem już z przyjemnością o powrocie do Marii i okresie spokojniejszego życia. Moją niechęć do bankietowania powiększał też fakt, że światowe życie pochłonęło już sporą część drugiej zarobionej u Leszka studolarówki.

Ostatni bankiet, przedostatniego dnia targów, postanowiłem jednak spędzić intensywnie, nie oglądając się na nadwątlone siły i także finanse. Kończyło się rutynowo na dansingu w „Mercurym”, na którym usiłowałem raz jeszcze nawiązać kontakt z panią Elżbietą. Nie wychodziło. Piła, tańczyła ze mną, ale prawie nie rozmawiała. Henryk Derkacz też pił i milczał, ale u niego to nie dziwiło. Nowością było to, że oboje nie napadali na siebie przy ludziach, nie kłócili się, czemu zresztą nie przydawałem wówczas znaczenia, a i teraz nie wiem, czy to cokolwiek znaczyło.

Lucille piła niewiele. Zatańczyła ze mną raz, z Leszkiem ani razu. Oświadczyła, że jak na starszą panią ma już zdecydowanie dosyć. Ja, ponieważ piłem dość dużo, powiedziałem jej, kiedy przez chwilę byliśmy sami przy stoliku, iż czuję, że muszę się do czegoś przyznać. Że właściwie nie mówię po francusku, ale prawie wszystko rozumiem. Jakoś nie powiedziałem tego od razu, a potem było mi nieporęcznie.

— No, to szczerłość za szczerłość. Ja rozumiem po polsku. Trochę mówiłam jako mała dziewczynka, więc rozumiesz, że dość dawno temu. Jakiej polszczyzny mógł mnie jednak nauczyć mój ojciec, Żyd z małego miasteczka w Galicji?

Zastanawiałem się chwilę.

— Nie wiesz teraz, co będzie z Leszkiem, po tym gdy usłyszałam o tym trupie? — spytała.

Faktycznie, o tym właśnie myślałem.

— Nic się nie zmieni. Kiedyś bym zamordowała za coś takiego, ale wtedy nikt by tak o mnie nie mówił. Nie zmarnuję sobie ostatnich dobrych chwil w życiu z powodu tych kilku cudzych słów i mojej niewczesnej ambicji.

Następnego dnia, wczesnym popołudniem, znów spotkałem się z Derkaczami w hotelu. Szef recepcji wstał, kiedy podeszli do kontuaru i z poważną miną podał im złożony telegram. Derkaczowie spojrzeli na siebie, potem on otworzył telegram, przeczytał, podał bez słowa jej. Chwilę stali milcząc. Nikt prócz mnie i szefa recepcji nie zwracał na to uwagi.

— Proszę zaraz rachunek — powiedział Henryk, a recepcjonista skinął ze zrozumieniem głową.

Henryk wziął od Elżbiety telegram, zmiął go i ruszył ku windzie, nie oglądając się za spieszącą za nim żoną. Koło kosza na śmieci rzucił pomięty papiererek.

Odczekałem chwilę i widząc, że nikt na mnie nie patrzy, podniosłem wyrzucony telegram.

„Ojciec nie żyje” — tyle tylko tam wyczytałem.

Niespodzianki

Gdy zobaczyłem, jak Henryk i Elżbieta ruszają sprzed hotelu gogolowskim fiatem kombi, z zielonym numerem zaczynającym się na IWA, i nie dostrzegłem na parkingu BMW Leszka, wróciłem do hotelu, spakowałem się, poprosiłem w recepcji o rachunek i poszedłem do barku, gdzie jeszcze zamówiłem koniaczek i kawę. Później — jeszcze dwa albo i trzy koniaki. Potem zadzwoniłem do Marii do domu, właśnie powinna była wrócić z pracy, lecz nie wróciła. Znowu poszedłem do barku, lecz zdążyłem wypić tylko jeden koniak, gdy pojawił się człowiek Leszka, pan Józio.

— Moje uszanowanie, panie redaktorze. Nie jedzie pan do Warszawy?

— A pan?

— Właśnie jadę. Szef pojechał BMW z panią Sanders do jakichś znajomych pod Poznań, a ja lecę rekordem do Warszawy. Pan się zabierze?

Szef „Santexu” stawił się w Poznaniu we dwa wozy. Sam z Lucille w BMW, a Józek oplem rekordem kombi przywiózł towar do wystawienia na targach.

— Szmaty zajmują niewiele miejsca — wyjaśnił — zresztą teraz ich nie ma, bo szef wszystko, co tu wystawiał, rozdał komu popadło.

— Wie pan już, panie Józefie, że Derkacz umarł?

Józio aż gwizdnął.

— Stary był, lecz nikt nie myślał, że może stuknąć w kalendarz. Teraz to się „Derpol” rozleci — stwierdził nad wyraz stanowczo.

— Czemu?

— To bardzo skomplikowany interes. Tylko stary potrafił to wszystko utrzymać w rękę. Szef o tym wie?

— O Derkaczu? Nie, chyba nie wie. Jak się dowiedziałem, to już go nie było.

— Szkoda, panie redaktorze, że pan jeszcze w Poznaniu mi nie powiedział — rozmowę zacząłem już w drodze — to byśmy spróbowali mu podrzucić ten cynk. Ale... na pogrzeb zdąży. Prujemy! I pruliśmy dalej, ze średnią przekraczającą setkę.

Pomyślałem sobie, że jestem już skazany na swą zastawę, dopóki się ona nie rozleci. Mogę ją jeszcze może wymienić w porę na małego fiata. Dobrze zachodnie wozy to już widać nie dla mnie. I zdałem sobie sprawę, że choć się wzbraniałem przed tą myślą, to jednak wielkie nadzieje łączyłem z posadą w „Derpolu”.

— Pamięta pan, panie Józiu, tę rozmowę w BMW jak wracaliśmy z Kazimierzowa?

— O tym Komandosie? Pamiętam.

— Mówił mi potem szef, że się pan o nim dowiedział. Kręcił się wokół Derkaczów?

— Tak jakby. Wyglądało, że ma jakiś interes, ale nie wie, jak podejść. Stary nie dawał się ugryźć, ale ten Henryk jest łajza i jeśli on by to przejął, to może coś da się u niego załatwić.

Przez chwilę pomyślałem, aby udać się do Henryka z propozycją, iż poprowadzę mu wydawnictwo, gdyż mi to proponował stary, ale zaraz wydało mi się to naiwne i głupie.

— Panie Józiu!? A jaki jest ten Komandos?

— Źle o nim mówią. To niebezpieczny człowiek. Wie pan, on pyta o Derkacza, a o niego pyta milicja. Widać jest o co?

— Jakieś konkrety?

— Nie ma konkretów. Są ploty. Że kiedyś zabił, a upozorował wypadek. Że nie wiadomo, skąd ma wóz i duże pieniądze, a ma. Nie wiadomo też, co robił, jak wyszedł z pudła. Normalnie mówi się takie rzeczy między kumplami, nawet jak jest coś

lewego. A on kumpli ma, prowadzi się z nimi, odkąd wrócił skądś do Warszawy, ale niczego nie mówi.

— Co na to szef, jak mu to pan powiedział?

— Co miał powiedzieć? Że niewiele z tego wynika.

— To racja. A obecny kierowca Derkacza?

— Staś Pęksa? To szpaner. Teraz Derkacz potrzebuje, to znaczy potrzebował, takiego człowieka jak ja. Co poprowadzi samochód, przewiezie coś ważnego, powie, co trzeba, a czego nie trzeba, nie powie. Do tego potrafi załatwić parę spraw, trochę się zna na przepisach. Kierowca, goniec, sekretarz — wszystko do kupy. A takiego jak Zbynio to potrzebował wtedy, kiedy miał inne interesy. Natomiast ten dureń niczego mu załatwić nie umie, a chodzi i mówi jak gangster z jakiegoś Chicago. Samochód, owszem, bardzo dobrze prowadzi, ale Derkacz swym mercedesem lubi akurat wolno.

— Lubił!

— No, lubił. Może teraz Pęksa jakoś przy Heniu rozwinie się. O, widzi pan? O wilku mowa.

Wyprzedzaliśmy właśnie bez większego wysiłku fiata Henryka, który spieszył do Warszawy.

Henryk i Elżbieta nie odezwali się do siebie ani słowem przez całą drogę. Zajechali pod dom i pobiegli do oświetlonego salonu.

— Co z ojcem? Gdzie ojciec!?

— Tu — odparł Seweryn Derkacz, unosząc się zza oparcia wysokiego fotela, który go całkowicie zakrywał przed oczyma wchodzących. — A gdzie miałbym być o tej porze?

— O Boże! To ojciec żyje!?

— Miałem już nie żyć? Pokrzyżowałem jakieś plany?

— Ale przecież telegram. Telegram!

— Jaki telegram?

— No, ten! Elżbieto, ty masz telegram?

— Ja? Przecież ty wziąłeś.

— Prawda. Zaraz poszukam. Gdzie ja go...? Chyba go wyrzuciłem...

— Idiota!

— Załatwcie tymczasem swoje sprawy między sobą, a ja z wami pomówię, gdy wrócę. Idę na spacer — powiedział Seweryn i wyszedł, żegnany odruchowym już „do widzenia, ojczy”, wypowiedzianym jak gdyby nigdy nic przez młodych Derkaczów.

Moja konfrontacja z rzeczywistością tego wieczoru miała mniej dramatyczny charakter.

Poprosiłem pana Józia, aby mnie zawiózł od razu do Marii, gdzie byłem już wyraźnie oczekiwany, choć z Poznania mogłem równie dobrze wrócić o wiele później, a nawet jutro. Maria miała na sobie suknię, zapewne wieczorową. Stół był nakryty na dwoje, elegancko, z kwiatami oraz świecami. Spojrzałem na nią i na ten wystrój z pewnym zdumieniem, bo niezależnie od tego, co myślałem o jej ciepłym stosunku do mnie, to jednak zejście jej wieloletniego szefa i dobroczyńcy nie powinno przejść całkiem bez śladu.

— Nie widzę żadnych akcentów żalobnych, Mario?

— Nie uprzedziłeś, że mnie porzucasz.

— Cóż to za żarty, teraz? A Derkacz?

— Co Derkacz?

— No, przecież umarł.

— Co!?

I zobaczyłem, że nie było to jej obojętne.

— To ty nic nie wiesz?

— Ja? Skąd? Przecież widziałam go nie dalej jak dwie godziny temu!

— Co!?! — mój krzyk był nie mniej dramatyczny.

Patrzyliśmy na siebie jak głupi, Maria opanowała się pierwsza.

— Mów wszystko po kolei.

Opowiedziałem. A potem ona powiedziała, że dziś znowu zostali w biurze dłużej. A ponieważ Stasio pojechał z mercedesem na przegład i dzwonił, że się przeciąga, Maria zaproponowała szefowi, że go odwiezie do domu, na co ten przystał. Wysiadł z jej wozu i wszedł do domu dokładnie dwie godziny temu — Maria była skrupulatna pod każdym

względem. Ja musiałem odliczyć przejazd z panem Józiem, mój wcześniejszy pobyt w barku w „Merkurym”, czas na zbieranie się do domu, drogę Henryka i Elżbiety, no i uwzględnić jakiś czas, kiedy telegram czekał na nich w hotelowej recepcji. Jakkolwiek liczyć, wychodziło, że telegram dotarł, a więc był również wysłany, na wiele godzin przedtem, nim Derkacz, zdrów i cały, wysiadł z jej samochodu.

— Głupi, okrutny żart — powiedziała Maria — lecz czyj?

— Albo jakieś nieporozumienie. Może pomyłono adresata. A może... a może godziny?

— Co przez to rozumiesz? Przecież ustaliliśmy czas.

— Nie rozumiesz, Mario? Może ktoś się pomylił i za wcześnie wysłał telegram.

— Licząc, że zdrowy człowiek za chwilę umrze? Przecież nie myślisz o próbie zabójstwa.

— Rzecz jasna, nie. Ale może lepiej zadzwonić, wyjaśnić czy też uprzedzić?

Maria stwierdziła jednak, że pan Derkacz nie lubi, gdy mu ktokolwiek miesza się w jego prywatne sprawy, a żadnego biurowego pretekstu, aby do niego teraz zadzwonić, nie ma. Poza tym przecież widziałem młodych wjeżdżających do Warszawy, to oni pewnie już mu powiedzieli o tym nieszczęsnym telegramie. Nie nasza to sprawa, a najważniejsze, że starszy pan żyje.

Przyznałem jej rację, dodając, że bierz *wódki nie razbieriosz*. Na stole stało wprawdzie tylko czerwone wino, lecz zobaczyłem również kieliszki do wódki i do koniaku. Maria zareagowała prawidłowo i szybko wyjęła oszronioną butelkę. Przelecieliśmy dwie szybkie pięćdziesiątki i rzeczywiście w mózgu mi przejaśniało. Pomyślałem, że mego głosu u Derkaczów nie znają.

Telefon odebrał Henryk i powiedział, że pan Seweryn Derkacz właśnie wyszedł na spacer.

Po trzeciej szybkiej kolejce zorientowaliśmy się, że jesteśmy lekko wstawieni, nie bez wpływu przeżytych przed chwilą emocji. Seweryn Derkacz błyskawicznie wywietrzył nam z głowy. Poczulem, że jestem dość głodny, ale Maria stwierdziła,

że przed tak wytworną kolacją zdrożony dżentelmen powinien zażyć kąpieli. Jeśli nawet nie przywiozłem nic czystego z garderoby, to mogę spożyć posiłek w prześcieradle kąpielowym, byłem był czysty.

— Mam nadzieję, że ktoś tu umywa plecy zdrożonym.

— To jest mój obowiązek, ale nie chcę mieć pochłapanej sukni.

Odpowiedziałem, że też tego nie chcę, ale że jest na to sposób. Poza tym jej toaleta została już dostrzeżona i doceniona. Zauważyłem też, że chyba nie warto już chować butelki do lodówki na czas kąpieli, a na stole może się ona w tym czasie zagrzać. Wzięliśmy więc butelkę do łazienki.

W sumie zeszło nam tam trochę. Następnie bez strojów wieczorowych wieszczeraliśmy przy świecach i słuchali Mozarta, poczynając od banalnej zapewne „*Eine kleine Nachtmusik*”.

— No, Henryk - musiała powiedzieć Elżbieta, kiedy już usłyszeli skrzyp furtki za starym, a dochodzący z góry łomot rocka upewnił ich, że dzieci się nie wtrąca do ich rozmowy. — Chyba masz mi coś do powiedzenia?

— Nie wiem. Nic nie rozumiem!

— Widać, że nic nie rozumiesz. Wspominałeś, że załatwiłeś to w sposób skuteczny, bezpieczny...

— Ale chociaż pieniędzy nie dałem z góry.

— To jakby teraz mniej ważne. Wygląda, że ojciec się coś orientuje.

— O Boże! Przecież to najstraszniejsze. I co znaczyć ma ten telegram? Lecz w końcu my nie wiemy o niczym. Dostaliśmy ten telegram. Oboje widzieliśmy go — ktoś go musiał nadawać i przekazywać. Nie musimy wiedzieć nic więcej.

— Ja nie muszę — zauważyła Elżbieta. — Wiesz Henryk, ja nie mam już nic wspólnego z rodziną Derkaczów, a więc i z tą aferą. Nie zlecałam morderstwa i naprawdę o niczym nie wiem. Sam to robiłeś i sam sobie radź.

— Tak! Ale gdyby się udało, to też byś nie miała niczego wspólnego? Z rodziną Derkaczów, ich aferami i forszą?

— Myślałabym, że choć raz w życiu coś załatwiłeś jak trzeba.

— Nie wywiniesz się teraz! Trzeba było wtedy dzwonić w Poznaniu. Nie myśl, że będę ciebie oszczędzał, jeśli sprawa się wyda. Jedziemy na jednym wózku i nie widzę powodu, dlaczego tylko ja mam ponosić ryzyko, a ty masz liczyć wyłącznie na same profity.

W trakcie tej rozmowy Henryk musiał odebrać mój telefon i rozmawiał ze mną w sposób bardzo opanowany. Następnie scena musiała trwać dalej, dopóki nie zadzwonił dzwonek u furtki z ogrodu na ulicę. To ich zdziwiło, bo o tej porze nikt u Derkaczów nie bywał. Ojciec miał klucze i zawsze otwierał sam.

— Kto tam? — spytał Henryk przez domofon wiszący w halu.

— Milicja. Prosimy szybko otworzyć!

Tym razem miałem również przygotowane śniadanie, lecz musiałem zjeść sam, bo Maria pojechała na dziewiątą do biura. Wstałem natychmiast po jej wyjściu. Słyszałem nawet jej krzątanie, lecz leżałem, udając, że śpię, gdyż chwilowo miałem dosyć emocji. Lubię to, owszem, lecz moja pojemność w tej dziedzinie wyraźnie zmniejsza się wraz z upływem lat.

Ponieważ nie mogłem złapać taksówki, jechałem do domu pośpieszonym A. W drzwiach zastałem kartkę:

„Dzwonź pilnie. Rysiek M.” Zastanowiłem się, jaka to pilna sprawa skłoniła mojego milicjanta aż do przyjazdu do mnie. Dodzwonienie się do Morsztyna było problematyczne. Ja, jak to na Ursynowie, telefonu nie miałem, a odpowiedzi na liczne monity nie rokowały niczego pomyślnego. Automaty były nieliczne i na ogół popsute. Przebrałem się więc, wsiadłem do zastawy, która — o dziwo — zapaliła od razu i ruszyłem do redakcji, licząc, że stamtąd wszędzie zadzwonię i wszystko wyjaśnię

W firmie jednakże natychmiast zapomniałem o Ryśku, jak tylko zobaczyłem, co mi wydrukowali z mojego sprawozdania z forum. Co prawda nadawałem je mocno już przynapity, ale nie miało to wpływu na jego treść, gdyż wdrożyłem się do pracy w każdych warunkach. Moim wzorem w tej dziedzinie był

emerytowany już kolega redakcyjny, szef działu sportowego Jurek R. Wziął mnie on kiedyś do Zakopanego na Memoriał Czecha i Marusarzówny, bym przy okazji dostał parę miejscówek na Kasprowy i pojeźdżał, nie mając wymówki, że nie mogę się dostać na tę cholerną górę. Otóż Jurek rozpoczął bankietowanie już od obiadu i kontynuował do wczesnych godzin porannych. Jednego dnia tak się doprawił przy obiedzie, że nie napisał korespondencji z zawodów. Rzucił się na łóżko, kazawszy telefonistce łączyć się o szóstej wieczorem z Warszawą. Liczył, że nada z głowy. Obudził się sam o szóstej, lecz rano. Gdy zadzwonił z awanturą do telefonistki, ta oświadczyła mu, że o wskazanej przez niego porze odbył czterdziestominutową rozmowę, czego Jurek zupełnie nie mógł sobie przypomnieć. Jednakże okazało się, że nadał normalną korespondencję, nie myląc podawanych z głowy wyników, i jego rozmówcy nawet się nie zorientowali, że działa on poza świadomością.

Pomny tego, poczytywałem sobie raczej za zasługę niż ujmę, że oderwawszy się od stołu biesiadnego sam perforowałem taśmę dalekopisu i bardzo zdenerwowałem się, zobaczywszy, co zostało z mego wysiłku. Wykaz uczestników, poczynając od członka najwyższych władz, oczywiście pozostał. Jego przemówienie nawet rozbudowano, posługując się tekstem PAP-owskim. Wszystkie uchwały i rezolucje zostały. Natomiast sprawozdanie z dyskusji, w którym obficie cytowałem co celniejsze fragmenty napisanego przeze mnie tekstu, skwitowane zostało pokrętnym zdaniem: „Dyskusja była burzliwa i obfitowała w momenty krytyczne, nie wyłączając mocno kontrowersyjnych opinii”.

Kontrowersyjny w naszej gazetowej mowie kwiatów znaczy niesłuszny, tyle że powiedziane łagodniej.

Przeczytawszy raz jeszcze uważnie cały ten tekst, udałem się do sekretarza redakcji, który był już widać przygotowany na tę wizytę.

— Siadaj, Jędrus, siadaj. Co masz wrzeszczeć na stojąco.

— Nie mam zamiaru wrzeszczeć, chciałbym tylko wiedzieć dlaczego...

— Dlatego, że nie wydaje nas „Interpolcom”, a RSW „Prasa”. Nie jesteśmy powołani do propagowania obcych nam poglądów biznesmenów polonijnych. Jasno wam, Strzelczyk?

— Mów, o co naprawdę chodzi.

— Szef kazał. Mówiłem, że będziesz wściekły, ale jakby to zlekceważył, każąc ci przypomnieć, od kogo bierzesz pieniądze.

— A dlaczego kazał?

— Mogę się domyślać, że nie ma już mody na biznes polonijny.

— To znaczy, że będziemy napadać?

— Sądzę, że nie. To jest dobrowolna kampania. Jeśli jednak będziemy ich tylko traktować dobrze, jak w tym wywiadzie z Derkaczem, to okaże się, że nie jesteśmy obiektywni, patrzymy jednostronnie i dla równowagi należałoby przypalać. Lepiej więc na jakiś czas całkiem zostawić.

Nie miało sensu kłócić się dalej, ale nie bardzo chciałem tak od razu odpuścić. Z rozterki wybawiła mnie sekretarka, mówiąc, że jakiś pan do mnie przyszedł. Pomyślałem, że Rysiek M. musi mieć wyjątkowo pilną sprawę, skoro aż tak mnie szuka, gdy zobaczyłem go w sekretariacie.

— Chodź do mego pokoju. Chyba tam jeszcze nie ma nikogo.

— Jesteś dobrze poinformowany — powiedział Morsztyn, gdy zasiedliśmy u mnie. — Skąd wiesz o czyjejś śmierci, zanim ona nastąpi?

— Jeśli mówisz o starym Derkaczu, to jego śmierć jeszcze nie nastąpiła.

— Już nastąpiła.

— Co nastąpiło?

— Śmierć. Wczoraj wieczorem przejechał go jakiś samochód, gdy wracał ze spaceru do domu.

— Mówisz poważnie?

— Nie szukałbym cię od rana, by pozartować na ten temat.

— Okoliczności?

— Na razie nie znane. Sprawca uciekł. Nie widać śladów hamowania. Niewiele więcej.

— I ty się tym teraz będziesz zajmował?

— Nie. Ja nadal robię swoje. Ale koledzy wiedzą, że jestem

trochę zorientowany w środowisku.

— A ty wiesz, że ja też jestem.

— Właśnie. Więc skąd wiedziałeś o śmierci Derkacza wczoraj po południu?

— A ty skąd wiesz, że ja wiedziałem?

— To mało ważne.

Pomyślałem, że jak dla kogo. Maria przecież im nie wspomniałaby, a gdyby nawet, to powiedziała by i o telegramie. Zostawał pan Józio, któremu nie mówiłem, skąd wiem o śmierci Derkacza. No, proszę, proszę! Nie prosiłem go o dyskrecję, lecz zawsze. Dobrze, by Leszek o tym wiedział.

Morsztyn wciąż czekał na moją odpowiedź, więc powiedziałem mu o telegramie w Poznaniu, co on skomentował, że już będzie się za co złapać.

— Sądzisz, że to może mieć jakieś znaczenie?

— Niewykluczone. Derkaczowie nic nie mówili o telegramie.

— Bo pewnie ich nikt nie pytał. Mogli to zresztą w szoku przeoczyć.

Lecz Derkaczowie nie byli bynajmniej w szoku. Henryk odprężony pogрузił się w stosownym dlań smutku. Elżbietę niepokoił telegram, lecz Henryk uważał, że z chwilą śmierci ojca kwestia ta przestała być istotna. Jakiś drobny błąd w sztuce, co nie zaważy na całości. Kto będzie podejrzewać istnienie takiego telegramu i szukać go po urzędach czy w poznańskim hotelu? Nastawał natomiast, aby natychmiast uregulować należność. Szybka penetracja szuflad i wszelkich zakamarków ojca pozwoliła z łatwością zebrać dwadzieścia tysięcy dolarów, bez sięgania do własnych zasobów.

— Następnego dnia, to jest dzisiaj, o szesnastej piętnaście na Dworcu Centralnym. Na końcu kolejki do kasy numer osiem lub dziewięć, gdyby ósma była zamknięta.

— Może lepiej by było, gdybym ja poszła?

— O tak! O wiele lepiej. Lecz jak go poznasz? I czy zechce z tobą rozmawiać?

— Opisz mi go. Jak będę miała przy sobie dolary, to nie

odmówi ich przyjęcia. A rozmawiać nie mamy już o czym.

— Wspaniale! — i rozentuzjasmowany Henryk nagle ucałował Elżbietę w oba policzki, ku jej wielkiemu zdumieniu. Ona zaś, po jakimś czasie, miała nieostrożność opowiedzieć o tej rozmowie i paru innych rzeczach swemu szwagrowi i kochankowi zarazem. Lecz to nastąpiło dopiero potem.

— Czuję się winna jego śmierci — powiedziała Maria następnego nocy.

Tym razem byliśmy u mnie, ponieważ spędzenie nocy w jej mieszkaniu wydało się nam niestosowne po tym, jak weseliliśmy się tam, kiedy się rozegrała tragedia. Żadne z nas nie sformułowało tego *expressis verbis*, ale tak jakoś wyszło.

— Czy był przesądny?

— Nie. A dlaczego pytasz?

— Czy sądzisz, że gdybyś zadzwoniła z ostrzeżeniem, to zdołałoby go to odwieść od codziennego spaceru wieczorem?

— Nie. Ale gdybym zadzwoniła, to może wyszedłby o pół minuty później. Może by zabrakło tych paru metrów do przejechania go przez samochód.

— A jeśli ten samochód na niego czekał?

— Chyba nie mówisz poważnie?

— Nie jestem pewien, jak było, ale na pewno nie żartuję.

Maria zamilkła i przytuliła się mocniej do mnie.

— Czy masz jakieś podstawy, aby tak myśleć?

— Ten telegram. Mówiłem ci wczoraj, że mógł być po prostu za wcześnie wysłany. Błąd w sztuce.

— No, dobrze. Ale komu on aż tak przeszkadzał? Kto mógłby mieć interes, by go zabijać?

Było na tyle ciemno, że nie dojrzała chyba mojego pełnego zdumienia wzroku.

— Ty to mówisz poważnie, Mario? Ty, znając go tyle lat, nie wiesz, komu on może przeszkadzać, kto zyskuje na jego śmierci?

— Każdy komuś przeszkadza i ma jakichś wrogów, ale to nie powód, aby zabijać!

— Czasami się jednak zabija. Ja tego wcale nie sugeruję, tylko nie wykluczam tej możliwości.

Nie miało dla mnie większego znaczenia, jaką drogą zszedł ze świata Seweryn Derkacz. Istotne było to, że teraz już nieodwołalnie zniknęła szansa załapania się w „Derpolu”. Leszek wyjeżdża. Nie ma rady, trzeba się odczepić od tego całego biznesu i robić swoje. Maria prawdopodobnie traci więcej, bo to, co już ma, a ja zaledwie perspektywy, zresztą też nie wiadomo czy pewne.

— Ja go kochałam, Andrzej.

— Domyślam się. Przez cały czas?

— Ile lat można się kochać bez wzajemności? Potem już było inaczej, lecz zawsze był dla mnie kimś bliskim.

Sugestię, że wobec tego powinna pomóc w wyjaśnieniu okoliczności jego śmierci, odrzuciła jednak zdecydowanie. Nawet jeśli został zabity. Co to teraz pomoże? To coś równie obrzydliwego jak sekcja zwłok. Człowieka trzeba z szacunkiem pochować, a nie grzebać mu się w bebechach albo w przeszłości.

— Mam nadzieję, że nie prowadzisz śledztwa na własną rękę?
— spytała.

— Ani na własną, ani dla kogoś innego.

— O to drugie cię nawet nie posądzałam. Mogę ci, Andrzej, wiele o nim powiedzieć. Teraz nawet chcę o nim mówić, jak wiem, że zostaje to między nami.

Propozycje nie do odrzucenia

— Masz coś dla mnie?

— Pytasz, jakbym był twoim człowiekiem w „Derpolu”.

— Masz zastrzeżenia, to nie mów — Rysiek był nastawiony ugodowo — przecież nikt cię nie przesłuchuje.

— Nie mam zastrzeżeń, ale nie mam nic, co by było istotne.

— Przecież nie wiesz, co jest istotne. Ja też nie wiem, bo nie ja to prowadzę. Ten telegram na przykład okazał się bardzo

istotny, choć zagadkowy. Wiesz, kto go nadał?

Zatkało mnie, gdy dowiedziałem się, że Seweryn Derkacz.

– Jak to można ustalić?

– Prościej niż myślisz. Wiadomo, kto, gdzie i kiedy telegram przyjął. Kwestia, czy zapamięta nadawcę. Starszego pana nadającego, że „ojciec nie żyje” urzędniczka rozpoznała wśród paru bardzo podobnych zdjęć.

– To niesłychane. Jak myślisz, dlaczego on to uczynił?

– Nie tracę czasu na zgadywanie tego, co inni rozwiązują. Mam nadzieję, że nikomu poza mną nie mówiłeś o tym telegramie.

– Nie. Nie mówiłem. A może on był nieuleczalnie chory i jakoś inscenizował swoją śmierć?

– Nie sędzę. Poza tym stwierdzono, że był zdrow. Mógł jeszcze żyć długie lata i w dobrej formie. No więc, co masz ważnego lub nie?

Opowiedziałem mu o podsłuchanej przez Marię rozmowie Derkacza z Drapichem, co nie zrobiło na nim większego wrażenia.

– Nie mówiłeś, skąd wiesz o tej rozmowie.

– To już na pewno nieistotne.

– Jeśli jesteś o tym przekonany, to na pewno tak jest. Ja czyham tylko na przypadki wątpliwe.

– Nie mam ich więcej – odpowiedziałem, myśląc o dawnej sprawie Zbynia Komandosa i jej kulisach, które odkrył przede mną Leszek. O samym Komandosie jednakże rozmawialiśmy z Rysiem już dawniej, więc o niego teraz spytałem. Okazało się, że go sprawdzili. Tego dnia od popołudnia aż do godzin porannych bankietował nieustannie w motelu „Lido” z gospodarzem, jakimiś przypadkowymi ludźmi i większością załogi miejscowego posterunku MO.

Następnie Rysiek pożegnał się ze mną na kilka dni, co było o tyle dziwne, że normalnie nie widywaliśmy się tygodniami i miesiącami. Czyżbyśmy teraz mieli być w stałym kontakcie?

– Myślałem, że sprawa Derkacza koncentruje się w Warszawie.

– Nie wierzysz mi, jak ci mówię, że to nie moja sprawa.

Zapomniałeś, że się specjalizuję w przeciekach materiałowych.

— I za czym węszysz?

— Tym razem materiały budowlane. Jeżdżę po wielkich budowach i badam, jak to się dzieje, że wokół nich rusza na wielką skalę budownictwo indywidualne, mimo że przydział materiałów nie jest tam większy niż gdziekolwiek indziej.

— Czyżbyś nie wiedział, jak to się dzieje?

— Wiem, ale wiedza ogólna to jeszcze nie dowód.

— Mówiłeś kiedyś, że nie wiesz, gdzie te materiały wykorzystuje się z większym pożytkiem.

— Prawo nie ma tych wątpliwości. Jak będzie coś ciekawego do napisania, to ci wyjednam zgodę na dostęp do informacji.

— A w sprawie Derkacza?

— Mogę ewentualnie prosić, aby ktoś ci wyjednał. Ale sądzę, że ty możesz wiedzieć więcej.

Długo potem zastanawiałem się, czy to była aluzja, czy też kolega Rysio tak sobie zwyczajnie powiedział, a na mnie czapka gore.

„Derpol” przez cały czas funkcjonował mniej więcej normalnie. W biurze jedynie była kilkudniowa przerwa, bo liczni zazwyczaj interesanci, powodowani współczuciem i taktem, nie zgłaszali się. Wkrótce jednak wszystko ruszyło znowu.

Jan Derkacz, właściciel firmy, nie mógł przybyć z Buffalo na pogrzeb brata. W jego imieniu „Interflora” dostarczyła niewiarygodnej wielkości wieniec. Sam- on polecił, aby dyrekcja robiła nadal, co do niej należy i realizowała przedsięwzięcia podjęte przez zmarłego pełnomocnika. Pan Jan zapowiedział też swój przyjazd, kiedy mu tylko zdrowie pozwoli.

W biurze, jak opowiadała mi wieczorami Maria, sytuacja zrobiła się dziwna. Na bieżąco wszystkim kierował Drapich. Częstym gościem był mecenas Sztarkiełło, który konferował z Drapichem w gabinecie Derkacza, po czym Drapich wracał do swego pokoiku. Henryk posiedział parę godzin przy swoim

dawnym biurku, przerzucając jakieś papiery. Nie odważył się zasiać w gabinecie ojca, choć Drapich coś na ten temat napomknął. Następnego dnia Henryk ustalił z Drapichem, że weźmie urlop. Właśnie ustalił, bo nie poprosił ani nie oznajmił, że bierze. I w biurze zrobiło się źzej. Zauważono przy tym, że choć stary Derkacz wszystkim osobiście kierował i nie pozwalał nikomu na podjęcie żadnej decyzji, przynajmniej bez jego wiedzy, to teraz robota idzie nie gorzej, a jakby troszeczkę szybciej.

Po kilku dniach Maria powiedziała mi, że chciałby ze mną mówić mecenas Sztarkiello i spytała, jak ma mnie z nim umówić.

– A skąd on wie, że się widzimy?

– Nie musi tego wiedzieć. Jestem sekretarką i znalazłabym cię w godzinach pracy, gdybym cię nie widywała po nich. A poza tym: czy nasze kontakty mają być tajemnicą?

– Tego nie twierdzę, ale nie lubię ostentacji.

– Ja, jak chyba zauważyłeś, też nie.

Niemiała się robiła rozmowa, więc spytałem, czego może chcieć ten mecenas, na co usłyszałem, że sam mi to powie.

W tym momencie i Maria zauważyła, że jest niemilo, więc powiedziała:

– Kiedyś musiało dojść między nami do spięcia, więc dobrze, że już to mamy za sobą.

Zanim jednak doszło do rozmowy ze Sztarkiellą, Maria przyleciała z wiadomością, że pan Drapich został wezwany na przesłuchanie i z niego nie wrócił. W związku z tym mecenas przeprosza, lecz musi iść do prokuratury, dowiedzieć się, czy zastosują sankcję, wydostać dla siebie pełnomocnictwo Drapicha i pisać odwołanie do sądu, gdyby taka sankcja była. Zorientowałem się jako były ławnik, że jeśli Maria mówi o sankcji, a nie o aresztowaniu, to musiała na ten temat rozmawiać z adwokatem, skoro przejęła urzędową nomenklaturę.

Informacja ta zaniepokoiła mnie nieco. Bałem się dalszych pytań Marii, lecz ich nie było. Zadzwoiłem, jak tylko mogłem najszybciej, do Ryśka, aby wyjaśnić, czy to nie moje informacje

o podsłuchanej przez Marię rozmowie przyczyniły się do zatrzymania Drapicha, lecz dowiedziałem się, że pan Morsztyn wyjechał na kilka dni.

Do rozmowy z mecenasem Sztarkiellą doszło zatem o jeden dzień później. Przyjął mnie w swoim mieszkaniu, w gabinecie, który wyglądał jak na gabinet wziętego adwokata przystało. Urzędował zaś zapewne w zespole przy małym biurczku, w zatłoczonym pokoju, dokąd wepchnęła adwokatów ustawa o ich zawodzie już ponad ćwierć wieku temu.

Adwokat był mi, jak dotąd, potrzebny tylko raz, gdy rozwodziłem się z Krystyną. Pamiętam, jakim szokiem była dla mnie rozmowa na tematy bądź co bądź intymne, prowadzona szeptem, głowa przy głowie, podczas gdy od sąsiedniego biurka dolatywały do mnie strzępy innych, równie intymnych, rozmów.

Tu jednak wszystko było jak trzeba. Ogromne dębowe biurko, przepaściste, skórzane fotele, w szafach, za szkłem, na dębowych półkach woluminy w skórze, ze złoceniami na grzbietach. No, gwoli prawdy trzeba zauważyć, że nie dominowały one w księgozbiornicy, lecz jednak były.

Kawę podała nam panienska w fartuszkach i czepeczkach, czego w prywatnym domu nie widziałem od z górą trzydziestu lat. Koniaczek mecenas rozlewał sam.

— Panie redaktorze — rozpoczął. — Poprosiłem pana, by porozmawiać o firmie pana Derkacza, z którą jestem związany od lat. Bardziej ode mnie jest kompetentny pan Drapich, który za moment tu będzie. Na razie zaś możemy wypić za pomyślny obrót spraw, które będziemy mieli do załatwienia.

Pan Mateusz zjawił się, kiedyśmy lekko dotknęli ustami pękatych kieliszków. Wyglądał czerstwo i zdrowo, na pewno nie jak człowiek, który spędził nieco czasu w niezbyt komfortowych warunkach i taki, który musi porzucić pracę, by zażyć zasłużonego odpoczynku.

— Sprawy mają się tak — rozpoczął mecenas — że zmarły dyrektor poczynił daleko idące kroki, by uruchomić działalność poligraficzną, którą firma ma w swej koncesji oraz działalność wydawniczą, na którą zezwolenie trzeba dopiero uzyskać.

Przestałem być spokojny i aby opanować się, łyknąłem koniaku. W tej chwili panienka wniosła trzecią kawę dla pana Drapicha. Gdy wyszła, Sztarkiello ciągnął swoją przemowę.

— Domyśla się pan zapewne, redaktorze, o czym zamierzam mówić. Otóż wiadomo nam, że pan Derkacz zaproponował panu prowadzenie działalności wydawniczej i pan wstępnie wyraził zgodę. Podtrzymujemy tę propozycję i chcemy wiedzieć, czy pan w zmienionej sytuacji nadal wyraża zgodę. By zaś panu ułatwić zorientowanie się, o czym mówimy, poprosimy pana Drapicha o przedstawienie warunków, których pan Derkacz nie zdążył z panem uzgodnić.

— Pan Derkacz — zaczął Drapich — wszystkim płacił stałe uposażenia, plus uznaniowe gratyfikacje. My w zakładach produkcyjnych, a takim będzie pion wydawniczo-poligraficzny, przejdziemy na system prowizyjny z gwarantowanym minimum. Mam na myśli personel kierowniczy, od którego zależą wyniki ekonomiczne. Na razie jednak zostajemy jeszcze przy starym systemie, a na pewno utrzymamy go w nowych działach w okresie ich organizacji i rozruchu.

— Niech pan mówi o sumach, panie Mateuszu — wtrącił się mecenas.

— Już mówię. Otóż, nie wchodząc w składniki pańskiego uposażenia, wynosiłoby ono praktycznie do osiemdziesięciu tysięcy miesięcznie. Nie potrafię podać wysokości premii kwartalnych, ale byłyby to sumy odczuwalne. Trzynastkę płacimy w pełnej wysokości, a poza tym udział w zyskach, po zamknięciu bilansu rocznego, w wysokości odpowiedniej do uzyskanych zysków. Kłopoty z podatkiem wyrównawczym pozostawiamy panu. Aby jednak nie były zbyt duże, to mniej więcej drugie tyle uzyska pan w formie nieoficjalnej gratyfikacji.

Staralem się robić minę, jakby mówiono ze mną o przeseregowaniu o jedno oczko wyżej w tabeli wynagrodzeń dziennikarskich, lecz czułem, że otwiera się przede mną niebo. Wiedziałem, ile się w tym biznesie zarabia. Rok temu doświadczonemu pracownikowi z MHZ firma polonijna zaproponowała siedemdziesiąt pięć miesięcznie, a on

odpowiedział, że jeszcze poczeka. Miał zresztą za co czekać po latach spędzonych na zagranicznych placówkach. Znajomy inżynier, który objął stanowisko kierownika wytwórni prefabrykatów budowlanych — z codziennym dojazdem siedemdziesięciu kilometrów w jedną stronę — otrzymał osiemdziesiąt tysięcy miesięcznie.

— Jeśli przejdziemy na system prowizyjny, to pańskie minimum nie będzie o wiele niższe niż to, co panu dziś przedstawiłem. Mówię o miesięcznym uposażeniu, bo resztę będzie pan musiał wypracować, lecz w sumie będzie to więcej.

— Oczywiście operujemy dzisiejszym pieniądzem — zaznaczył adwokat — we wszystkim uwzględniamy stopę inflacji...

— To naturalne — potwierdził Drapich. I jeszcze jedna rzecz, w pana przypadku dość istotna. Usługi wydawniczo-poligraficzne zamierzamy świadczyć w poważnym stopniu na eksport. Oznacza to dla pana udział w zyskach dewizowych, płaconych w sposób najbardziej dla pana wygodny.

— Nie możemy równie dokładnie powiedzieć — zabrał teraz głos mecenas Sztarkiełło — czego firma oczekuje od pana. To będzie zależało od wielu czynników. A w tym od pana pomysłów, zdolności i możliwości. W porównaniu z dotychczasowym stanem „Derpol” będzie w większym stopniu liczyć na inwencję poszczególnych menedżerów. Jeden człowiek nie zastąpi we wszystkim pana Derkacza.

W ten kurtuazyjny wobec zmarłego pryncypała sposób likwidowano jego autokratyczny system kierownictwa, co przypominało likwidację schedy po Mao Tse-tungu z zachowaniem liturgii jego kultu.

W miarę jak panowie roztaczali coraz wspanialsze wizje mojej przyszłości, nieco stygłem. Przekroczyłem widać punkt bezkrytycznego zachwytu. Ogarniały mnie wątpliwości, czy to wszystko naprawdę tylko za moją inwencję, której wszak nie zdążyli poznać, czy też coś jeszcze będę musiał świadczyć firmie „Derpol”. Następnie: w jakim stopniu realne są ich propozycje? Może mają do mnie jakiś bardzo doraźny interes, który załatwiają za pomocą odległych miraży. I wreszcie, skąd taka

pewność w rozporządzaniu firmą. Pełnoprawnym właścicielem pozostał Jan Derkacz z USA. Na miejscu jest inny spadkobierca — Henryk.

Kiedy mecenas zrobił ruch wskazujący, że zamierza jeszcze coś powiedzieć, weszła znowu panienska w fartuszku i nachyliwszy się, coś mu szepnęła do ucha.

— Żona przysłała wiadomość, że jest gotowa kolacja. Mam przyjemność panów zaprosić, tym bardziej że pora już jak najbardziej właściwa. Rozmowę skończymy potem — powiedział tonem miłym i zarazem wykluczającym jakikolwiek sprzeciw.

— Aha. I jeszcze jedno — dodał — żebyśmy skończyli z tym, co mamy z naszej strony. Pan Derkacz się bez tego obchodził, my jednak odczuwamy potrzebę prowadzenia działalności, którą się określa jako public relations. Łączy to rolę — jakby rzecznika prasowego i szefa reklamy. Zakłada ona dbanie o image przedsiębiorstwa — bardzo teraz drażliwy problem. Sądzymy, że należałoby to połączyć z działalnością wydawniczą. Podjęcie tej roli oznacza najwyższy stopień wprowadzenia w sprawy firmy, wejście do jej ścisłego kierownictwa. Kwestia wynagrodzenia za to pozostaje otwarta.

Staś Pęksa nadal jeździł w „Derpolu”, ale to już nie było to. Roboty miał zdecydowanie mniej, gdyż odpadło mu wożenie Derkacza, który kiedyś sam bardzo dobrze prowadził i lubił to, lecz zostawszy szefem „Derpolu”, zaprzestał. Mawiał, że gdy nie prowadzi, to w czasie jazdy może o tym i owym pomyśleć, ale Staś zorientował się, że szef już niepewnie czuje się za kierownicą i denerwuje go to, a nie chce się przed nikim do tego przyznać. Jeżdżąc z szefem i załatwiając jego polecenia Stasio czuł się kimś ważnym, prawą ręką bossa, człowiekiem do specjalnych poruczeń. Teraz zaś — tylko kierowcą i gońcem, nawet kiedy zlecano mu do realizacji duże czeki na jego nazwisko.

Pan Drapich już raz i drugi napomknął, że pan Stasio nie musi jeździć z kilkoma papierkami wielkim mercedesem i na

niedawnego człowieka do zleceń powiało grozą, ale mecenas Sztarkiełło obronił sytuację, mówiąc, że firmie chyba przyda się jeden reprezentacyjny wóz i jak już, to taniej jest go używać niż odstawić i jeździć czymś innym.

Tego wieczora, gdy składałem wizytę Sztarkielle, mercedes stał pod sklepem firmowym „Derpolu”. Pan Staś przywiózł towar z zakładu konfekcyjnego firmy i pomagał wnosić go na zaplecze. Gdy skończył, wsiadł do mercedesa i ruszył ostro, myśląc, że jednak lepiej by się czuł, gdyby starszy pan zadysponował sobie taki wózek, jakim jeździ Różycki z „Santexu”. Natychmiast jednak musiał zwolnić, gdyż stojący przed nim duży fiat też ruszył i nie dawał się wyprzedzić. Stasio posłał mu niesłyszalną przez tamtego wiacchę, po czym zobaczył, że kierowca fiata macha do niego czerwoną latarką i zjeżdża na prawą stronę.

Tę reakcję Pęksa miał opanowaną od dawna. Natychmiast zjechał i stanął za tamtym. Potem wysiadł z wozu i ruszył w stronę fiata, sięgając od razu po dokumenty. Lecz nie powstrzymał się, by nie iść krokiem podpatrzonym u Garyego Coopera w filmie „W samo południe”, obejrzanym kiedyś w filmotece, a po papiery sięgał tak, jakby miał wyjąć spluwę. *Colt Python cal. 45 Magnum*. W Nowym Jorku taki gest w tej sytuacji można przyplącić życiem, lecz Morsztyna to tylko śmieszło.

Pan Stasio usiadł na wskazane mu przednie siedzenie fiata, choć zdziwiło go to, gdyż zatrzymujący na ogół wysiadał z wozu.

— Milicja czy, broń Boże, społeczny inspektor? — zapytał.

— Milicja, milicja — uspokoił go Morsztyn.

— Karta rejestracyjna, prawo jazdy, dowód osobisty — wyrecytował, podając dokumenty.

— Niech pan to schowa, panie Pęksa. Myślę, że wszystko jest w porządku. Zresztą nie jestem z drogowki.

— Tak i myślałem. Panie! Czego znowu ode mnie chcecie?

— Znowu? Pierwszy raz rozmawiamy.

— Ja wiem, że was jest wielu w milicji, ale ja już mam tego dosyć! Zznałem co trzeba, odsiedziałem co trzeba. Dlaczego

nie mam spokoju?

— No już! Starczy tego wstępu. Odsiedział pan dużo mniej, niż mógł pan siedzieć. Widzi pan, że mówienie popłaca. Po co pan pojechał do „Lido”?

— Prywatna sprawa.

— Znał pan panią Kowalską wcześniej?

— Nie.

— To po co pan tam pojechał pierwszy raz? No, ale mów pan, bo wezwiemy na dłuższą rozmowę.

Człowiek Al Capone powiedziałby zapewne, że o niczym nie będzie rozmawiał bez swego adwokata, ale człowiek Derkacza wiedział, że ta odzywka z filmów kryminalnych jest dlań bezużyteczna. Poza tym uznał, że skoro Derkacz nie żyje, to z tej strony mu przynajmniej nic już nie grozi. W ten sposób Morsztyn dowiedział się, jakie interesy miał szef „Derpolu” z Kowalskimi i w jaki sposób je załatwiał.

— No i zrobiłby pan krzywdę Kowalskiemu?

— Ee, żartuje pan. Tak tylko się mówi.

— Takie mówienie to jest groźba bezprawna, panie Pęksa. Z artykułu dwieście jedenastie k. k. leci za to do dychy. Takie to i zarty!

Pęksa zamilkł i bez słowa wysiadł z fiata, widząc, że rozmowa skończona. Morsztyn zaś pomyślał, że jego rozmówca, spytany, odpowie w zasadzie na wszystko, ale nie będzie mówił sam z siebie. Jeśli więc wie on coś więcej, to rzecz w tym, żeby wiedzieć, jakie mu zadać pytanie.

Kolacja u państwa Sztarkiełłów była nadzwyczaj miła. Pani domu i dwie dorosłe córki — śliczne i sympatyczne. Jedzenie dobre, przy czym o ile w zamożnych domach podaje się ostatnio produkty pewexowskie, o tyle tu było wszystko miejscowe, widać, że z dostaw prywatnych. A przy tym i jedzenie, i zastawa nie robiły odświętnego wrażenia. Tak się tu pewnie jadło na co dzień.

Po kolacji ponownie udaliśmy się w trójkę do gabinetu, gdzie znów był koniak, ale i whisky, i w ogóle pełen zestaw napojów.

Znalazło się nawet pudełko cygar.

Zacząłem dalszą rozmowę od tego, że nie zmieniłem zdania i podtrzymuję zgodę na podjęcie pracy w „Derpolu”, wyrażoną jeszcze panu Derkaczowi. Nie odniosłem wrażenia, aby rozmówcy byli tym zaskoczeni

— Może więc chciałby pan o coś się spytać? Nabiera pan pewnych uprawnień jako człowiek wiążący się z firmą.

— Trzy pytania, panowie. Czemu zawdzięczam wybór? Przecież nie znacie mnie ani mych możliwości. I czy oczekujecie po mnie czegoś, z czego sobie, być może, nie zdają sprawy? — to drugie. I trzecie pytanie — proszę mi wybaczyć szczerłość czy nawet brutalność — jak dalece można na tym polegać? Proszę mnie dobrze rozumieć. Nie chodzi mi o prawdomówność panów, ale o możliwość realizacji tych planów. Panowie mówicie, jak gdyby „Derpol” był wasz. Zapewne macie ku temu podstawy...

— Ależ, może pan nie kończyć pytania, panie redaktorze — wykrzyknął Sztarkiełło. — Rozumiemy pana wątpliwości i na pewno nie ograniczymy się do stwierdzenia, że jeśli obiecujemy, to można na nas polegać. Zaczniemy od odpowiedzi na pańskie trzecie pytanie, bo bez pewności w tym względzie...

— ... cała rozmowa nie bardzo ma sens — zakończył zdanie Sztarkiełły Drapich.

I w ten sposób dowiedziałem się, że Henryk Derkacz umówił się z nimi, iż na razie daje im wolną rękę w prowadzeniu bieżących spraw. A co do właściciela, czyli Jana Derkacza, to mecenas z nim wielokrotnie rozmawiał podczas swoich pobytów w USA. To bardzo rozsądny człowiek, trochę może za bardzo był zdominowany w interesach przez swego twardego brata. Bratanka, owszem, lubi i chciałby mu zapewnić godne warunki, ale liczy również na zyski z „Derpolu”, w który cokolwiek włożył i z którym teraz ma zamiar związać się nieco bardziej aktywnie, niż to było możliwe przed śmiercią brata. Jeśli więc Henryk zostanie pełnomocnikiem, to na pewno nie będzie jednocześnie dyrektorem. Sposób zarządu firmą zostanie trwale zawarowany w umowie. Wola właściciela firmy

będzie musiała być respektowana, a depozytariuszami jego zaufania, mówiąc nieco górnolotnie, są oni dwaj, w niczym nie uszczuplając należnych praw pana Henryka.

Skinąłem z satysfakcją głową na owo przydługie wyjaśnienie, a następnie usłyszałem, że jeśli chodzi o mnie, to decydujący był wybór starego Derkacza. Popełniał on może błędy, ale przeważnie znał się na ludziach. Poza tym — tutaj są szczerzy — nie było konkurencji. Nie mieli w kim wybierać, bo nikt takiej roboty wydawniczej nie robił, więc czemu nie ja, skoro już jestem pod ręką, orientuję się w sprawach firmy i wykazałem się pewną sprawnością?

— Na co zaś liczymy? Na nic nadzwyczajnego — powiedział mecenas — choć może to i niezwykłe u nas — na lojalność. W Polsce przeważnie pracownik nie identyfikuje się ze swoją firmą. Jej interesy nie są jego interesami. Różne są tego przyczyny, lecz główna chyba ta, że pracodawca nie zapewnia mu utrzymania na godziwym poziomie. Pracownik klepie biedę, o co ma podświadomy żal do pracodawcy, choć ten nie ma wielkiego wpływu na jego zarobki. Albo też koncentruje swą energię i pomysłowość na tym, gdzie by tu zarobić lub skombinować, by wyjść na swoje — perorował Sztarkiełło. — My płacimy tyle, czy też dajemy tyle zarobić, aby pracownikowi opłacało się być związanym z firmą, by myślał o jej sprawach, wiedząc, że i jego będą w ten sposób rozwiązane. Rozumiem, że pod tym względem możemy na pana liczyć?

A kiedy skinąłem głową, że tak, włączył się Mateusz Drapich, mówiąc, że podstawowe uposażenie mogliby mi zacząć płacić od zaraz, jeszcze bez umowy o pracę, na podstawie umowy-zlecenia.

— Abym już teraz poczuł się związany?

— Nie tylko — odparł Sztarkiełło — chcemy od pana jak najszybciej otrzymać projekt działalności wydawniczej, byśmy pewne przygotowania mogli już poczynić zawczasu. Jeszcze pilniejszy jest program dyskretnej akcji propagandowej, budowanie image „Derpolu” w tych delikatnych warunkach. Liczymy, że będzie pan miał dobrą koncepcję i będzie pan mógł zjednać paru pana kolegów w zawodzie.

— Widzi pan — przejął znów prowadzenie Drapich — w „Derpolu” pracuje się od razu. W Polsce robi się nawet dobre interesy, ale powoli. A bardziej się opłaca co miesiąc zrobić operację na dziesięć procent zysku niż raz do roku na sto. Technika jest prosta.

— To znaczy?

— Nie można za bardzo pędzić innych, tańczyć polki pośród tańczących tango. Choć, oczywiście, smarowanie bardzo przyspiesza obroty. Ale można unikać międzyczasów. Wszystko odkłada się u nas na jutro, za tydzień, po pierwszym, po lecie i tak dalej. Pan mógł przynieść wywiad ze zmarłym dyrektorem za tydzień, a przynosząc go nazajutrz, pokazał pan podobny styl do naszego.

Znowu skłoniłem głowę i zobaczyłem, że panowie spojrzeli na siebie, więc już wiedziałem, że teraz będzie coś istotnego. Mecenaz zaczął od razu.

— Nas w zasadzie nie obchodzi przeszłość pracowników, o ile nie rzutuje na ich obecny stosunek do przedsiębiorstwa — powiedział. — Pan mógłby nawet pisywać bzdurne artykuły o naszym mydle czy w ogóle szkalować nas i to by jeszcze nie musiało zdyskwalifikować pana jako naszego pracownika. Być może nawet pozyskanie dotychczasowego przeciwnika mogłoby być pożyteczne. Od tego momentu jednak następuje coś jakby weryfikacja przeszłości pod kątem obecnych wymogów. Boję się, że nie mówię dość jasno.

— Wolalbym jaśniejsze postawienie sprawy.

— Otóż chcielibyśmy prosić, aby się pan zastanowił, czy z tego, co się pan dotychczas dowiedział, co pan dotychczas powiedział lub zrobił może coś wynikać dla naszego, wspólnego już przedsięwzięcia. Może też wie pan coś, co jest dla nas istotne, może jakieś pana kontakty są niebezpieczne albo na odwrót — przydatne?

Wywołałem na twarzy nastrój skupienia, chwilę pomilczałem, aby zaraz potem powiedzieć:

— Nie sądzę. Oczywiście liczne moje kontakty zawodowe mogą być przydatne dla firmy, ale nie myślę, aby panom o to chodziło.

— No, to w porządku — ucieszy! się wyraźnie adwokat, a i Drapich, choć nic nie mówił, jakoś wyraźnie poweselał.

— Jedźmy dalej — kontynuował Sztarkiełło. — Uważam, że powinien pan zacząć się zapoznawać ze sprawami przedsiębiorstwa, zwłaszcza jeśli chodzi o pana działalność informacyjno-propagandową.

— Z jednym zastrzeżeniem, natury taktycznej — wtrącił się Drapich. — Dopóki pana przejście do nas wiadome jest tylko tu obecnym, niech pan wszystkiego dowiaduje się za naszym pośrednictwem. To kłopotliwe, ale na razie tak będzie słuszniej.

Raz jeszcze kiwnąłem głową, lecz trochę się zaniepokoiłem wewnątrz. Dlaczego im tak bardzo zależy na dyskrecji? Nie chcą ujawnić zobowiązań wobec mnie?

— I chyba już ostatnia sprawa na dzisiaj — rzeki mecenas.— Chodzi o zmarłego pana Derkacza. Będzie się pan dowiadywał o nim rzeczy nieraz zaskakujących, czasem mało pochlebnych, zresztą co nieco o nim pan już zapewne wie. Otóż lojalność wobec firmy obejmuje również dbałość o reputację jej założyciela.

— To jasne.

— Cieszymy się, że pan to tak samo pojmuje — powiedział Drapich — zresztą jego krytyka byłaby obecnie mało celowa.

— Podobnie jak za jego życia — zauważył Sztarkiełło. — Nie chciałbym, aby pan myślał, że podchodzę do tego cynicznie. Z panem Derkaczem byłem związany przez prawie czterdzieści lat. Zżyliśmy się, choć to był dość trudny człowiek. Z tego też powodu zajmuję się nadal sprawami jego firmy, choć mnie osobiście nie byłoby to potrzebne, mam z czego żyć. Podobnie jest z panem Drapichem, który swoje już odpracował i którego interesy są obecnie szczęśliwie zabezpieczone.

W zestawieniu z tym co wiedziałem od Marii, o rozmowie Drapicha z Derkaczem, informacja Sztarkiełły wskazywała, że pan Mateusz nie stracił na odejściu swego wieloletniego szefa. I przypomniałem sobie ostatnie — chyba — zadanie dane Drapichowi przez Derkacza: wręczenie zagadkowych dwustu dolarów Komandosowi, o czym też powiedziała mi Maria. Ja zaś nie powiedziałem o tym Morsztynowi, chociaż to mogło być

istotniejsze nawet niż ów telegram czy relacja Marii o odprawie dla Drapicha. Potem pomyślałem, że to przecież nie moja sprawa, lecz jeszcze później przyszła refleksja, że a nuż Morsztyn dowie się o tym inną drogą, a ja mógłbym sobie zapewnić u niego i jego kolegów przody. Nigdy nic nie wiadomo. Może kiedyś będę ich potrzebował, by coś napisać.

— Chciał pan mi coś powiedzieć o Sewerynie Derkaczu? — spytałem.

— Sam pan się z czasem dowie — odparł Sztarkiełło. Chciałbym jednak, by pan go zrozumiał. Nie miał łatwego życia. Ze swoim powołaniem i zdolnościami minął się ze swoim czasem i miejscem. Miał predyspozycję na człowieka miary Cegielskiego czy może Henry'ego Forda. Myślę, że nie przesadzam.

— Nie przesadza pan, panie mecenasie — zauważył Drapich. — Dobrze wiemy, kim by mógł być, był zaś rzemieślnikiem borykającym się przez lata z ramami, w jakie go wtłoczono. Mniej lub bardziej tolerowanym marginesem. Nawet „Derpol” to taki margines, tylko że szerszy.

— W porównaniu z tym, czym dysponował wcześniej, „Derpol” to było wiele, lecz, niestety, przyszło za późno — zauważył mecenas. — Pan Derkacz nie był już w stanie zmienić swego charakteru ani nawyków. Pozostał jak dawniej, w poczuciu osaczenia, nastawiony na stałą walkę, bynajmniej nie na normalnym rynku. Nadal był nieufny, by nie rzec podejrzliwy, o wszystkim chciał decydować sam, pokazał się jako partner wymagający, nieraz bezwzględny. A czasem... Czasem sięgał po metody może już nie licujące ze skalą i rangą firmy...

I to właściwie były wszystkie istotne sprawy poruszone tego wieczora u mecenasa Sztarkiełły.

Było już późno, gdy udawałem się stamtąd do Marii. Samochód znowu musiałem zostawić, taksówki nie mogłem złapać, dojechałem więc do niej, na Żoliborz, tak późno, że tylko charakter naszych stosunków upoważniał mnie, aby

zadzwoić do drzwi.

Nie spała jeszcze. Włosy miała z tyłu ściągnięte gumką i widać było, że jest ich mało. Twarz szara, zmęczona, z głębokimi bruzdami, stara. Nic nie mówiąc ruszyła w kierunku kuchni, jedyne go pomieszczenia, skąd widać było światło. Poszedłem za nią i wtedy dostrzegłem, że ubrana jest w stary, zniszczony szlafrok, a na bosych nogach ma stare przydeptane kapcie. Takiej jej jeszcze nie widziałem i nie spodziewałem się zastać.

W kuchni na stole leżał rozłożony pasjans, stała pełna petów popielniczka, szklanka z nie dopitą herbatą oraz półlitrowka z pewną ilością wódki i pusty kieliszek.

Na pewno nie była pijana, choć widać, że piła. Widząc moje zaskoczenie, powiedziała:

— Musiałam się przyzwyczaić do tego, że raczej nie mam się z kim napić, niż mam. A sądziłam, że już chyba nie przyjdiesz. Napij się, jeśli chcesz — i postawiła na stół jeszcze jeden kieliszek.

Szedłem do niej w stanie cokolwiek euforycznym, mimo obaw, jakie wciąż nurtowały mnie po tylko co skończonej rozmowie. Teraz jednak milczałem.

— Chciałam cię o coś zapytać, Andrzej.

— Proszę.

— Rozmawiałam dzisiaj z Drapichem, po tym, jak go puścili.

— No i...? — czułem, że ogarnia mnie niepokój.

— Pytali go o jego spór z Derkaczem, wynikły wokół odprawy związanej z przejściem Drapicha na emeryturę. Andrzej, tylko ja byłam przy tej rozmowie i tylko tobie ją powtórzyłam. Skąd oni mogli o tym wiedzieć?

Bardzo źle myślałem w tej chwili o Ryśku Morsztynie, lecz pomoc sobie mogłem wyłącznie sam.

— Zapominasz, Mario, że przy tej rozmowie byli jeszcze sami jej uczestnicy. Skąd możesz mieć pewność, że żaden z nich nikomu niczego o tym nie mówił? Ja, mogę cię zapewnić, że nie mówiłem. Derkacz nie przyznałby się do tego, gdyby żył. A Drapich? Jeśli już sam opowiada ci to, co przedtem podsłuchiwałaś, to może mógłby ci powiedzieć, czy wcześniej

nie mówił o tym z kimś innym?

Nie wiedziałem wtedy jeszcze o spotkaniu Drapicha z Korzyckim w „Retmanie” i o tym, co z tego zeznał sam Drapich, lecz Maria musiała to wiedzieć, bo powiedziała, że faktycznie, Drapich mógł się komuś poskarżyć.

— Równie dobrze Derkacz mógł to komuś powiedzieć — zauważyłem.

— Nie. Nie mówił zbytecznych rzeczy.

— Nie odwzajemnił ci uczucia, a ty go bronisz na każdym kroku. Zresztą, może tak właśnie trzeba...

Umilkłem, bo zobaczyłem, że patrzy na mnie wyraźnie wrogo.

— Niepotrzebnie o nim mówiłam. W ogóle niepotrzebnie... Ale już powiem, skoro zaczęłam. Nie wiem, czy kochałam go z wzajemnością czy nie, ale wiem, że mu się podobałam. Kobieta to czuje. On był niezwykle delikatny. Nic nie mówił, nie robił. Żadnych żartów, żadnych aluzji, ale ja czułam. Rozumiesz? To było po jakichś trzech, czterech latach. Odżyłam, poczułam się kobietą. Chciałam go i wiedziałam, że on mnie chce...

— Cóż więc stało wam na przeszkodzie?

— Nie przerywaj! To stało, że on miał skrupuły, czy nie wykorzystuje sytuacji. Tego, że mi pomógł. Nie chciał, żeby to wyglądało na zapłatę... Nie! Nie musiał mi mówić. Wiedziałam. A ja bałam się, że to będzie robiło wrażenie, że chcę go usidlić, przejść z pracownicy na utrzymankę czy może złapać na męża.

— No, a jeśli ludzie się naprawdę kochają? Przecież większe przeszkody można pokonać!

— Może. Ale myśmy nie mogli. Doszło kiedyś... No, powstała sytuacja... Może nawet ja bardziej do tego doprowadziłam. Musiał czy uważał, że musi zachować się jak mężczyzna... i mu nie wyszło... Nam nie wyszło... Koszmar! Jakbym nie wypila, nie mogłabym teraz tego powiedzieć. Dzisiaj by na pewno było inaczej. Wiem, jak się zachować. Wiesz, że nie jestem praviczką. Ale wtedy on byłby moim drugim mężczyzną.

— Ale ty nie byłaś chyba jego drugą kobietą?

— Nie wiem. Nie rozmawiałam z nim o tym. Przed tym i po tym też. Wiedziałam, że żona kiedyś go opuściła. Nie wiem nic

o jego życiu erotycznym... Ale to jeszcze nie wszystko. Następnego dnia po tym... przyszedł do mnie i zaproponował mi małżeństwo. Ni słowa o poprzednim dniu. Znowu na pan i pani. Odmówiłam. Wbrew sobie, bo kochałam go jeszcze bardziej po tej nieudanej próbie, a on może myślał, że nie chcę, bo go uważam za impotentą. I nie byliśmy w stanie otwarcie porozmawiać o wszystkim.

— Umiał się znaleźć.

— Nie mów tak! Nie mów tak o nim. Nie znałeś go! Ja go wcale nie bronię. Wiem, że potrafił być straszny. Ale nigdy nie rzucał słów na wiatr. Nigdy nikogo nie zwodził! Rozumiesz? Jak mi proponował małżeństwo, to znaczyło, że jest się gotów ożenić. Powiedział wtedy: „Nie będziemy do tego wracali. Być może kiedyś powiem pani, że ta propozycja już jest nieaktualna. Ale póki tego nie powiem, może pani w każdej chwili wyrazić zgodę, choćby po latach”.

Zauważyłem, że Maria jest chyba bardziej podpita, niż myślałem na samym początku. Mówiła z ożywieniem, jakiego u niej nie widziałem do tej pory. Musiała jednak zauważyć moją reakcję, bo nagle znowu przygasła.

— I jeszcze jedno, Andrzej. Nie musimy sobie oczywiście wszystkiego mówić, lecz mi przykro, że nie wspomniałeś mi nawet o możliwości twojej pracy w „Derpolu”. Nie pijesz? — spytała widząc, że nie sięgam po mój kieliszek, i napełniła swój.

Nie miałem ochoty na wódkę, lecz pomyślałem, że z pewnością będzie wypić z nią, co nam jakoś pomoże odzyskać normalny kontakt. Nie miałem też specjalnej ochoty na miłość z nią tej właśnie nocy, ale uznałem, że wyjście moje w tej chwili jakoś utwierdzi ten zły stan między nami, pójście zaś do łóżka przywróci nam naszą bliskość.

Podszedłem do niej i pogłaskałem ją po tych ściągniętych włosach i po chudych — teraz to zauważyłem — ramionach. Wstała szybko, więc przyciągnąłem ją do siebie, lecz pozostała sztywna.

— Przepraszam, cię, Andrzej, ale idź już do domu. Nie będziemy się dzisiaj kochali.

Nawet kiedy się czegoś nie chce, jest się złym, gdy tego nas pozbawiają. Odreagować mogłem tylko na Morsztynie. Gdy mu jednak robiłem nazajutrz zarzuty, że informację otrzymaną ode mnie wykorzystał tak, iż jej źródło nabrało podejrzeń na mój temat, odparł:

— Nie trzeba było mówić, że źródło jest nieistotne, lecz zastrzec się, że to ma być tajemnica. I jeszcze jedno, bo Drapich nam tego nie powiedział. Czy może wiesz, po co on udał się na spotkanie z Korzyckim? Skarżył się po pijanemu temu bandziorowi, że mu Derkacz nie wypłaca należnej odprawy, zaś Korzycki prawdopodobnie proponował mu, że załatwi starego, co chyba Drapich odrzucił, na ile pamięta. Ale po co szukał on Korzyckiego?

— By mu wręczyć w imieniu szefa dwieście dolarów.

— Wiesz to na pewno?

— Tak.

— A z jakiego tytułu?

— Tego to nie wiem.

Znowu w rodzinie

Elżbieta była zaniepokojona, gdy wróciła z pieniędzmi, nie spotkawszy na dworcu człowieka, któremu miała je wręczyć. Henryk natomiast — jak opowiadała potem Grzegorzowi — ucieszył się, że forsa zostaje w domu.

— Czy sądzisz, że on tak łatwo odpuścił? — spytała.

— Nie obchodzi mnie, łatwo czy trudno. Grunt, że nie przyszedł. Może musiał uciekać? Zgłosi się kiedyś, to porozmawiamy. Na razie mamy go z głowy.

Od pogrzebu ojca w domu Derkaczów nie siadano już do wspólnej kolacji. Dzieci wałęsały się po mieście, Bóg wie do której. Wpadały potem do kuchni i coś tam jadły albo i nie. Henryk i Elżbieta tak samo. Pani Justyna gotowała w dalszym ciągu, lecz przestała nakrywać do stołu, tylko stawiała jedzenie

w kuchni i zaraz szła spać, zostawiając zmywanie do następnego dnia. Dom zrobił się zdecydowanie brudniejszy, lecz wszyscy jakby się lepiej w nim czuli, choć nikt nie śmiał tego powiedzieć.

Tego wieczora, gdy okazało się, że sprawa jest załatwiona i obeszło się gratis, Henryk zażądał, aby pani Justyna nakryła do stołu w jadalni na cztery osoby. Postawił na stół karafkę z nalewką, butelkę wina, koniak i siedli z Elżbietą do stołu we dwoje, gdyż chłopców nie było w domu.

Przychodzili potem po kolei, lecz żaden nie chciał się przysiąc do rodziców, którym już przy drugiej butelce zupełnie na tym nie zależało.

Kiedy z pokoju chłopców rozległ się łomot rocka, słuchanego bez względu na żalobę po dziadku, Henryk zdecydował się na powiedzenie żonie o swych ustaleniach ze Sztarkiellą oraz Drapichem. A więc poparcie dla Henryka jako pełnomocnika w PPZ „Derpol”, przy współudziale w zarządzie i należytych dochodach obu panów. W zamian za to Sztarkiello zadeklarował pomoc w przejściu osobistego majątku ojca w kraju i za granicą. Przy czym — zapewniał — jest to już tak załatwione, że niewiele będzie wchodziło w skład masy spadkowej, podlegającej wysokiemu opodatkowaniu. Natomiast ma to wyglądać jak istniejący już od dawna odrębny majątek Henryka. Więc automatycznie i jej, Elżbiety, którą Bóg ustrzegł przed pochopnym rozwodem.

Henryk po raz pierwszy chyba odkąd go znała, był rozluźniony i w dobrym humorze. Jej też przechodziło napięcie, w miarę jak piła. Zła była tylko na Grzegorza, który w ostatnich dniach, to jest od śmierci starego, jakby unikał z nią bardziej intymnych kontaktów i postanowiła sobie, że mu to powie.

Następnie oboje udali się do sypialni. Ich pożycie uwiędło dawno, ale w domu Derkacza było nie do pomyślenia, aby małżeństwo nie dzieliło ze sobą tradycyjnego łóża, czy w tym wypadku — zestawu łóżek małżeńskich. A po jego śmierci jakoś im nie przyszło do głowy, aby to zmienić.

Tej nocy doszło między nimi do „kazirodu” — jak

opowiedziała potem Grzegorzowi Elżbieta. Stale ją bawił opisami swego pożycia z Luśką oraz innymi paniami — jako że dżentelmenem nie był — więc wreszcie ucieszyła się, że będzie mogła mu się odwzajemnić.

Otóż Henryk zdecydowanie upomniął się o swoje prawa małżeńskie, a ona doszła do wniosku, że może z nim zdradzić Grzegorza. I po raz pierwszy było jej naprawdę dobrze z Henrykiem. Chociaż, jak uspokoiła potem Grzegorza, nie aż tak dobrze jak z nim. Natychmiast jednak przestało być dobrze, bo Henryk przypomniał sobie nagle, że nie oddała mu tych dwudziestu tysięcy dolarów i zażądał, by to niezwłocznie robiła. Nie powiedziała nic. Wstała z łóżka, zapaliła duże światło, po czym goła i bosa poszła po swoją torebkę. Przyszła z plikiem pieniędzy i cisnęła go tak, aby zielone papierki rozsypały się po łóżku i po podłodze, po czym spokojnie patrzyła, jak równie goły Henryk zbiera je na czworakach, składa i liczy po kilka razy.

— Panie Derkacz. Czekałem na pana. Czy ja panu nie mówiłem, że się nie znam na żartach, jeżeli się rozchodzi o szmal?

Dobry humor Henryka natychmiast przeszedł. Nieznajomy z uroczystości w Kazimierzowie, który potem odwiedził go w domu, teraz stał przy jego samochodzie. Czekał widocznie, aż Henryk do niego podejdzie.

— Posłałem żonę z pieniędzmi. Nie chciałem sam. Ale tam pana nie było.

— Co znaczy nie było? Stałem i czekałem, aż pan się pojawi w kolejce. A pan mi tutaj o żonie!

— To nieporozumienie, proszę pana. Myślałem, że pan stanie w kolejce i żona pana wypatrywała. Może pan widział. Taka szczupła blondynka.

— Żonę to pan przy innej okazji wysyłaj. Pieniądze!

— Nie mam przy sobie. Tyle nie noszę. Jutro?

— Jutro mnie nie ma. Za trzy dni. To samo miejsce i ten sam czas.

– Dobrze, dobrze, ale też przyjdzie żona. Nas lepiej by nie widziano. Tylko niech pan już stoi w kolejce

– Dobra. Żona to żona. Lecz, panie Derkacz! Mówimy ze sobą ostatni raz. Pan chyba wie, co to znaczy...

– Mówiłam, by się nie cieszyć – skomentowała to wydarzenie Elżbieta.

– Mówiłaś, mówiłaś! Teraz się cieszysz, gdy trzeba płacić. Co się cieszysz? To są twoje pieniądze też! okres idylli małżeńskiej między nimi nie przetrwał nawet jednej nocy.

Henryk. Zapłaćmy wreszcie i miejmy to z głowy. Już ci się nie kalkuluje ten biznes?

– Kalkuluje, kalkuluje. Słuchaj, Elka.

– Co jeszcze?

– Jak już będziesz z nim gadać...

– Nie mam zamiaru z nim gadać.

– Jak będziesz się z nim widziała. Spytaj może na wszelki wypadek, jak go znaleźć, gdyby był nam kiedyś potrzebny. Dobrze?

Kogo chcesz... mu jeszcze polecić?

Nikogo, nie bój się. Ale kto wie, co kiedy może się okazać potrzebne.

– Naprawdę nie lepiej zgubić go raz na zawsze?

– nas zawsze odnajdzie, gdy zechce.

– Znowu się mną wyręczasz. Dobrze, pójdę. Ale może mnie też dasz jakieś pieniądze?... Nie za co, lecz na co? Na dom, do jasnej cholery! Znowu mam się prosić trzy razy dziennie!? To po co to było? Byś ty miał wszystko, a ja dalej była bezpłatną służącą? To się źle skończy, Henryk, jeśli tak dalej będzie. Pamiętaj!

– Pan Grzegorz Sawko?

– Tak.

– Dowód poproszę.

– Zaraz. Tylko wyciągnę. Nie wiedziałem

— U nas się dowód podaje razem z wezwaniem.

To nasiliło jeszcze bardziej jego niepokój. Na wezwaniu tylko miejsce i czas były wyraźne. Nie wynikało z niego, po co wzywają go do tego urzędu, czyli po prostu na komendę, a ten facet specjalnie się tak zachowuje, aby go jeszcze podenerwować. Normalnie Grzegorz coś by już ostrego powiedział, lecz tym razem jakoś się bał.

— Pan składał doniesienie, że panu ukradli samochód?

— Tak.

— No, to się znalazł.

Uff! To o to tylko chodziło. A ci cyrk robią

— Bardzo zniszczony?

— Nie bardzo. Radio pan miał?

— Blaupunkt, z przegrywaczem i dwie kolumny.

— Aha. No, to tego wszystkiego nie ma. Widać, że było wyrwane.

— I to już wszystko?

— Zaraz go pan obejrzy. Jeszcze nieduże wgniecenie na atrapie i masce.

— Aha.

— Nie chce pan wiedzieć, skąd ono się wzięło?

— No?

— Jak pana wóz przejechał Seweryna Derkacza, pańskiego teścia.

„Tej nocy, gdy byłam ze Zbyszkiem, to znaczy z panem Korzyckim, on spytał mnie, czy długo tak będę biegać od łóżka do łóżka. Bo miał na myśli Staśka, czyli pana Pękse. Odpowiedziałam, że mi ani w połowie tak dobrze z tym Staśkiem jak z nim, ale że Stasiak był też dla mnie dobry, jak miałam zmartwienia, i że chciał pomóc, choć sam mógł mieć z tego nieprzyjemności. Więc go jakoś tak niezręcznie teraz wykopać. Zwłaszcza że nieswój jest jakiś, odkąd pan Derkacz nie żyje. I powiedziałam też, że ten Staszek ostatnio jakoś szczególnie w złej formie, bo z nim mówiła milicja i on myśli, że oni go podejrzewają o jakieś straszne rzeczy. Boi się, że oni

chyba wszystko wiedzą.

Na to Zbyszek zechciał, żebym mu wszystko dokładnie mówiła, co mi Staszek powiedział. Ale ja powiedziałam, że jak przychodzę do chłopca do łóżka, to nie po to, aby z nim gadać, i że nie pamiętam nawet, co Staszek więcej mówił i czy w ogóle coś mówił, bo z nim tak samo mówić nie chciałam jak teraz z nim, czyli ze Zbyszkiem. To wtedy się Zbyszek roześmiał i powiedział, że już zaraz nie będziemy gadać, lecz że mam jutro Staszekowi powiedzieć, żeby nikomu niczego nie mówił, tylko przyszedł do niego, to on mu poradzi.

Następnego dnia powiedziałam to Staszekowi i on powiedział, że dobrze i że ze Zbyszkiem pogada... Dlaczego sami od razu nie porozmawiali? A bo nie powiedziałam, że Staszek już u nas mniej bywał i jak brałam samochód, to jeździłam do niego po południu. On mieszkał nie sam, ale z jakąś rodziną, tylko ta rodzina wyjechała i on powiedział, że woli, abyśmy byli ze sobą u niego niż u nas w „Lido”. I powiedział też, że lepiej będzie, jak Zbyszek do niego przyjdzie któregoś dnia wieczorem, bo on nie wychodzi z domu, tylko czeka, aż ja przyjdę. Więc, że raz może przyjechać Zbyszek. Na co Zbyszek powiedział, że dobrze.”

Terenia miała tę cechę, że sypała wszystkich i wszystko, opowiadając to, co chciano od niej usłyszeć. Ale nie przejawiała inicjatywy w tym względzie. Dlatego też przemilczała sprawę dolarów, które mąż jej dał Korzyckiemu.

Gdy już odświętowali z mężem fakt, że nikomu niczego nie są winni i „Lido” zostaje ich, Kazek kazał jej, by pogrzebała na półkach i dała mu szybko pięćset dolarów.

— A po co? — spytała

— Daj, nie pytaj. Kalkuluje się.

— Co się kalkuluje, Kazek? Na co mam dać te dolary?

— „Lido” warte jest więcej.

— Co ma do tego „Lido”?

— Chcesz wiedzieć, głupia? Czy może wolisz mieć załatwione? Bo jak chcesz, to ci mogę powiedzieć, jak wszystko jest załatwione, tylko byś potem nie żałowała!

— No dobra, już dobra. Nie gadaj. Masz tego *piacśota* i wydaj go choćby na dziwki, kiedy już musisz płacić.

Potem dopiero Terenia opowiedziała to mnie, ale wcześniej wydarzyło się jeszcze parę rzeczy, które staram się relacjonować w tej kolejności, w jakiej one po sobie następowały.

Grzegorz podpisał wszystko co trzeba, aby odzyskać swoją hondę i wsiadł do niej, nawet nie obejrzawszy specjalnie zniszczeń. Ani on, ani funkcjonariusz, który mu ją wydawał, nie wrócili więcej do wypadku, w którym zginął stary Derkacz. Grzegorz czuł, że trzeba by coś powiedzieć na ten temat, o coś się przynajmniej zapytać, lecz się po prostu bał, choć wiedział, że jego milczenie jest nienaturalne i może być podejrzanе. Milczenie funkcjonariusza nie spodobało się mu, też było jakies nienaturalne. Miał jednak pewność, że milicja się w tej sprawie jeszcze odezwie.

Nastąpiło to szybciej, niż myślał. Podjechał pod swoje „AUTO TRADE”, burknął coś panu Julkowi na temat odzyskanej hondy, którą tamten pieczołowicie wprowadził do zamykanego garażu, i wszedł do swojego biura, skąd niezwłocznie zadzwonił do Luśki i polecił natychmiast wziąć zapasowe kluczyki i udać się pod komendę po zostawiony przez niego jej samochód. Sam postanowił teraz dopiero obejrzeć starannie szkody, jakie odniosła jego honda, lecz w tym momencie pan Julek wprowadził do niego interesanta: faceta z długimi wąsami, fajką, w sztruksowych spodniach i koszuli khaki, bo w upał Morsztyn zamszowej kurteczki nie nosił. Grzegorz zbyt długo miał do czynienia z podejrzanymi interesami, aby od razu nie rozpoznać profesji swego rozmówcy.

— No więc — zaczął Rysiek po przedstawieniu się — jak pan wytłumaczy, że pański samochód przejeżdża pańskiego teścia, kiedy ma pan interes, aby on nie żył?

— Czy ja to muszę tłumaczyć?

— Nie, nic pan nie musi. Ale może to być w pana interesie.

— Przede wszystkim pana.

— Mój jest służbowy. Ale niech będzie, że we wspólnym. Ja

pana nie straszę, nie sugeruję, że to pan zrobił. Pan teraz nie musi ze mną rozmawiać, może nawet nie będzie się pana wzywać w tej sprawie. To zależy czego się dowiemy, między innymi od pana.

— Ale ja przecież niczego nie wiem! Skradziono mi samochód i przejechano nim starego! Nie wiem, kto skradł, nie wiem, kto zabił. Co mogę więcej powiedzieć? Czy pan myśli, że ja bym nie wolał tutaj z panem wszystko wyjaśnić i mieć to z głowy?

- No, to może panu pomogę. Dawno pan ma tę hondę?

— Pół roku. Handluję samochodami, to i sam często zmieniam.

— Alarmu pan nie założył.

— Po co? Stoi albo tu, albo w garażu.

— Tej nocy nie stała w garażu.

— Raz. Byłem skołowany, nie miałem głowy do samochodu.

— Co pana tak skołowało?

— Czy muszę...

— Nic pan nie musi, ale skoro chcemy sobie nawzajem pomóc...

— Przegrałem dość dużo w karty tego wieczora.

— U Prezesa?

— Tego nie powiedziałem.

— Ale ja mówię. To zresztą nie ma znaczenia gdzie. Chcę tylko, żeby pan wiedział, że i my coś wiemy.

— Za to wam płacą.

— Właśnie. Wiem też, że pilnie potrzeba panu pieniędzy i że nie ma pan ich skąd wziąć. Czy to prawda?

— Powiedzmy.

— A teść mógłby panu pomóc?

— Gdyby chciał. Ale to nieużyty człowiek.

— A po jego śmierci?

— Teraz myślę, że szwagier mógłby mi pomóc, jak już ma wreszcie jakieś pieniądze. Bo stary go trzymał na kieszonkowym.

— Czyli, że śmierć teścia była panu na rękę.

— Nie będę udawał — była. I nawet żonie, która jest jego córką. A jego synowi i synowej jeszcze bardziej. Jak ktoś panu

powie, że żałuje starego, to niech pan wie, że kłamie. Więc dlaczego ja miałbym być podejrzanym?

— Wszystkich się sprawdza. Ale to był pana samochód.

— I ja w tej sytuacji miałbym być tak głupi, żeby własnym wozem przejeżdżać starego?

— Pan myśli, że popełnia się tylko zbrodnie mądre, wyrafinowane jak w kryminałach? W większości są głupie i prymitywne...

— Ta akurat nie musiała być wcale głupia i prymitywna — skomentował relację Grzegorza Henryk. — Musiałeś wiedzieć, że ojciec codziennie spaceruje o tej samej porze i w tym samym miejscu. To raz. A po drugie: czy to taka sztuka wyrwać stacyjkę i zapalić na krótko? Zwłaszcza dla ciebie. Znasz się przecież na samochodach. Czy kogo zdziwi, że są twoje ślady palców w twoim samochodzie? Byle cię nikt w nim nie zobaczył właśnie wtedy, ale jest noc i pusto. A potem zostawiasz gdzieś hondę i rano meldujesz, że ci ukradli.

— Zapomniałeś, że wcześniej zameldowałem i nie tej nocy go przejechali, co mi ją skradli.

— No, to mogłeś ją gdzieś przechować.

— Zwiększając ryzyko, że ją zauważą?

— Ale oddalając podejrzenia, bo wcześniej zameldowałeś.

Elżbieta słuchała tej rozmowy ze spokojem, ale Luiza się szybko zdenerwowała.

— Henryk! Jak możesz w ogóle mówić takie rzeczy w rodzinie?

— Ładna rodzina! — zdenerwował się Grzegorz. — Twój brat tak samo nie chce nam pomóc jak ojciec.

Obie kobiety spojrzały na Henryka, który się strapił, ale tylko na krótko.

— Nie mogę.

— Nie możesz czy nie chcesz? — spytał Grzegorz.

— To nie ma znaczenia, czy chcę, kiedy nie mogę.

— A dlaczego nie możesz?

— No, nie mam pieniędzy.

— Ty?

— Ja. Nie jestem pełnomocnikiem ni dyrektorem „Derpolu”. Nie wiem, czy będę. Tego się nie dziedziczy. Postępowanie spadkowe nie przeprowadzone. W domu mam tyle co na życie, a z żadnego konta ojca jeszcze niczego nie mogę podjąć. Zresztą Luiza też odziedziczy, więc będziecie mieli pieniądze.

— Nie powiesz mi, że w domu nie ma paru milionów.

— W gotówce nie ma. A nie sądzisz chyba, że sprzedam to, co ojciec kupił do domu. Żeby pokryć to, coś przepułał w swoim biznesie?

— Henio! Ty się licz ze słowami!

— Ja mogę w ogóle niczego nie mówić.

— Poczekajcie obydwaj — wtrąciła się do rozmowy Elżbieta.

— Przecież „Derpol” normalnie funkcjonuje. Czy nie tak?

— No i co z tego! — spytał się Henryk.

— To, że firma „Derpol” może udzielić pożyczki firmie „AUTO TRADE” czy komukolwiek innemu. Mam rację, Henryk?

— Teoretycznie. Ja o tym nie decyduję. Może Drapich ze Sztarkiełłą.

— To ich poproś czy coś im obiecaj, będziesz przecież ich szefem.

— Albo i nie. I łatwiej mogę nie być, kiedy poproszę. Przecież wy niczego nie rozumiecie! To jest prywatna firma, ale trzyma pieniądze w banku i musi prowadzić księgowość. Żadnego wydatku się nie ukryje. Co to więc będzie znaczyło, że ja, coś tam dziedzicząc po ojcu, wspomagam człowieka podejrzanego o jego zabicie.

— Co? — wrzasnęli wszyscy pozostali członkowie rodziny.

— To, coście wszyscy słyszeli. Nie udawajcie głupich! I ty Grzegorz! Gregory! Ja nie mówię, że ty to zrobiłeś, ale jesteś w to zamieszany.

Odejście Seweryna Derkacza nie wpłynęło na poprawę atmosfery spotkań rodzinnych w jego domu. Odczuli to niewątpliwie wszyscy zebrani, ale najbardziej Grzegorz. Parę dni tylko myślał, że jest uratowany. Henryk nie wydawał mu się przedtem żadnym problemem. Bez woli i bez znaczenia! Tylko

stary liczył się jako przeszkoda. Teraz okazało się, że jego syn przynajmniej w jednym jest podobny do ojca — tak samo nieużyty. Pozostawała Elżbieta. Trzeba się więc z nią umówić. Najlepiej do łóżka, byle już nie u tego Kowalskiego w „Lido”. Ale przy całej rodzinie trudno się jest umawiać. Teraz zaś najlepiej skończyć już z tym tematem. Okazało się jednak, że Henryk bynajmniej nie myśli kończyć.

— No, więc może coś powiesz, Grzegorz?

— Co mam powiedzieć?

— Jak to było z tym samochodem i z ojcem.

— Znów jestem na milicji?

— W rodzinie, Grzegorz — to niespodziewanie dla wszystkich powiedziała Elżbieta. — Na milicji i w prokuraturze można chyba odmawiać zeznań. A rodzinie należą się wyjaśnienia. Lepiej będzie, jak się nie będziesz obrażał, że cię pytamy, ale jak wszystko spokojnie wyjaśnisz.

— O rany! A czy ja bym nie chciał wyjaśnić!? Ale co mogę zrobić, jak nic nie wiem! Ukradziono mi samochód i przejechano nim starego. Ja rozumiem, że tu nikt nie wierzy, iż można kogoś nie zakatrupić — rodzina nie rodzina — jak jest potrzeba i okazja. Czy mam dać słowo honoru, że nie zrobiłem tego?

— Nie musiałeś ty tego robić — powiedział Henryk. — Mogłeś to zlecić.

— Zlecić?

— Tak, zlecić.

— Zabójstwo?

— Zlecić można każdą usługę. Zależy za ile.

— Nie wiesz, o czym mówisz, Henryk.

— Jak mówię, to znaczy, że wiem. Nie było u ciebie, Grzegorz, nikogo, kto by ci proponował, że za forszę, za duże pieniądze, zabije ojca i że wyjdiesz w ten sposób z kłopotów? No, powiedz: nie było?

— Nie muszę o niczym mówić!

— Nie musisz. Ale ty dziś zaczęłaś rozmowę. Możemy w ogóle nie mówić, ale nie ty będziesz dyktować, o czym możemy rozmawiać, kiedy przychodzisz do mnie po pieniądze, których

pewnie nie będziesz mógł nigdy oddać. Ja też nie chcę skandalu w rodzinie i wolałbym, żebyś pooddawał, co jesteś winien. Ale nie chcę jeszcze większego, że płacę za mokrą robotę. Zresztą mogę ci nawet pomóc, ale muszę wiedzieć, na czym wszyscy stoimy.

— No, więc był u mnie jeden taki, jak ty mówiłeś — wreszcie wykrztusił Grzegorz.

— A ty co na to? — dociskał Henryk, lecz Grzegorz tylko wzruszył ramionami.

W tej chwili hysterii dostała Luśka. Zaczęła ryczeć i wykrzykiwać jakieś mało artykułowane, a straszne oskarżenia pod adresem Grzegorza, których ten nie był w stanie nawet zrozumieć. Powtarzało się w nich, że jak on mógł jej ojca...

Aż wreszcie Grzegorz stracił cierpliwość i wrzasnął, aby ją jakoś uciszyć:

— Ciszej! Ciszej, do jasnej cholery! Skończ już ten cyrk! Skończ z tym udawaniem! Może powiesz, że nie wiedziałaś? Że nie mówiłem ci? Przed kim to przedstawienie? Przed twoim braciszkiem chcesz wyjść na świętą i wszystko zwalić na moje konto!? A ja to co? Nie dość, że mam być mordercą, to jeszcze mnie masz za idiotę?

Powroty do „Lido”

Wieromiej Katarzyna. Praktykantka. Lat, jak wynika z papierów, dwadzieścia pięć. Wyniki studiów — takie sobie. Przebieg praktyki mniej więcej też taki sam. Kilka jej tekstów w gazecie — właśnie leżą przede mną wycinki — nie budzi specjalnych zachwytów. O nogach jednak nie można tego powiedzieć — budzą. Opalone jak trzeba, nieprawdopodobnie długie, są akurat starannie eksponowane, od ametystowych paznokci w sandałach, na superwysokich obcasach, do spódniczki mini, która szczęśliwie wraca ostatnio do łask — nieobowiązkowo, tak że mogą je nosić tylko te, którym naprawdę w nich dobrze. Góra też na najwyższym poziomie.

Obcisła koszulka nie zostawia żadnych wątpliwości, że panienka nie używa stanika. Twarz w takich okolicznościach staje się nieistotnym dodatkiem, lecz w tym wypadku akurat jest bardzo ładna.

Z papierów wynika, że panienka kończy właśnie miesięczną praktykę w naszej redakcji i ja jestem — byłem — kierownikiem tej praktyki. Dlaczego u licha o tym nie wiem? Czyżby mi się wzrok zepsuł, że nie zauważyłem tak rajcownej dziewczyny.

— To ja pani dałem te tematy do napisania?

Te dwa pierwsze, panie redaktorze. Trzeci i czwarty dał mi sekretarz redakcji.

— I on adiustował te teksty?

— Tak. Ale pan musi mi podpisać praktykę i wystawić opinię.

— No, to podpiszę i wystawię, tym bardziej że mam wyrzuty sumienia. Mało się panią zajmowałem.

— Odczułam to, ale myślę, że wszystko jest jeszcze do nadrobienia.

— Jeśli się szybko zacznie odrabiać. Zapraszam panią niezwłocznie na... — tu spojrzałem na zegarek — podwieczorek przechodzący w kolację. Bo na obiad już niestety za późno.

— Obiad przeczornie zjadłam.

— Mam nadzieję, że wczesny i lekki. No, to jedziemy. Formalności dopełnimy potem — powiedziałem, chowając papiery panienki do aktówki. — Jak zjem, to łagodnieję i pisuję lepsze opinie.

— Na to między innymi liczę — powiedziała panna Wieromiej.

W ten sposób znaleźliśmy się niebawem w „Lido”. Zapraszanie od razu do siebie do domu byłoby grubą przesadą. Pytanie „co robimy z resztą tak pięknie rozpoczętego wieczoru”, zadane po wyjściu z jakiejś knajpy może sugerować najrozmaitsze odpowiedzi, wśród których pójście na chatę wcale by nie było przesądzone. Natomiast jeśli w zamiejscowym motelu, dokąd przyjeżdżamy samochodem, napijemy się pospołu wódeczki, wówczas kwestia powrotu automatycznie odpada. Zostają tylko warianty noclegu tamże, co znacznie upraszcza sprawę.

Terenia wyraźnie ucieszyła się na mój widok, a obecność panny Kasi zupełnie jej nie speszyła. Uśmiechnęła się do niej serdecznie, a mnie jeszcze serdeczniej ucałowała, kiedy podszedłem do baru, aby się z nią przywitać i wziąć po drinku, nie czekając, aż kelner podejdzie do stolika. Praktykantka natomiast była wyraźnie zdumiona egzotyczną urodą Tereni.

— Myślałam, że po tak długiej przerwie przyjdiesz wpierw do mnie sam — powiedziała Terenia, przydreptując na chwilę do naszego stolika. — Lecz się nie dziwię. Z tak ładną dziewczyną jeszcze do nas nie przyjeżdżałeś, choć przywoziłeś wiele.

— Ani z tak młodą, Tereniu.

— No, może kiedyś. Ale wtedy i ty byłeś młodszy. Dam wam ten pokój, który zawsze najbardziej lubieś.

Jeśli Terenia myślała, że w ten sposób speszy i zrazi Katarzynę — bo szybko wypiliśmy bruderszaft — to była w błędzie. Rychło udaliśmy się, unosząc butelkę jakiegoś podejrzanego napoleona i drugą — mazowszanki, do pokoju „który zawsze najbardziej lubieś”, czyli jednego z tych dwóch wyposażonych w brodziki i wewnętrzny telefon. Tapczaniki były bardziej niż dawniej rozchwierutane, a materacyki bardziej stłamszone. Jedynym sensownym sposobem ich użycia było położenie materacy jeden na drugim na podłodze, co też zostało zrobione. Brodzik na szczęście był czysty, a prysznic sprawny.

Nazajutrz Terenia przyniosła nam do pokoju wielkie śniadanie na wielkiej tacy, zupełnie nie skrępowana sytuacją, jaką zastała. Cokolwiek skrępowany byłem jedynie ja, bo Kasia zachowywała się równie naturalnie jak i Terenia. Potem jednak stwierdziła, że była to dla niej sytuacja nowa, gdyż aczkolwiek przywykła do swobody bycia w erotycznych okolicznościach i to niekoniecznie w izolacji od innych ludzi, ale były to zawsze układy z innymi parami, będącymi w podobnej sytuacji. Nie przypomina sobie natomiast takiej, takiej...

— Burdel-mamy?

— Mniej więcej. Ale ona jest bardzo fajna.

Kiedy poszedłem do Tereni, by się rozliczyć, ta nie chciała

ode mnie pieniędzy za nocleg. Rachunek w knajpie uregulowałem kelnerowi — był słony i jedynie nadzieja na apanaże w „Derpolu” pozwoliła na to nie zwrócić uwagi.

— Andrzej, myśmy mieli ostatnio taki trafunek, że przez rok od nikogo nie powinniśmy brać pieniędzy, a już tym bardziej od ciebie. Jak ci niezręcznie, to przyjedź tu jutro sam i wszystko mi wynagrodzisz.

Zrobiło mi się gorąco, gdy usłyszałem to i przypomniałem sobie dawniejsze u niej wizyty. Nawet na chwilę jakbym zapomniał o pannie Kasi — o której wiedziałem, że czeka w pokoiku, nie kwapiąc się z ubieraniem.

Oczywiście, że pamiętałem i o Marii. Ale miałem uczucie cichej satysfakcji, jakbym się wyrwał na wagary srogiej nauczycielce. Choć przecież Maria wcale nie była sroga ani nie przegrywała w konkurencji z tamtymi dwiema.

Do Tereni oczywiście przyjechałem. Nie nazajutrz wprawdzie, ale za trzy dni, i byłem przyjęty tak, jakby postawiła sobie za cel przebicie wszelkiej konkurencji. A ponieważ w tym czasie przespałem się jeszcze raz — już u siebie — z Kasią, by się utwierdzić na zdobytych pozycjach, i spędziłem, by utrzymać wcześniejsze zdobycze, jedną noc z Marią, przeto byłem rozbawiony jak pętał tą sytuacją, ale i zmęczony, jak przystało na pana w średnim wieku i z nie najlepszą kondycją.

Wychodziłem więc od Tereni nie bez poczucia pewnej satysfakcji, lecz z przekonaniem, że jadę do domu, kładę się spać, mimo przedpołudniowej pory i obowiązków redakcyjnych. Sądziłem, że jako faktycznie już zatrudniony w „Derpolu”, mogę je zlekceważyć. Teraz najważniejsze, żeby nie zasnąć za kierownicą.

Zmęczenie jednak przeszło mi błyskawicznie, kiedy będąc już w drzwiach usłyszałem:

— Panie Strzelczyk. Chyba mamy do pomówienia. Zbytnio Komandos, wyraźnie czekający na mnie przy wyjściu, zły i przepity, zaproponował mi rozmowę w sposób wykluczający jakąkolwiek odmowę.

— Czyja to chata? Od kogo wzięłaś tym razem klucze — spytała Elżbieta, jak zawsze przystępując zaraz po wejściu do rozbierania się. Dawniej Grzegorz komplementował ją za tę bezpośredniość i rzeczowość w przystępowaniu do tego, co lubiła i dobrze robiła, przeciwstawiając jej wiecznie krygującą się Luśkę, skądinąd mało zabawną w łóżku. Teraz jednak, prawdę powiedziawszy, Grzegorz wolałby wpieryw porozmawiać z Elżbietą o interesach, a potem ewentualnie zabrać się do amorów. Nie zawsze mężczyzna, nawet jurny, ma do tych rzeczy głowę.

— No więc, u kogo gościmy? — ponowiła pytanie Elżbieta. — A ty, Grzesiu, tym razem się nie rozbierasz?

— Już, już, oczywiście. U kogo? A taki jeden, kolega.

— To się rozbieraj, a ja tymczasem zobaczę, co to za kolega... Nie za czysto, ale można wytrzymać... plakaty jak u moich chłopców, młodzieżowiec jakiś czy co?... czekaj, czekaj! — krzyknęła, zobaczywszy wśród jazzowych posterów i gołych babek jakieś zdjęcia. — To przecież mieszkanie twojego pana Julka, czy nie tak!?

— No, tak. Ma to jakieś znaczenie, Elka...? No, chodź!

— Nie bój się, zdążymy. Przecież ty chciałaś głównie pogadać ze mną o interesach. Nie tak może? Przecież cię znam. To pogadajmy wpieryw, a potem do łóżka.

— To mów.

— Ty, Grzegorz, chyba faktycznie wzięłaś się nie za swoją robotę. Jak możesz brać klucze od swojego pracownika i to takiego nachała jak Julek? Takiego trzeba na dystans, a jeszcze lepiej — wyrzucić. Czy ty tego nie rozumiesz? Nie widzisz, że on cię i tak załatwia jak chce, a ty mu jeszcze sam włączysz w ręce. Może mu się jeszcze chciałaś przypodobać, mówiąc, z kim tutaj będziesz!... No dobra, już się tak nie oburzaj, jak jesteś głupi.

Własna głupota nie była dla Grzegorza czymś oczywistym. Bliski już był obrażenia się na Elżbietę, gdyby nie to, iż wciąż liczył na pieniądze Derkaczów i myślał, że jak już wziął ten klucz — głupio, nie głupio — to nie ma co chaty marnować. By jednak poprawić swoją pozycję przetargową, przypomniał sobie o pretensji, jaką miał do Elżbiety za to, że w czasie

rodzinnego spotkania przeszła na drugą stronę, przyciskając go do ściany pytaniami na temat teścia.

Elżbieta słuchała tego z rosnącym zdumieniem.

— Grzesiu, to chyba jesteś jeszcze głupszy, niż myślałam. Przecież jeśli mam ci coś u Henryka wychodzić, to nie mogę za każdym razem brać twojej strony. Myślisz, że nas nie podejrzewa?

— To jego sprawa.

— I moja też. I jakby twoja, jeśli chcesz te pieniądze. I jeszcze jedno. Mnie nie mówiłeś o tym zleceniu na zabicie starego.

— Nie traktowałem tego poważnie.

— Lecz się przyznałeś. A dlaczego cię przyciskałam? Bo ci chciałam dać szansę, żebyś coś sensownego powiedział. Nie myślałam, że nie masz czegoś gotowego do powiedzenia. A ty, nie wiadomo dlaczego, przyznałeś się do tego zlecenia.

— Skoro i tak wiedział. Czekaaj! A skąd on wiedział?

— Teraz dopiero się zastanawiasz? Bo sam też zlecił zabójstwo! Stąd wpadł na pomysł, że i ty mogłeś to zrobić.

— Skąd mogłem na to wpaść?

— A Henryk mógł?

— No, to było zostać z Henrykiem, jak taki dobry.

— Tyś jest lepszy, ale w czymś innym — i tu Grzegorz musiał wysłuchać opowieści o tym, jak się Elżbieta z mężem przespała. Zrozumiał, iż opowieść ta jest adresowana do jego męskich ambicji, ale Elżbieta jeszcze go powstrzymała.

— Pogadajmy do końca o interesach i miejmy je z głowy.

— Tylko mi już nie powtarzaj, jaki ja jestem głupi.

— Nie będę. Chcę ci pomóc, ale sama nie mogę. Nadal nie mam pieniędzy. Henryk mi tak samo wydziela jak stary, tyle że mniej. I nie wierz mu, gdy mówi, że nie ma luźnej gotówki...

— Nie wierzyłem mu ani przez chwilę.

— I słusznie. Ale teraz ty go musisz przyduścić.

— Jak?

— Zmusić, by się przyznał, że też wynajął tego człowieka. Za dwadzieścia tysięcy dolarów, jeśli chcesz wiedzieć. Mówili o tym w Kazimierzowie, na otwarciu „Santexu”, i u nas w domu. Jak go tym wszystkim zaskoczysz, to pewnie tak samo się

przyzna jak ty.

— No i co z tego?

— Też poczuje się zagrożony. Nie będzie miał nad tobą przewagi.

— Myślisz, Elka, że to pomoże?

— Nie wiem. Ale trzeba spróbować. Jak nie, to pomyśli się o czymś innym. Ale dajmy mu szansę.

— Jaką szansę?

— Nieważne. Jak to mówiłeś kiedyś? „Nie lubię kobiet zbyt łatwych, ale tę chatę mamy tylko na pół godziny”. Czy nie tak?

— No, z tą to bym już nie poszedł do łóżka — mruknąłem, gdy zażywna Bułgarka, plaskając bosymi stopami po arenie, zaczęła się w jakimś orientalnym tańcu pieścić z długim, grubaśnym pytonem. Powyżej pasa miała na sobie jedynie stanik i bransolety; tłuste, leniwe bydlę przyklejało się jej do brzucha, pleców i ramion.

— Dlaczego by z nią tata nie poszedł do łóżka? — spytała nadspodziewanie głośno ośmioletnia Ewka. Widocznie niezbyt cicho mruknąłem.

— Bo tata lubi szczupłe panienki — odpowiedziała równie głośno dwunastoletnia Jola. — Mama była szczupła i Kasia jest szczupła, zobacz! — i tu wskazała młodszej siostrze pannę Wieromiej, która dowiedziawszy się, że tej niedzieli pełnię obowiązków ojca, wprosiła się na pójsie z nami do cyrku.

Chyba tylko jedna osoba w pobliżu syknęła. Większość sąsiadów na ławkach ta wymiana zdań zaczęła bawić bardziej niż taniec z węzami.

— Tata nie lubi węży — wyjaśniała moim córkom Kasia — i nie chciałby dotykać takiej pani, którą dotykał wąż. A to, że nie jest szczupła, to chyba by mu nie przeszkadzało.

— A jakby się wyszorowała po tym wężu? — dociekała Ewka.

— To już spytajcie tatę. Ja na wszelki wypadek nie będę ruszała węży.

— No, a teraz grzeczne dziewczynki dostaną lody — zapowiedziałem, kiedy wyszliśmy spod namiotu na rogu

Chłodnej i Towarowej.

— A najgrzeczniejsza dziewczynka jeszcze i koniaczek do tego — zauważyła Kasia.

— Nie do tego, lecz potem — zdecydowałem, ale to niewiele pomogło, bo Ewka stwierdziła, że ona jest najgrzeczniejsza i jej się ten koniaczek należy. Zaczęło się robić rodzinnie i miło.

Kasia, żywa i pomysłowa, była już z moimi córkami w najlepszej komitywie. Teraz, zostawiwszy mnie z tyłu, wzięła je pod ręce i szybko pociągnęła w kierunku samochodu. Coś gadały, śmiały się głośno. Wyglądało, że dystans wiekowy między nią a nimi jest niewielki.

Zastanawiało mnie to, gdyż od czasu do czasu staję się podejrzliwy. Przecież trudno przypuszczać, aby Kasię tak bawiły te dwie gówniary. Jeśli chce z nimi nawiązać kontakt, to raczej ze względu na mnie — pomyślałem z zadowoleniem i niepokojem zarazem.

Podjeżdżając potem pod dom Krystyny, zastanawiałem się, jak teraz postąpić. Zawsze, gdy odwoziłem córki, wchodziłem z nimi, piłem herbatę czy zostawałem na kolacji. Lecz teraz byłem z Katarzyną, co trochę zmieniało sytuację. Z kłopotu wybawił mnie Stefan, mąż Krystyny, który zajechał pod blok w tym samym czasie co my. Przywitał się ze mną, zapoznał z Kasią, a moje córki cmoknęły go w policzki, tak samo jak to robiły ze mną.

Początkowo irytowała mnie jego zażyłość z nimi, podobnie jak jego moja przeszłość z Krystyną. Ale ja lubiłem go z góry, za to, że był i dzięki temu nie ciążyła mi na sumieniu samotność Krystyny. Teraz jednak wszystkie emocje wystygły i stosunki były ze wszech miar naturalne.

— Wejdziecie na górę? — spytał tonem, w którym stwierdzenie przeważało nad pytaniem.

— Dziękuję — odparłem. — Tym razem nie, mamy jeszcze coś na mieście do załatwienia. Pozdrów Krystynę.

Koniaczek dla najgrzeczniejszej dziewczynki był serwowany u mnie w domu. Kasia zapowiedziała, że oczywiście zaprosi mnie kiedyś do siebie, ale gdy wyjedzie mama, z którą mieszkały we dwie. Kasia mogła nie wracać na noc, wyjeżdżać,

z kim chciała, ale do domu nie lubiła zapraszać, nawet na herbatę, mimo że mama nie miała nic przeciw jej gościom.

W miarę jak upływały nocne godziny i malała ilość koniaku w butelce 0,75, o możliwych poważnych zamiarach Kasi wobec mnie myślałem z coraz mniejszym niepokojem i większym zadowoleniem, choć uprzednio, jeśli robiłem w myśli jakieś przymiarki w sprawie ewentualnego uregulowania życia, to raczej w związku z Marią, a nie jakąś smarkułą. Teraz jednak myślałem, że czemu bym nie miał związać się z młodą, atrakcyjną dziewczyną.

W ogóle to żyłem w przeświadczeniu o rosnących szansach matrymonialnych mężczyzny i malejących kobiety, w miarę upływu lat. Gdzieś koło trzydziestki zauważyłem, że wokół mnie jest coraz więcej samotnych kobiet: panien, rozwódek, a prawie zupełnie nie ma wolnych mężczyzn. Po jakimś czasie dorobiłem się własnej teorii, zasadzającej się na analizie danych demograficznych i konstatacji, że mężczyźni żenią się z młodszymi od siebie kobietami. Dwudziestolatek ma więc do wzięcia tylko dwa—trzy roczniki dziewczyn: rówieśnic i młodszych od siebie, a i to w pewnym stopniu teoretycznie, gdyż przegrywa w konkurencji z nieco starszymi kolegami, dwudziestolatka zaś, jako potencjalnych partnerów, ma roczniki chłopców od dwudziestu do, powiedzmy, czterdziestu lat. Z kolei czterdziestolatek, choćby już zużyty i nieatrakcyjny, może przebierać w dwudziestu rocznikach młodszych od siebie kobiet, czterdziestolatka zaś, nawet dobrze się trzymająca i rajcowna, ma do wyboru mężczyzn, też z dwudziestu roczników, do jakiejś sześćdziesiątki, lecz po czterdziestce chłopcy zaczynają wymierać i roczniki ich są już przeredzone.

Artykuł, w którym kiedyś wszystko to opisałem, zrobił nawet sporą furorę. Parę pań poczuło się urażonych z powodu ukazania ich nikłych szans, lecz każdą zapewniałem, że ona stanowi wyjątek i jej te reguły nie dotyczą. To je udobruchało, co wraz z pewnym przestachem, jaki moja statystyka jednak wywoływała, robiło mi przody w zabieganiu o względy płci przeciwnej, dopóki pamiętano artykuł.

W każdym razie, w wolnej pani, z którą się poznawałem,

wyczuwałem jakby pewną gotowość, nieraz może podświadomą, do potencjalnego małżeństwa, co utwierdzało mnie w dobrym samopoczuciu. Teraz też usiłowałem Kasi wytłumaczyć swoją teorię, ale byliśmy już zbyt zmęczeni, senni i przynapici, jak na dłuższą rozmowę. W każdym razie zrozumiała, że mówię coś o małżeństwie.

— Mam nadzieję, że to nie jest poważna propozycja — mruknęła i po chwili już spała.

Wieczory z Marią nieco zmieniły swój charakter. Przedewszystkim stały się rzadsze, bo Kasia była dosyć wymagająca i egzekwowała to, co uważała za należne, znacznie bezwzględniej od Marii. A poza tym, między zjedzeniem kolacji a pójściem do łóżka, dyskutowaliśmy z Marią o problemach „Derpolu”.

Przynosiła mi od Drapicha teczki z różnymi papierami, ja je w domu przeglądałem, a u Marii wyjaśniałem wątpliwości.

Była zorientowana, rzeczowa i pełna raczej dobrych pomysłów.

— Tyś powinna być szefem „Derpolu” — stwierdziłem. — Tyle wiesz i takie masz dobre plany.

— Wolę, jak wykonują je inni — odpowiedziała z dwuznaczną nieco skromnością.

Orientowałem się, że dla Drapicha, a więc i chyba dla Sztarkiełły, moje stosunki z Marią nie są już tajemnicą, skoro przez nią dostaję akta. Chyba nie sądzą, że przekazuje mi je i odbiera w trybie wyłącznie sekretarskim. Zresztą, któregoś wieczoru, Drapich został zaproszony na kolację do Marii, a potem poszedł, pożegnawszy się z nami w sposób naturalny, jako z tymi, co zostają oboje.

Wręczył mi wtedy, nie na osobności bynajmniej, moje pierwsze miesięczne wynagrodzenie z „Derpolu” — minus dwadzieścia i pół procent podatku — z tym, że przedtem musiałem wypełnić blankiet umowy o dzieło oraz rachunek. Następnego dnia zaprosiłem Marię na obiad — jednak — do „Victorii”. Zamierzałem po tym obiedzie odmeldować się do następnego dnia, ale zrobiło się tak miło, że zadzwoniłem do Kasi i powiedziałem, iż tego wieczora nie możemy się niestety zobaczyć.

Z „Victorii” ruszyliśmy się w kierunku Starego Miasta na lody do „Hortexu”, ale zatrzymaliśmy się w ogródku kawiarni „Europejska” na placu Zwycięstwa, wychodząc z założenia, że jeśli lody tu nawet nie są tak wspaniałe, to koniak na pewno dostępniejszy. A potem, gdy Maria spytała, do kogo z nas się udamy, zaprosiłem ją do motelu „Lido”.

Na trzeźwo nigdy bym jej tej propozycji nie zrobił, uważając ją za uwłaczającą dla damy, jaką Maria bez wątpienia była. Powiedziawszy jej, że moglibyśmy tam pojechać, zreflektowałem się, że popełniłem błąd i nietakt. Już to chciałem obrócić w żart, ale ona przystała na pomysł z wielką ochotą. Moje uwagi o nędzy moralnej i materialnej tego miejsca tylko ją zachęciły, by tam pojechać.

Użycie któregoś z naszych samochodów zupełnie już nie wchodziło w rachubę. Wziąłem więc taksówkę, uzgodniwszy z kierowcą cenę umowną. Pomyślałem sobie, że nawet jako top executive w firmie „Derpol”, nie będę chyba często korzystał z takich luksusów i pojechaliśmy.

Terenia znowu znalazła się na poziomie.

— Coraz wspanialsze kobiety, Andrzej — powiedziała przynosząc nam klucz do stolika. — Miło pomyśleć, że stary przyjaciel ciągle ma powodzenie, no i zdrowie do tego. I pamiętaj, że mnie też będzie się należało.

Marię, o dziwo, rozbawiło to jeszcze bardziej, tak jak i manewr z kładzeniem nędznych materacyków na podłodze. Podobnie dobrze przyjęła ranne wejście Tereni ze śniadaniem, kiedy leżeliśmy jeszcze na tych materacach, a ja, z trochę kwadratową głową, zastanawiałem się, czy jednak nie przesadziłem ze swoim chojractwem i chęcią popisania się — przed Terenią? Przed Marią? Przed sobą? — jaki to jestem wspanialec.

Tym razem na tacy było również piwo żywieckie w licznych oszronionych butelkach, jako że Terenia wyciągnęła słuszny wniosek z tego, że przyjechaliśmy do „Lido” taksówką. Sama wypila z nami tylko jedną butelkę, lokując się przy tym na naszym posłaniu. Więcej nie mogła, bo wybierała się wozem do Warszawy. Zaoferowała się, że nas przy okazji odwiezie.

— A tymczasem kochajcie się tu — powiedziała z ujmującym wdziękiem burdel-mamy i wyszła.

Wiozła nas potem do miasta sfatygowanym fiatem kombi.

— Teraz, kiedy już wiemy, na czym stoimy — powiedziała — kupimy sobie wreszcie jakąś porządną gablotę. Też kombi, bo mamy dużo wożenia, ale ropniaka. Rekorda czy coś podobnego.

— Żeby cię nie nacięli, Tereniu.

— Sama nie kupię, Kazek zresztą też się na wozach nie zna. Ale mamy tu takiego klienta, który nimi handluje. Sawko się nazywa. Gregory. Jak Peck. Tyle że gruby.

Przysypiająca co nieco Maria wyraźnie się ożywiła, słysząc nazwisko Sawki.

— A nie boisz się, że on cię właśnie oszuka? — spytała.

Zdziwiłem się, bo nie zauważyłem, kiedy obie panie przeszły na ty. Z Kasią nie doszło tu do takiego stopnia zażyłości. Coraz bardziej byłem zdumiony Marią.

— Mnie akurat nie narżnie — odpowiedziała Terenia. — Mamy haka na niego, bo ostatnio przyjeżdża do nas ze szwagierką. Fajna babka. Elżbieta.

Maria spojrzała na mnie z najwyższym zdumieniem, ale Terenia, patrząca na drogę przed sobą, nie zauważyła tego.

— To jest taka kombinacja — kontynuowała — że mąż tej Elżbiety jest rodzonym bratem zony Gregory'ego. Byłby niełichy kocioł, jakby się to wszystko sypnęło. Więc myślę, że on nam podbierze taki samochód, abyśmy potem nie narzekali.

— Zaskakujesz mnie, Tereniu — powiedziałem — myślałem, że wasza firma trzyma się na dyskrejji.

— Tobie chyba mogę wszystko powiedzieć, bo wiem, że mi nie zaszkodziś. I jak ktoś jest z tobą, to znaczy, że też jest w porządku. No nie? A poza tym nic wam ten Sawko nie mówi.

— Mnie mówi — rzekła Maria. Pracuję z mężem tej Elżbiety. Znam także Sawkę i jego żonę.

— Pracujesz w „Derpolu”? — Terenia aż przyhamowała z wrażenia.

— Tak, ale niczego nie powiem, możesz się nie bać. Wiem

także, co wam groziło z tym „Lido”. Dlatego też chciałam zobaczyć ten motel.

— Nie o to chodzi — odpowiedziała Terenia. — Powiedz, co jest ze Staszkiem Pęksą.

— To znasz i Staszka? Nie wiem, co jest. Nie ma go w pracy od paru dni.

— Przyjeżdżał do mnie, a teraz go nie ma. A dom ma zamknięty. Myślałam, że go może gdzieś z pracy wysłano. Ale by chociaż zadzwonił, że wyjeżdża — Terenia wyraźnie się zasępiła.

— A co podejrzewasz? — spytałem.

— A diabli wiedzą. Jest u nas taki typ, który miał z nim rozmawiać, lecz jak go pytam, to mówi, że nie wie, a ja mu nie bardzo już wierzę.

Byłem prawie pewien, że wiem, kogo miała na myśli. Kiedy wychodziliśmy z naszego pokoiku, w korytarzu na dole znowu mi mignął Zbynio Komandos. Tym razem na mój widok odwrócił się i odszedł pośpiesznie. Wyraźnie przeszła mu chęć do rozmów. W tej chwili znowu zacząłem się bać, jeszcze bardziej niż po poprzednim spotkaniu, gdy miał życzenie, aby sobie ze mną pomówić.

Morsztyn, gdy go tamtego rana, po wizycie u Tereni i rozmowie z Korzyckim, wreszcie telefonicznie znalazłem, w pierwszej chwili odpowiedział, że jest akurat bardzo zajęty, ale w mym głosie było widocznie coś takiego, że przystał na niezwłoczne spotkanie.

Czekałem na niego w kawiarni „Nowy Świat”, tam gdzie przed laty pokazał mi Seweryna Derkacza. W miarę czekania zmęczenie wywołane rozpustą ostatnich dni, w tym także ostatniej nocy, znowu dawało o sobie znać. Ocknięcie się, wywołane przez spotkanie z Komandosem, minęło i czułem, jak zasypiam nad filiżanką po wypitej już kawie. Niestety ekspres był popsuty i kawa była po turecku, raczej „po polsku”, czyli garstka grubo zmielonych fusów zalana umiarkowanie wrzącym wrzątkiem. Następny etap — przewidywałem —

będzie polegać na tym, że klient dostanie garść ziaren kawy do zgryzienia i wskazówkę, że kran jest w toalecie, dokąd ma iść i sobie tę kawę popić.

Te senne rozmyślania o kawie nie pozwalały mi się skupić na zasadniczej rzeczy — co ja powiem Ryśkowi. Po co go właściwie w tak pilnym trybie wzywałem?

Fakt, że mi Zbynio Komandos groził, o niczym jeszcze nie świadczył. Równie dobrze mógł potwierdzać jego udział w aferze śmierci Derkacza, skoro czuje się zagrożony, jak i wskazywać, że niewiele z tym ma wspólnego, skoro nie waha się pogroźkami zwracać na siebie uwagę. Czy z kolei ja mam się czuć zagrożony? Przecież ochrony Rysiek mi nie przydzielili.

— A dlaczego zakładasz, że on postępuje logicznie i mądrze? Mógł właśnie popełnić błąd, kiedy z tobą rozmawiał. Zwłaszcza że był przynapity, jak mówisz.

Ten komentarz Morsztyna wydał mi się zaskakująco trafny. Faktycznie, dlaczego nie przyjąć, że Korzycki zrobił głupstwo, zwracając na siebie uwagę rozmową ze mną. A jeśli on to zrobił specjalnie, żeby tę uwagę odwrócić od czegoś czy kogoś innego? Ale Rysiek nie uznał tego przypuszczenia za słuszne.

— Dlaczego, Andrzej, wybierasz wariant bardziej skomplikowany? Ludzie na ogół rozumują i działają w sposób dość prosty.

— Nie w tej sprawie.

— Ta sprawa jest rzeczywiście bardzo złożona jak na zabójstwo. Jeśli w ogóle to było zabójstwo. Lecz to nie powód, aby ją bardziej komplikować. Może być tak, jak mówisz, może być zawsze jeszcze jedno piętro czy jeszcze jedno dno, ale bardziej prawdopodobne i owocne jest założenie, że sprawy mają się właśnie tak, jak wyglądają.

— Nie wiedziałem, że macie taką filozofię.

— Mamy przede wszystkim rutynę. Może ona czasem zawieść, i zawodzi, ale na tyle często okazuje się skuteczna, że opłaca się ją stosować, a nie szukać za każdym razem nowych pomysłów. Jeśli starszego pana przejechał na spacerze jakiś przypadkowy samochód i niczego innego nie ma, to się przyjmuje, że był to wypadek i w rutynowy sposób szuka się

jego sprawcy. Takie ucieczki z miejsca wypadku są częste i wiadomo, co wtedy się robi.

— A w tym wypadku?

— Ustalono samochód i kierowcę.

— Możesz powiedzieć...?

— Mogę. Z tego nie robi się tajemnicy. To była honda Grzegorza Sawko, pośrednika w handlu samochodami i zięcia zabitego...

— To tak!?

— Daj skończyć, Andrzej. Nie on prowadził. Skradziono mu ten samochód, o czym zameldował jeszcze przed wypadkiem. A chyba prowadził ten samochód pracownik Derkacza...

— Zbynio Komandos?

— Obecny pracownik, następca Zbynia, Stanisław Pęksa.

— Pęksa, Pęksa... Czy on nie ma alibi?

— Ewentualnie do podważenia. Nie tak dobre jak Zbigniew Korzycki.

— Aresztowaliście go?

— Nie.

— A skąd to wszystko wiadomo?

— Wóz zostawił jakieś ślady na denacie, a denat — na wozie. I ślady opon pasują. Ja się na tym naprawdę nie znam, to nie kokieteria. Ale tu nie ma żadnych wątpliwości.

— A co do kierowcy?

— On też zostawił dość dużo śladów. I nikt inny poza nim i właścicielem.

— Wydawałoby się, że to elementarna wiedza.

— Że trzeba wkładać rękawiczki lub wycierać chusteczką przedmioty, których się dotykało? Większość sprawców, nawet jeśli czyta i ogląda kryminały, nie myśli o tym, kiedy popełnia przestępstwo. Albo nieudolnie zaciera ślady. Bardzo jest trudno ich nie zostawić. Nawet nie wiesz, jakie są teraz sposoby. Ja też zresztą nie wiem.

I jeszcze parę szczegółów — kontynuował Rysiek. — Ciężkie przestępstwa popełnia się często w stanie wzburzenia, a nie planuje się ich na zimno. Czasem bywają przypadkowe. A jeśli ten Pęksa naprawdę spowodował wypadek drogowy? Ich się

nie powoduje umyślnie, sądziłeś drogówkę, więc wiesz.

— A jeśli to nie on przejechał Derkacza tym samochodem, choć go prowadził?

— Tego także nie można wykluczyć, ale nic nie wskazuje na to.

Byłem tak podekscytowany, że zmęczenie i senność znowu mi przeszły. Przypomniałem sobie telegram o śmierci Derkacza, nadany przez niego... zawczasu. Samobójstwo? Samobójca raczej zostawia list. Poza tym trudno się samemu przejechać samochodem i spowodować, by ten samochód odjechał. Samobójstwo przez zamówienie sobie zabójcy? Własny szofer i skradziony — lub nie — samochód zięcia? A może zięć ukrył samochód, pozorując jego kradzież, a Peksa prowadził go przy innej okazji lub został do tego specjalnie zachęcony, aby zostawił ślady? A jeśli Zbynio Komandos nie ma z tym nic wspólnego, to skąd się biorą jego obawy?

Byłem zdumiony, że wszystkie te przypuszczenia zupełnie nie bulwersują Ryśka. Raz jeszcze powtórzył, że jak na zabójstwo sprawa i tak jest mocno skomplikowana i nie ma potrzeby komplikować jej dalej. Są powody do pewnych podejrzeń i właśnie się je wyjaśnia, również przy jego, Ryśka, pomocy. Ale wpieryw trzeba sprawdzić wariant podstawowy, a potem ewentualnie podważyć przypuszczenie, że to nie był zwykły wypadek.

Milczałem. W swoim czasie nie powiedziałem Ryśkowi, że Komandos przed laty również przypadkowo przejechał zupełnie nieprzypadkowego przechodnia, na czym jego pracodawca skorzystał. Teraz nowy kierowca Derkacza przejeżdża samego Derkacza. Lecz tego, że to wiedziałem. Rysio, na szczęście, może się nigdy nie dowie. Od kogo zresztą? Leszek jest zainteresowany, aby ta sprawa nie wypłynęła, więc nie powie. Ale to, co było z Korzyckim tego dnia, rano, w „Lido”...

— Pan pamięta. Nie szwendać się tutaj za mną. Nie niuchać, nie pytać, bo tym razem to się dla pana niedobrze skończy — podsumował swoją tyradę Zbynio Komandos.

— Co to znaczy „tym razem”, panie Korzycki? — spytałem, choć już dobrze wiedziałem, co miał na myśli.

— Ja pana, panie Strzelczyk, poznałem od razu. Wtedy, w Kazimierzowie. Ale myślałem sobie, że nie ma już sprawy. Było, minęło. Pan tam przyszedł za swoim interesem, a ja za swoim i nic do siebie nie mamy. A pan już wtedy robił za mego ogona. Ja mam oko na takich, panie Strzelczyk. I jak pan mi teraz zaszkodzi, to ja panu doliczę, żeś mnie pan wtedy zapuszkował.

— Pan jest bezczelny.

— Ja? Powtórz to pan!

— Dobrze pan słyszał. Trzy i pół roku za zabicie człowieka, to był dla pana prezent od sądu.

— Nieumyślne zabójstwo, panie sędzio i panie redaktorze. Ja panu coś powiem. Ja nie mam nic do sędziego, prokuratora, gliny. Nawet klawisza. Ktoś to musi robić, a każdy musi z czegoś żyć. Ci żyją z tego. Ale takich ormowców czy ławników, jak pan, co to łapią i sadzają ludzi po fajrant, dla przyjemności, to ja bym utłukł jak psów!

— Jak tego staruszka na pasach?

— Co!?

— A to! Może pan powie, że pan nie wiedział, kogo pan nieumyślnie przejechał? A wcześniej nie woził mu pan może pieniędzy od pana Derkacza?

Podziałało jak cios między oczy. Korzycki zaniemówił i zrobił nagle wrażenie, jakby wytrzeźwiał. — Pan wie, ja wiem — mruknął i oddalił się, nic już więcej nie mówiąc. I wtedy dopiero zacząłem się bać. Zrozumiałem, że za dużo wiedziałem i jak idiota, by dobrze wypaść w rozmowie z pijanym bandziorem, wydałem się z tym. Ten to strach właśnie skłonił mnie, aby natychmiast porozmawiać z Morsztynem, co było bezsensowne, skoro mówiłem jedynie o pijackich pogroźkach, rzucanych, być może, na wiatr, a nie wspomniałem o tym, iż sprawa jakby przybrała bardziej poważny obrót, gdy przypomnieliśmy sobie ze Zbyniem zbrodnię sprzed lat.

Ale Rysio też mi nie wszystko mówił. Powiedzenie, że nie aresztowano kierowcy Derkacza, który go prawdopodobnie przejechał, było — rzecz jasna — prawdą, ale niecałą. Nie oddawało nawet istoty rzeczy, jako że Pęksa został znaleziony w swoim mieszkaniu, lecz martwy, zabity ciosem karate w szyję.

Poważne ostrzeżenia

Dolce vita to było tu. Rozległy taras willi w starym, pięknym ogrodzie. Na tarasie cztery stoliki, z czego oprócz naszego nakryty był jeszcze jeden. Przy czym „nakryty” oznaczało tu śnieżnobiały, wykrochmalony obrus, porcelanę i srebro. Na wózku z drinkami stał podstawowy pewexowski garnitur alkoholi i napojów chłodzących. Kiedy zaczęły się pojawiać potrawy i wina, to były właśnie takie, jakich się człowiek w podobnej scenerii spodziewa. Miękką, słoneczną pogodą późnego lata i dochodząca skądś nienatrzętna muzyka — jak nie Mozart, to coś podobnego — dopełniały rozkoszy.

— Może to nieeleganckie, ale chociaż ze względów poznawczych chciałbym wiedzieć, ile to kosztuje — spytałem Leszka, który przyjechał z Lucille z urlopu na wyspie Korfu, zaprosił tu Marię i mnie na obiad.

— Jak będziesz pracować w „Derpolu”, będziesz mógł tutaj jadać. Od czasu do czasu. Ja się tu codziennie też nie stołuję.

— Ruchu tu nie ma. Czy oni chociaż wychodzą na swoje?

— Nie martw się o nich. A ruch? Czymś to się musi różnić od kolejki w barze mlecznym. Jeden taki posiłek dziennie chyba by im wystarczył, a mają kilka.

Maria, chyba tak samo jak ja, musiała sobie w tej chwili przypomnieć „Lido”, gdyż uśmiechnęliśmy się do siebie. Zbliżyła się bowiem gospodyni, elegancka i miła pani — „panie Leszku”, „pani Lucille” — by spytać o nasze tutaj samopoczucie. Niedorzecznością byłoby wyobrażenie sobie, że mogłaby tu podejść Terenia.

O tego rodzaju cichych lokalikach, prowadzonych poza Warszawą dla wybranych i poleconych gości, słyszałem, lecz po raz pierwszy miałem okazję z czegoś takiego korzystać. Uroda mojego życia — pomyślałem — będzie polegać między innymi na bywaniu w tym miejscu.

Uświadomiłem sobie, że choć czasy pod każdym względem są

marne, to mnie wreszcie zaczyna się dobrze powodzić. Będę w końcu naprawdę dobrze zarabiać, robiąc mniej więcej to, co umiem. Może szkoda, że nie przyniesie mi to powszechnego uznania i popularności,

o czym myślałem kiedyś, usiłując się dostać do telewizji. Ale w końcu na jaką popularność może dziś liczyć dziennikarz? Wystarczy, że będę wreszcie żył luźno i miło. No i kobiety. Z przyjemnością spojrziałem na elegancką, wypiękniałą jakby w ostatnim czasie Marię i miłego wrażenia nie popsulo obecne ciągle wspomnienie tej samej Marii, napiętej, postarzałej i zaniedbanej, która wygnała mnie od siebie, gdy pojawiłem się u niej po rozmowie ze Sztarkiellą i Drapichem. Z równą przyjemnością wspomniałem wystrzałową Kaškę, z którą miałem zamiar spotkać się dziś wieczorem i pomyślałem, że wulgarna i ciepła zarazem Terenia też mi się mieści w komplecie wraz z Marią i Kasią. Tak, trzeba używać życia — pomyślałem, bardzo z siebie zadowolony.

Terenia by na pewno nie pasowała do tego miejsca i towarzystwa, lecz Kasieńką można się tu pochwalić. Lucille już jutro wyjeżdża, ale Leszkowi jakoś ją zaprezentuję — postanowiłem — niech widzi, na co mnie jeszcze stać.

Lucille opowiadała właśnie o dzisiejszej swojej rozmowie w biurze pełnomocnika rządu do spraw przedsiębiorstw polonijno-zagranicznych. Przyjął ją jakiś bardzo ważny i sympatyczny urzędnik, mówiący biegle w kilku językach, znający świat, w tym Paryż, i rozeznany w biznesie konfekcyjnym.

— Wyobraźcie sobie — opowiadała rozbawiona Lucille — że ten człowiek w czasie jednej rozmowy ubolewał, że „Santex” za mało przynosi dewiz, a jednocześnie, że stara się wylapywać polskim firmom polski surowiec, miast go kupować za granicą i wydawać przecież te dewizy. A zarazem stwierdził, że dalszy rozrost firmy byłby już źle widziany, bo choć ustawa nie wyznacza górnej granicy, to państwu zależy, by zagraniczne zakłady były małe.

— Przedstawił ci, Lucille, wszystkie podstawowe postulaty pod adresem firm zagranicznych — powiedziałem.

— Ale one są sprzeczne ze sobą!

— Życie jest sprzeczne ze sobą — stwierdził Leszek. — Zresztą słyszałaś już to wszystko w Poznaniu. Nie pamiętasz?

— To było nie do zapomnienia. Ale tam mówili to różni ludzie. A tu jeden człowiek wypowiada to wszystko naraz. I to taki, od którego wiele zależy. Cóż więc mam robić?

— Robić swoje i patrzeć końca — powiedział Leszek, a potem zaczął objaśniać, co znaczy to porzekadło.

— To ty rób tutaj swoje, a potem szybko przyjeżdżaj do Paryża. Ja tu już swoje pieniądze odzyskałam i to z nawiązką. Co jeszcze wpłynie, to jakby dar Pana Boga. Nie chciałabym tylko mieć tu nie zasłużonej złej opinii. Andrzej, napisz artykuł, który by to wszystko wyjaśnił. Na przykładzie mojej firmy, najlepiej. Leszek ci wszystko powie.

— Ja już trochę za dużo o tym pisałem — odpowiedziałem. — Zaczynam wyglądać na stronniczego i to osłabia wiarygodność tego, co piszę. Ale wiesz co — zwróciłem się wciąż po angielsku do Leszka — przyślę ci autora, który to za mnie zrobi.

— Kto to taki?

— Dziewczyna. Praktykantka po dziennikarstwie.

— Rozumiem, że młoda.

— I atrakcyjna pod każdym względem.

— A dziennikarsko?

— Pomogę jej napisać.

— Mógłbyś poczekać z tym rajfurzeniem, aż wyjadę — powiedziała pogodnie Lucille. — Ale nie przejmuj się. Nie pretenduję do wyłączności. Młodych dziewczyn, Leś, możesz mieć, ile zechcesz. Im więcej, tym lepiej. Z nimi nie konkuruję. Ciebie, Mario, bałabym się naprawdę.

— Nareszcie ktoś sobie o mnie przypomniał — skwitowała to Maria. — I to w tak sympatyczny sposób.

Na takim ple-ple zeszedł nam cały obiad. Aż do wetów. Kawę — jaka to była kawa! — i koniak podano nam przy stoliku w głębi ogrodu. Leszek oznajmił, że możemy się jeszcze nie śpieszyć, bo jego Józio przyjedzie po nas najwcześniej za pół godziny.

— A właśnie, Józio! — przypomniałem sobie. — Miałem ci

coś o nim powiedzieć.

— Co?

— Nie wiem, czy wiesz, że mnie wiozł z Poznania do Warszawy...

— Mam nadzieję, że był, jak zawsze, uprzejmy.

— Wręcz miły. Ale powiedziałem mu wtedy... — w tym momencie spojrzałem na Marię, która zdawała się nie słuchać rozmowy, i wstrzymałem się na chwilę. — No, nieważne. Coś mu tam powiedziałem. I tylko jemu. A nazajutrz wiedział to Rysiek Morsztyn. Więc bądź z nim raczej ostrożny.

— Czy Morsztyn jest z milicji? — spytała Maria.

— Morsztyn? — poczułem się cokolwiek zakłopotany. — Morsztyn jest naszym, z Leszkiem, kolegą ze studiów. Tak, jest z milicji.

— Miło, że mi to mówisz, lecz mnie nie zaskakujesz — powiedział Leszek. — Ktoś to musi robić, byle tylko robił rzetelnie. I byłem ja wiedział kto. Do Józia akurat mam zaufanie. Zresztą nie bądź naiwny, Andrzej, zwłaszcza że wchodzisz w ten biznes. On ma i takie realia. Trzeba się z nimi liczyć. To chyba nawet zrozumiałe. Maria ci to wyjaśni.

— Ja z tymi sprawami akurat nie miałam do czynienia. Wiem, że pewne kontakty są nieuniknione i że im mniej przy tym się mówi, tym lepiej.

— Będę musiał to wziąć pod uwagę — powiedziałem głosem tak namaszczonego, że Leszek zauważył:

— Nie dodałeś „tak mi dopomóż Bóg!”

W BMW Leszka, prowadzonym przez pana Józia, wszyscy przysnęliśmy nieco po niedawno spożytym obiedzie. Niestety, trwało to krótko. Droga była niedługa, a wóz szybki. Leszek kazał się zawieźć z Lucille do siebie. Maria też poprosiła, aby ją zawieźć do domu, ja — mimo zaproszenia — nie mogłem jej towarzyszyć, bo miałem tego dnia czytanie kolumn w redakcji.

Przybyłem spóźniony; wszystkie prawie kolumny już zeszły z drukarni, więc część z nich przynajmniej powinna być już dawno przeczytana i odesłana z powrotem.

— Wódka czy dziwki? — spytał sekretarz, gdy pojawiłem się wreszcie u niego, by te nieszczęsne kolumny wziąć.

— Jedno i drugie — powiedział jeden z kolegów. — Jędrkowi ostatnio praca wyraźnie przeszkadza w życiu.

Nic nie odrzekłem, tylko zabrałem te nieszczęsne płachty do swego pokoju. Czułem ogarniającą mnie senność i rozpacz, że nie podołam robocie.

— Daj kilka, poczytam za ciebie.

W ten sposób podała mi braterską dłoń koleżanka Zuzia, z którą dzieliłem pokój. Koleżanka Kasia Wieromiej także była w pokoju, lecz jakoś jej nie przyszło do głowy, że mogłaby mnie nieco wyręczyć.

Kasia skończyła już praktykę, lecz przychodziła nadal. Wzięła parę tematów, korzystając z sezonu urlopowego i jeszcze bardziej z tego, że nikomu nie chciało się robić.

— Mam dla ciebie bombowy temat — powiedziałem do Kasi, na co Zuzia podniosła głowę znad płachty papieru i spojrzała na mnie ze zrozumiałym wyrzutem.

Uświadomiłem sobie, że przed taką Zuzią, jaką była ona dwadzieścia lat temu, to Kaśka mogłaby się schować. Zuza nie była nigdy pięknoscią, ale chłopcy za nią szalały. Wyczuwało się, że ona lubi mężczyzn i to ich właśnie w niej pociągało. Też za nią szalałem. Byłem gówniarzem, startującym w zawodzie i życiu, a Zuza, starsza o te parę lat, miała już niezłą pozycję w żurnalistyce i znacznie mocniejszą w życiu. Trudno mi nawet było być dumnym z tego, że ją zdobyłem, bo to po prostu Zuza mnie sobie wzięła. Nasz romans trwał dosyć długo i przebiegał burzliwie, bo nadal lubiła ona wielu mężczyzn naraz i czyniła z tego użytek. Cierpiałem, robiłem sceny, usiłowałem zerwać, by ze skamlaniem znowu powracać. Jednym słowem — narażałem się jeszcze na śmieszność. Wreszcie, kiedyśmy już zerwali na dobre i połączyli się każde w innym związku, to umawialiśmy się ze sobą dość często przez dłuższy czas i za każdym prawie razem szliśmy do łóżka. Kombinowaliśmy wspólne delegacje i takie różne.

Z czasem jednak każdemu z nas życie komplikowało się coraz bardziej, nasze namiętności nam przechodziły i tylko od czasu

do czasu, coraz rzadziej, po jakiejś wódce przesypaniśmy się jeszcze ze sobą. Ostatni taki wypadek miał miejsce chyba pięć—sześć lat temu. Tak czy inaczej, w naszym pojęciu, byliśmy ciągle zaprzyjaźnieni i uważaliśmy, że możemy na siebie liczyć.

Tego dnia sprawdziło się to w ten sposób, że Zuza przeczytała w końcu wszystkie kolumny — nawet wyrwała mi tę jedną, nad którą siedziałem przez całe popołudnie. W tym momencie przeszły mi bez śladu zmęczenie i senność, a powróciła ochota do życia, czemu bardzo sprzyjała obecność Kasi.

Mając doraźne zobowiązania wobec Zuzanny i chęć wyjścia z Katarzyną, pokierowałem imprezą tak, aby zmontować ogólne wyjście na wódkę. Poszło nadzwyczaj łatwo. Okazało się, że w redakcji znalazła się spora gromada chętnych i ruszyliśmy do dziennej „Kameralnej” na Foksal, przy czym zauważyłem, że wszystkie chłopcy pilnowały, by Kasia wzięła udział w wyprawie, na co zresztą miała ona wielką ochotę.

Powrót do knajp okazał się ubocznym skutkiem najnowszej ustawy przeciwalkoholowej. Jeden z nielicznych miłych akcentów obecnej rzeczywistości. Wszyscyśmy — ci starsi oczywiście — wspominali, jak to przed laty — w początkach naszej kariery, wyskakiwało się na wódkę przy każdej możliwej okazji. Do barku na rogu lub jednego z wielu na mieście, do Dziennikarzy, do „Kamery”, dziennej, nocnej czy tej dla ubogich — wejście od Kopernika — wreszcie do licznych nocnych lokali. W każdym razie nie było zwyczaju przynoszenia flachy do firmy i libacji pracowniczych, co rozpanoszyło się w późniejszych latach. Nie dlatego, że ustawa z 1959 roku też zakazywała picia w miejscu pracy, lecz ponieważ nikomu nie chciało się rozlewać, szykować zakąski, parzyć kawy i herbaty, a potem zmywać, aby oszczędzić na małej marży. Wódka w barku kosztowała niewiele więcej niż w sklepie. To marże wyгнаły nas ongiś z knajp, a teraz znów wróciły do przyzwoitych wymiarów. Poza tym nowa ustawa jako świeża była dosyć powszechnie przestrzegana. Bano się picia w redakcjach i, o ile wiem, w innych miejscach pracy tak samo.

Fakt, że wódka jest dziś ogólnie droższa w stosunku do płac i cen, niż była przed laty, lecz jeśli się już pije, to można się napić

i w knajpie. Byle oszczędzać na zakąsce.

— Ale tym razem, w „Kamerze”, zachowywaliśmy się tak, jakby każdy z nas miał niezależne źródło dochodów. Ja miałem swe polonijne obrywy, ale koledzy?

Kiedy po jakimś czasie przestaliśmy już sztywno siedzieć każdy na swoim miejscu, zaprosiłem Zuzannę na oddzielne parę kolejek do półokrągłego barku na prawo od wejścia.

— To dobrze, że możemy chwilę pomówić — powiedziała. — Dawno już chciałam się z tobą spotkać i pogadać, ale jesteś trudno uchwytny.

— No, wiesz! Dla starych przyjaciół!

— Miło, że tak mówisz, ale bałam się, że się wydam natrętna. Widzisz, mam kompleksy na starość. Odrabiam dawną bezczelność.

— Napijmy się, zanim sobie coś jeszcze powiemy — zaproponowałem i propozycja została przyjęta.

— Widzisz, Jędrus — mówiła dalej — chciałam cię ostrzec.

— Przed czym?

— Smród jest wokół ciebie w redakcji. Jesteś tak zaaferowany, że tego nie widzisz. Rzadko się zresztą pojawiaasz...

To była prawda. Odkąd się poczułem pracownikiem „Derpolu”, z trudem zmuszałem się do jakiegokolwiek wysiłku na rzecz mojej gazety. Dopiero teraz zacząłem dostrzegać, jak mi tu było okropnie. Poza tym nie miałem czasu, bo coś tam musiałem przeczytać i opracować dla tegoż „Derpolu”, no i kobiety: z Terenią — aż trzy. To już nie zostawiało żadnego luzu. Ale uczucia miałem takie bardziej mieszane. Z jednej strony miałem serdecznie dość zawodu, redakcji, gąb swoich kolegów, a z drugiej — czułem, że jestem z tym wszystkim zżyty, ogarniało mnie nawet jakieś rozrzewnienie na myśl, iż się z tym światem i tymi ludźmi rozstaję. Wypicie paru wódek bardzo sprzyjało pobudzeniu tego rodzaju emocji.

— No i co mówią, Zuziu? — spytałem, obejmując ją przyjacielsko ramieniem.

Zuza chyba jednak zrozumiała mój gest opacznie, bo przytuliła się do mnie.

— Mówią, że chyba bierzesz szmal od firm polonijnych, bo masz go ostatnio sporo, mimo iż mało piszesz i masz niską wierszówkę. Szczególnie Kazio (sekretarz redakcji) twierdzi, że jesteś ich człowiekiem w prasie i zarzeka się, że już żadnego twojego artykułu na temat firm polonijnych nie puści. Chyba że im przyłożysz.

Spojrzałem w lewo, w stronę sali. Kazio,, mocno już przypity, w tym samym momencie podniósł wzrok i z uśmiechem pomachaliśmy sobie rękoma.

— Zawsze był gnida — powiedziałem.

— Ale teraz jakby znajdował posłuch. Pozwolisz, Jędreku, że teraz ja zamówię kolejkę?

Nie pozwoliłem, gdyż postanowiłem być dżentelmenem starej daty i zamówiłem po setce, żeby się nie rozdrabniać. W dawnych latach pijaliśmy z Zużą ostro i nie było problemu, kto stawia, ale kto ma pieniądze, gdyż z tym różnie bywało. Teraz jednak Zuza, zbiedzona i schorowana, mówiąca — jak wszyscy — o rosnącym niedostatku, kompletująca powoli papiery i badania do jakiejś renty, jeśli nie do emerytury, niczym nie przypominała dawnej zabawowej dziewczyny.

— Powtarzanie słów tutaj wiele nie daje, wiesz, o co chodzi, Jędrusiu. Atmosfera jest ogólnie nieprzychylna. Nie masz co liczyć na dobry wyjazd, wyższą premię czy oddzielną podwyżkę. A jak coś się tobie przydarzy, to cię nie wesprą, lecz zgnoją...

Znałem ten mechanizm, lecz jakoś nie myślałem, że zacznie on kiedyś pracować przeciwko mnie. Miałem się, nie wiadomo czemu, za lubianego. No, ale trudno! Naprawdę może to już mnie nie obchodzić.

Duszką wypita setka zrobiła swoje i poczułem nagle przemożną chęć odplacenia szczerością za szczerość i życzliwością za życzliwość.

— Ja ich chromolę, Zuzka. Coś tobie powiem i nawet wiem, że nie muszę cię prosić o dyskrecję. Zostaję szefem wydawnictw i działu public relations w „Derpolu”. Więc rozumiesz, że nasz „Dzwonek Niedzielny” mało mnie teraz przejmuje.

Zuza jakoś przyklapła, słysząc to. Jej ostrzeżenia, które miały

raną wstrząsnąć, okazały się jakby zbędne, a ona znowu nieważna. Rozczuliłem się nad nią.

– Dziękuję ci za tę rozmowę, stara. Wiem, że nadal mogę na ciebie liczyć. I myślę, że ty na mnie też.

– Mhm.

– To nie są ogólności, które się mówi po wódce. To jest propozycja. Przecież ja to wydawnictwo muszę stworzyć od podstaw. Kogo ja tam wezmę do pracy, jak myślisz?... No właśnie! To nie chodzi o to, że chcę ci wreszcie dać się odkuć, choć o to też, lecz że potrzebuję tam ciebie... No dobra, wracamy do towarzystwa, bo znów będą jakieś plotki – zdecydowałem, by tę rozmowę zakończyć mocnym akordem.

Przy stoliku składano się właśnie na rachunek. Nie przypominało to niczym dzisiejszego dyskretnego płacenia za obiad przez Leszka; nawet nie zauważyliśmy, gdzie i jak on to załatwił. Szeptem spytałem Zuzę, czy aby jej nie brakuje.

– Coś ty, Andrzej, na co jak na co, ale na wódkę to jeszcze mam!

Kasi nie mogłem zadać podobnego pytania, bo znajdowała się dalej, ale wiedziałem, że jakoś daje sobie radę z płaceniem.

A kiedy wywlekliśmy się wreszcie zza stołu, ktoś zauważył, że szkoda się rozwiązywać, gdyż stworzony żywiolowo kolektyw – mała grupa, mówiąc językiem socjologicznym – ma samoistną wartość, społeczną.

Zwłaszcza w dobie postępującej dezintegracji. Znaczyło to, że przenosimy się o jedną bramkę dalej w tym samym budynku, do nocnej „Kameralnej”, jako że dwudziesta druga już niespostrzeżenie minęła.

– O! Pan redaktor Strzelczyk! No, to chyba się napijemy pod ten nasz biznes.

Nie przypuszczałem, iż kogokolwiek znajomego spotkam w „Kamerze” – już nie te czasy, gdy pojawiali się tam sami bywalcy – a tym bardziej że będzie to poznany tego dnia, w południe, Grzegorz Sawko, dla przyjaciół – Gregory.

Gregory miał dziś za sobą ciężkie popołudnie, ale spłynęło po

nim jak woda po gęsi. Po półgodzinie był już mocno zżyty z naszym redakcyjnym towarzystwem, wszystkim poobiecował samochody, a Kasi musiał chyba zaproponować coś szczególnego, gdyż wydawała się nim zainteresowana.

Było do przewidzenia, że będzie dziś miała powodzenie wśród redakcyjnych kolegów. Nie pchałem się między nich, patrzyłem z dystansu, jak na właściciela przystało, ale wewnątrz rósł we mnie niepokój, czy aby mi się Kasia nie wyslizguje z rąk. Przypominało mi się dawne powiedzenie, że nie jest sztuką przyjść do lokalu z dziewczyną, ale z nią wyjść. Pan Sawko wyraźnie nad tym pracował.

W tym czasie byłem już dość wprowadzony w interesy szeroko rozumianej rodziny Derkaczów, a więc i Sawki. Wiedziałem, że ma on nóż na gardle i właściwie jest już bankrutem. Ale tutaj był królem życia. To, że koledzy nie stawiali tamy dobroczynności, czyli pozwalali sobie fundować, było zrozumiałe, lecz cóż miało znaczyć, że Kaśka jakby szła na męski i towarzyski urok pana Grzegorza?

Był on dla mnie żywym dowodem, iż wszelki, nawet marny biznes popłaca bardziej niż dobry skądinąd etat. Tym tu dookoła, moim kolegom, brakuje paru tysięcy przed pierwszym. Sawce brakuje kilku milionów i nie ma ich skąd wziąć. Lecz to nie zmienia faktu, że ma w kieszeni te kilkanaście tysięcy, które dzisiaj w „Kamerze” przepuści. Najwyżej będzie odrobinę większym bankrutem.

Zresztą nie wyglądał na bankruta ani tu, ani w swoim „AUTO TRADE”, dokąd jeszcze przed zamiejskim obiadem zawędrowałem, zaraz po rozmowie z mecenasem Sztarkiełło. Bo dzisiejszy dzień zaczął się dla mnie od tej rozmowy w kawiarni „Pod paragrafem”, naprzeciw sądów, gdzie mecenas się ze mną umówił.

— Mam mało czasu, bo zaraz mam drugą sprawę, więc powiem bez wstępów, po co tu pana prosiłem — zaczął Sztarkiełło.

— Słucham.

— Pamięta pan zapewne, co mówiliśmy u mnie o lojalności wobec firmy, która nas wszystkich obowiązuje?

— Pamiętam.

— Padło w niej z pana strony stwierdzenie, że nie uczynił pan niczego — świadomie lub nie — co by mogło interesom firmy zaszkodzić.

— Owszem. I tak jest w dalszym ciągu.

— Czy nie kolidują z tym pańskie stosunki z kapitanem Morsztynem?

Cokolwiek zaskoczył mnie tym pytaniem. Podobnie zaskoczony byłem parę godzin później, w czasie obiadu za miastem, kiedy Maria spytała, czy Morsztyn nie jest z milicji. Mogła to oczywiście wydedukować z treści rozmowy, ale mogła też być uprzedzona przez mecenasa.

— Pan wybaczy — kontynuował Sztarkiełło — że wchodzę w pana prywatne sprawy. Ale usprawiedliwia mnie pańska, dosyć wysoka, stawka i nasze interesy, mam nadzieję, że wspólne.

Zdałem sobie sprawę, że zbyt już jestem zależny od tego człowieka, jego obietnic i swoich nadziei, aby mu dać odpłatę, na jaką, moim zdaniem, zasłużył. — To jest właśnie ta cena, którą płacę za te apanaże — pomyślałem.

— Nie sądzę, aby to mogło mieć znaczenie — odparłem. — W każdym razie nie ujemne dla firmy. Pan Morsztyn jest moim kolegą ze studiów.

— Wiem. Znam kapitana Morsztyna. Obaj pracujemy od lat w tej samej materii. Tylko jakby z przeciwnych stron podchodzimy do niej. Uważam go za zdolnego i sumiennego oficera. Takich ludzi się ceni, nawet jeśli oni zbierają dowody przeciwko nam. To jest przeciw naszym klientom.

— Więc skąd ta obawa?

— Właśnie dlatego. Są prace, w których nigdy nie jest się po fajrancie. Taka jest pana praca, moja i jeszcze paru osób, w tym kapitana Morsztyna.

— I sądzi pan, że on prowadząc życie towarzyskie, pracuje?

— Jestem tego pewien. Jeśli pan też, to nasza rozmowa jest niepotrzebna.

— Mam przerwać te kontakty?

— Broń Boże! Dziennikarz, adwokat, policjant, ksiądz nie mogą unikać żadnych kontaktów. Musi pan tylko wiedzieć, że cokolwiek pan powie, może być wykorzystane przeciw panu lub sprawie, którą pan reprezentuje. I wtedy wie pan, co można mówić. Doświadczenie zaś podpowiada, że im się mniej powie, tym lepiej.

Dosyć ogólne jest to, co pan mówi, panie mecenasie. Czy chodzi, przepraszam, o kontrolę moich kontaktów, czy może doszła do pana jakaś konkretna wiadomość? Coś niewłaściwego zrobiłem lub powiedziałem? Nie obrażam się, to jest rzeczowe pytanie.

Dobrze, że pan to tak traktuje. Po całym życiu w sądzie, prokuraturze, więzieniach, wiem, że w uczynkach ludzi jest znacznie mniej złej woli, niż się na ogół sądzi. Większość przeważnie chce dobrze, tylko nie przewiduje, jaki skutek przyniesie działanie lub zaniechanie.

— „Lui bezpodstawnie sądzi, że go uniknie”.

— No, proszę. Zapomniałem, że mówię z byłym ławnikiem. A odnośnie pańskiego pytania, to doszły mnie plotki na poziomie szumu informacyjnego. Nawet ich wyjaśniać nie warto. Chcę tylko pana uczulić. Pan wybaczy mi ten smrodek dydaktyczny, jak to nazywał Wańkowicz. Sytuacja rodziny Derkaczów i ich firmy jest, sam pan to widzi, delikatna... To nie przeszkadza, że musimy robić swoje, a patrzeć końca... Więc róbmy. Przejrzałem te pana projekty — kontynuował. — Co do kampanii reklamowej nie mam żadnych uwag. Nie znam się na tym, zakładam, że pan to zrobi najlepiej. Co zaś do wydawnictwa. Strona merytoryczna, czyli to, co pan chce wydać — w porządku. Organizacja chyba też. Ale będziemy musieli porozmawiać o sformułowaniu koncesji. Wszystko, co będzie pan robić, będzie się musiało zmieścić w tej formule. Sprawdzą potem, czy pan jej nie narusza i to mogłoby być podstawą do jej cofnięcia.

— Wstawimy wszystko, co zamierzamy robić teraz oraz w przyszłości.

— Zbyt pan jest prostolinijski. Nie zatwierdzą koncesji, w której wymieni pan wszystkie możliwe rodzaje działalności

wydawniczej. Tam musi być tylko kilka czynności, a każda bardzo szeroka. Niech pan ułoży całą listę, a potem pogrupuje pozycje i pomyśli jak łącznie określić taką grupę. o stronie prawnej porozmawiamy później. Teraz chyba muszę już iść. I jeszcze jedno, byłbym zapomniał...

Wiedziałem dobrze, że mecenas niczego nie zapomniał. Pamiętał o tym przez cały czas, tylko zdecydował, by to powiedzieć na końcu. A chodziło o samochód! Dowiedział się, że mi się rozpada moja zastawa, a czymś przecież muszę jeździć i to tak, by sobie tym nie zawracać głowy. Firma da mi służbowy samochód na wyłączne użytkowanie. Najlepiej będzie, jeśli sam go sobie wybiorę i wskażę. Z myślą, żeby był użyteczny i nadawał się do późniejszego odkupienia przeze mnie, jeżeli zechcą.

Zdawałem sobie sprawę, że zostałem ostrzeżony, wysłuchany i zaopatrzony w nowy dowód warunkowego zaufania. Ostrzeżenie ma chyba charakter formalny, rutynowy, skoro w ślad za nim idzie tak poważny wydatek. W każdym razie kolejny problem życiowy — samochód — mam rozwiązany. I wreszcie wsiądę do prawdziwego wozu.

— Słyszałem, że zięć pana Derkacza prowadzi pośrednictwo sprzedaży samochodów. Czy sądzi pan, że warto do niego się udać?

— Pan Derkacz nie traktował go jak poważnego kupca i chyba miał rację. Lecz niech pan idzie. Nabrać się pan nie da, a ze względu na „Derpol” może znajdzie on coś, co panu pasuje.

Taka huśtawka to już nie dla mnie — pomyślałem, gdy mecenas oddalił się w kierunku sądów. Derkacz robi mi propozycję i ginie. Potem Sztarkiełło mnie wydobywa z otchłani, by znowu zagrozić zepchnięciem. Teraz będę mądrzejszy. Niech ten kauzyperda uważa, bo może się na mnie przeliczyć.

— Pan Henryk Derkacz?... Tu Andrzej Strzelczyk. Mam nadzieję, że pan mnie pamięta... tak. Chciałbym się z panem zobaczyć. Raczej szybko, jeśli jest to możliwe... Sądzę, że ważne... Dla kogo? I dla pana, i dla mnie... Tak jest, dziękuję... rzecz jasna będę.

O tym, że Grzegorz Sawko nie ma dla mnie żadnego wozu, wiedziałem już po minucie rozmowy. Grał rolę biznesmena na wielką skalę, lecz widać było, że ma zupełnie coś innego w głowie. Piliśmy kawkę, piwko „Tuborg”, pan Julek miał zapowiedziane, żeby nikogo nie wpuszczać. Jednym słowem, pełny szpan. Ciągnąłem to jednak, bo chyba byłem mile połączony jego atencją. Że owszem, czytywał mnie i cenił. Że cieszy się, iż wejdę do firmy „Derpol” na tak poważne stanowisko — podkuśło mnie, by mu o tym powiedzieć — a jako członek rodziny i orientujący się w sprawach będzie zadowolony, jeśli kiedyś skorzystam z jego rady czy pomocy. I takie różne.

Potem się popisywał tym, co wie o „Derpolu” i Derkach, a mnie w głowie zaczęła się wreszcie układać cała fabuła, zresztą... już niepotrzebna.

Od dawna nosiłem się z zamiarem, żeby napisać kryminał i wreszcie odkuć się finansowo. Nie sądziłem, aby można go było napisać gorzej, niż czyni to naszych dwóch najpopularniejszych autorów tego gatunku. Parę razy nawet podchodziłem do tego zadania, lecz odpadałem za każdym podejściem. Rzecz się okazywała trudniejsza, niż mogłem przypuszczać. Pisać to i owo, po tylu latach praktyki reporterskiej, jakoś potrafię. Lecz co? Okazywało się, że nie mam wyobraźni. Nie potrafię wymyślić osób, zdarzeń, intrygi ani opisać sytuacji, której nie było. Stąd przejście na pomysł reportażu w rodzaju Trumana Capote. W końcu tyle się dzieje! Ale cokolwiek się działo, byli tam szybsi i lepsi. Musiałem upolować coś na wyłączność. Stąd moje zabiegi wokół Morsztyna, a nuż trafi mu się coś ciekawszego od kradzieży cementu luzem. Stąd też — w pewnym momencie — przypuszczenie, że w rodzinie Derkachów dzieje się coś, co mogłoby być tym tematem.

Ale w miarę jak mi się z poszczególnych informacji zaczynał kleić jakiś sensowny obraz całości, zdawałem sobie sprawę, że nie mam możliwości ni potrzeby opisywania tego. Możliwości — bo wchodzi w ten biznes i staję się zainteresowany, aby wokół

niego panowała cisza. Potrzeby — z tego samego powodu. W kwarta! normalnej pracy zarobię w „Derpolu” o wiele więcej, niż mógłby mi przynieść ten tekst, nawet w najkorzystniejszym układzie.

A mimo to wyciągałem, co mogłem, z Grzegorza Sawko w jego zakładzie i z Gregory’ego w nocnej „Kameralnej”. Tu okazał się znacznie bardziej skłonny do zwierzeń, w miarę tego jak pił, choć skądinąd łeb miał jak bania.

Liczyłem też, że go rozmową odciągnę od umizgów do Kasi, ale tutaj był twardy. Wystarczyła chwila nieuwagi z mej strony, a już pomykał z nią na parkiet, gdzie tańczyli ze sobą tak czule, że budziło to moją w pełni uzasadnioną zazdrość.

— Wiesz, Gregory — powiedziałem w którymś momencie, gdyż byliśmy już ze sobą na ty — wstawiasz mi tu różne gadki, a nie mówisz najważniejszego.

— Czego?

Że sypiasz z Elżbietą w „Lido”.

— Skąd wiesz?

Skąd wiem, to wiem. Może powiesz, że to nieprawda?

Jak mówisz, to znaczy, że wiesz. Też tam pewnie bywałeś.

— Tego nie skrywam.

No, widzisz, Andrzej. Też robisz różne rzeczy, jak każdy. Nikt nie wie, co i kiedy obróci się przeciw niemu. Całe szczęście zresztą, boby człowiek był jak sparaliżowany i nic by nie użył. Mam nadzieję, że to nie ty mnie zakapowałeś.

Coś ty, Gregory! — wykrzyknąłem, zdumiony stopniom uogólnienia, o jaki bym go nie podejrzewał.

No. Tak tylko powiedziałem, bo ten... Henryk już nie ukrywa, że wie i że postanowił mnie zniszczyć.

— Jak to?

— Co ci tam będę opowiadali — i przedstawił mi całą biznesowo-romansową historię, z przytomnym wyłączeniem wątku kryminalnego. Ten mogłem uzupełnić potem z jego zeznań.

Tego dnia narada rodzinna odbywała się w domu Grzegorza i Luizy.

— Po co tu nas ściągnąłeś? — zaczął na wstępie Henryk.

— Żebyśmy się wreszcie rozmówili ze sobą — odparł Grzegorz.

— Mało było jeszcze tych rozmów?

— Mało, dużo. Chodzi o to, żeby się wreszcie dogadać.

— Więc gadaj.

— Potrzebuję pieniędzy, Henryk.

— To już słyszałem.

— A ja słyszałem, że obiecałeś mi pomoc, kiedy się wszystko wyjaśni.

— A wyjaśniło się coś?

— Przestań, Henryk! — wrzasnęła niespodziewanie Luiza. — Nie udawaj idioty, nie baw się z nami w ciuciubabkę! Przecież już wiesz, że to Stasiak Pęksa przejechał ojca. To czego jeszcze chcesz od Grzegorza?

— Ja od niego niczego nie chcę. Niech on mnie zostawi w spokoju. Jego szczęście, że to okazał się Pęksa, choć jeszcze nie wiadomo, kto potem załatwił Staśka. Ważne jest, że Grzegorz zlecił zabicie ojca. Twojego ojca, Luśka! Czy to do ciebie...

— Czekaj, czekaj — przerwał mu Grzegorz. — Powiedziałeś „załatwił Staśka”. Co to znaczy? Co jest z tym waszym Staśkiem?

— Staśka ktoś zabił w jego mieszkaniu — wyjaśniła Elżbieta.

— Milicja pytała u nas w domu.

— I w firmie — dodał Henryk.

Grzegorz się w wyraźny sposób odprężył.

— Ze Staśkiem nie miałem niczego wspólnego. To nie on u mnie był. Ja, owszem, zgodziłem się, tak jak już wam mówiłem, ale nie to jest ważne.

— A co? — spytał Henryk. — Nie jest ważne, że zleciłeś zabicie ojca?

— Jeśli o mnie chodzi, to teścia. Lecz zaraz powiem wam to, co jest ważne.

— No mów już wreszcie, do jasnej cholery!

— No więc, ja temu facetowi powiedziałem tak: To bardzo

fajne, co mi pan proponujesz i ja na to idę. Jak starego nie będzie i ja wyjdę z kłopotów, to pan na pewno nie będzie stratny. Ma pan wtedy u mnie dobry wózek lub równowartość. Ale teraz — groszem nie śmierdzą. Dlatego się zgadzam, że już mam nóż na gardle, a nie pieniądze...

— No i co było dalej?

— Już mówię, Heniu. Dalej mówię mu tak: Teraz to nawet na przyzwoitą zaliczkę nie mam, ale powiem panu coś, co jest warte duże pieniądze. Pan idzie do mojego szwagra. Jemu stary najbardziej zależało za skórę i w razie co, on najbardziej korzysta. Ja, góra, zostaję przy swoim, a on bierze wszystko. Owszem, skąpy jest, ale za taką robotę pan już coś z niego wycisnie.

— To kłamstwo!

— Co kłamstwo? Ta rozmowa? Nie było go może potem u ciebie?

— Być był.

— A ty go wyгнаłeś precz? Może jeszcze na milicję doniosłeś?

Henryk, Elżbieta i Luiza milczeli. Henryk spojrzał na Elżbietę, która siedziała nieporuszenie. Nie wiedział, co ona powie i wahał się, co sam ma powiedzieć.

— Zanim zaczniesz nam mówić, że nie zawarłeś transakcji, to ja ci powiem, że z tym facetem jeszcze raz rozmawiałem potem i wiem, żeście się ugodzili. Na dwadzieścia tysięcy dolców. Nieprawdaż? Że gadał z tobą w Kazimierzowie, na jublu u Różyckiego, i jeszcze do domu do ciebie przychodził. Więc już nie kłam, Heniu, i nie zaprzeczaj.

— No i co z tego?

— A to, żeśmy już sobie wszystko wyjaśnili. Wiemy, jak kto stoi i nie ma się co siebie wstydzić w rodzinie. Więc możesz już mi śmiało pożyczyć pieniędzy i nie mów, że nie masz tyle pod ręką, bo to jest śmieszne. Jak nie masz, to skombinuj.

Henryk tylko pokiwał głową, że nie.

— To był również mój ojciec, Henryk — odezwała się Luiza.

— Dostałaś posag. Rób z nim, co chcesz.

— A spadek?

— Nie ma żadnego spadku. „Derpol” należy do stryja. A cała reszta jest już dawno moją własnością. Ojciec mnie nie lubił,

lecz o to zadbał. Jeszcze bardziej nie lubił podatków, które by trzeba płacić od spadku. Są jeszcze jakieś pamiątki, to te dostaniesz, jak będzie postępowanie spadkowe.

– A testament?

– Testamentu żadnego nie ma. To, co zostało, dziedziczymy więc po połowie. Tyle że do dzielenia niewiele.

W tym momencie Grzegorz i Luiza zaczęli wrzeszczeć. Wpierw padały argumenty natury rodzinno-moralnej, lecz to jakby nie robiło na Henryku większego wrażenia. Kiedy jednak państwo Sawko zaczęli krzyczeć o sądzie, Henryk uciszył ich ruchem ręki.

– Poczekajcie. Zanim zaczniecie grozić sądem, prokuraturą czy czym tam, to posłuchajcie.

Schylił się po aktówkę, położył ją na stole i otworzył.

Ukazał się mały megnetofonik. Henryk nacisnął guzik i usłyszeli czysty, wyraźny głos Henryka.:

– „Nie było u ciebie, Grzegorz, nikogo, kto by ci proponował, że za forszę, za duże pieniądze, zabije ojca i że wyjdiesz w ten sposób z kłopotów? No, powiedz: nie było?”

I od razu głos Grzegorza:

– „No, więc był u mnie jeden taki, jak ty mówiłeś...”

A potem była nagrana scena z Luizą, z której jednoznacznie wynikało, że musiała ona wyrazić zgodę na tę transakcję.

– Ty, skurwysynu!

– Mów, jak chcesz. Mnie nie obrazisz. Tę kasetę możesz sobie wziąć na pamiątkę, ja mam oryginał. A teraz możecie się procesować o spadek po ojcu!

Przez jakiś czas zabawa w „Kamerze” odchodziła niemal jak za dawnych dobrych czasów. Wpierw z Zużą i Kaziem powybrzydaliśmy na minoderyjny i aseksualny strip-tease, wykonany przez tłustawą, mocno tlenioną blondynkę, z małymi, nieciekawymi piersiami, lekko zwisłym brzuchem i płaskimi stopami. W dawnych latach goście się tu sami bawili i żadnego strip-tease’u nie było, chyba że któraś z rozbawionych pań zaczynała to robić.

Taki numer przytrafił się ongiś Zuzie, która głośno zapowiedziała, że się zaraz artystycznie rozbierze, na znak protestu przeciw bezprawnej odmowie podania nam wódki. Nowy kierownik sali stwierdził bowiem, że mamy już dość, co było sprzeczne z niepisanym prawem tego lokalu, w którym można było pić do oporu.

Zuza wówczas potraktowała swoją zapowiedź serio. Wlazła na stół, cisnęła sandałami w orkiestrę, żeby jej nie rozpraszała, i zaczęła się mocować z bufiastą spódnicą, wspartą na niezliczonej ilości sztywno wykrochmalonych halek — tak się wówczas wystrzałowe dziewczyny nosiły. Jeśli dodam, że uczesana była w koński ogon, wiek Zuzy łatwy będzie do ustalenia.

Kierownikowi, który podbiegł interweniować, kazała sobie pomóc, a gdy ten zaczął ją zawstydzać, odpowiedziała głośno i z godnością:

— Odp... się ch..., do damy mówisz!

Zebrani, z napięciem oczekujący strip-tease'u atrakcyjnej dziewczyny, gruchnęli śmiechem, skonfundowany kierownik zmył się, a Zuza oświadczyła, że przed chamstwem, co nie umie docenić powagi chwili, się nie rozbierze.

Tę historię przypomniał obecnie Kazio, z którym wówczas prawie nie wychodziliśmy z knajp. Trudno uwierzyć, że ten ponury śledziennik, nieżyczliwy światu i ludziom, był kiedyś duszą towarzystwa, jednym z najpogodniejszych i najweselszych ludzi, jakich znałem. W Zuzannie kochał się jak inni, bywał też jak oni jej kochankiem, ale w okresie kiedy kwitł mój romans z Zuzią, pętailiśmy się przeważnie we czwórkę: ja z nią i Kazio z przelotnymi panienkami, sprowadzanymi, aby w Zuzie obudzić zazdrość, uczucie całkowicie jej obce.

— Zabierałeś nam bony konsumpcyjne, pamiętasz? — przypomniała mu Zuza w ramach snutych wspominków.

— Nie traciliśmy na tym — odparł.

Konsumpcja w „Kamerze” wynosiła podówczas — śmiech wspomnieć — czterdzieści złotych. Kiedy przychodziliśmy we czwórkę, już przynapici i po kolacji, cztery bony starczały akurat na butelkę jarzębiaku, wodę sodową i słone orzeszki.

Bony zawsze trzymał przy sobie Kazio, który po jakimś czasie, w trakcie zabawy, nagle udawał się z panienką na osobność w nie cierpiącej zwłoki sprawie, zabierając bony ze sobą.

Powstawał wówczas problem rachunku. Ponieważ nie zawsze udawało się naciągnąć kogoś z licznych tu znajomych, dzwoniło się po domach o pierwszej, drugiej w nocy z wezwaniem: „Przyjeżdżaj do «Kamery», jest «szampańska zabawa». Obudzony wiedział, oczywiście, że zadaniem jego jest wykupienie nas. Wiedział też, że w razie czego, może liczyć na wzajemność.

Kazio natomiast następnego dnia udawał się do kierownika lokalu z nie wykorzystanymi bonami. A ten nigdy nie zwracał pieniędzy, lecz pytał: „Na kiedy panu przestemplować, redaktorze?”

Tym razem spostrzegłem, że Kazio swoim dawnym zwyczajem zniknął w pewnym momencie. Trudno powiedzieć, czy z panienką. Kasi w każdym razie nie widziałem. Nie widziałem także Grzegorza. Była natomiast przy mnie Zuzanna, wesolutka, jakby się czas cofnął o lat co najmniej piętnaście. I odpowiednio zalotna.

— No, co Jędrus, jak wspominki, to wspominki. Chyba już spadniemy stąd za momencik? Starszemu państwu też się coś od życia należy.

Przypomniałem sobie test prozaika G., młodego literata od lat już bez mała dwudziestu. Mówił on o tym, że wchodząc na imprezę towarzyską, należy sobie upatrzeć najmniej atrakcyjną panią, taką co to z nią w żadnym wypadku, i potem spoglądać na nią co jakiś czas. Na ogół stwierdzamy kolejno: że nie taka ona znów straszna, że nawet całkiem-całkiem, że właściwie to fajna sztuka, że to jest wspianała kobieta. A kiedy już czujemy przemożne uczucie do tejże pani, to znak, że już dosyć na dzisiaj i najwyższa pora iść spać. Niestety, zbyt często idziemy z tą właśnie panią.

Otóż według testu jeszcze bynajmniej nie byłem gotów. Owszem, rozczuliły mnie nieco wspomnienia związane z Zuzanną, lecz ona sama jakby nie osiągnęła jeszcze w mych oczach standardu, który by uzasadniał wyjście pospołu. Mocno

już podstarzała kobieta, której na twarzy widać wszystkie wypite wódki i wypalone papierosy — także te z ostatniego wieczoru. Nie zrealizowana, tak naprawdę, kariera zawodowa, rozwalone życie osobiste, niewesołe perspektywy na te jeszcze parę dziesięcioleci przed nią.

Właściwie to miałem zamiar poużalać się nad nią i może by się raz jeszcze skończyło pojechaniem do mnie i niesmakiem nazajutrz rano, ale Zuza była zbyt ekspansywna, a ja nazbyt zdenerwowany faktem, że najprawdopodobniej ktoś mi dziś wyjął Kasię. Nie pamiętam, co powiedziałem Zuzie, ale nie jest to zasłanianie się stanem zamroczenia alkoholowego, bo w ciemno potwierdzam, że mówiłem rzeczy ohydne i byłem brutalny. Na pewno powiedziałem coś o jej wieku i aparycji: chciałem ją w tym momencie dotknąć jak najboleśniej.

Musiało mi się udać, gdyż po jakimś czasie zobaczyłem Zużę ryczącą w pustym już kącie koło wejścia, przy stolyczku, gdzie z wieczora wymuszano na gościach opłatę za konsumpcję oraz działalność rozrywkową. Mimo że byłem już mocno pijany, przypominam sobie, iż znowu mi się zrobiło jej żal i porównałem biedną Zużę ze znacznie starszą od niej Lucille. Madame Sanders prowadziła równie czy bardziej lekkomyślne życie, lecz w bardziej luksusowych warunkach i starcza go jej na dłużej. A jak już jej kiedyś wszystko odejdzie, to będzie przynajmniej bogatą staruchą, która w przeciwieństwie do Zuzy, nie będzie musiała obliczać, czy jej starczy na serek homogenizowany do kolejnej wypłaty emerytury.

To pomyślawszy, podszedłem do Zuzanny, ale ta odwróciła ku mnie zapłakaną twarz z rozmazanym makijażem i powiedziała: — Odejdź! — takim głosem, że zrozumiałem, iż trzeba to zrobić.

Derkaczowie już się wyprowadzili ze wspólnej sypialni i ich rozmowa tego wieczora, po powrocie od Grzegorza i Luizy, odbywała się w salonie, na dole. Każde z nich stwierdziło, że ma drugiemu coś jeszcze do powiedzenia. W związku z tym Henryk wyciągnął jakąś butelkę na stół, bo od śmierci starego

obydwoje zaczęli w domu mocno pociągać.

— To miło — zaczął Henryk — że tym razem nie chciałaś, abym dał forszę temu darmozjadowi. Trudniej się daje własne, co?

— Nie poczułam jeszcze, że to są również moje pieniądze. I nadal uważam, że trzeba dać Grzegorzowi. Ale chcę być w porządku. Wpierw my musimy sobie pewne rzeczy wyjaśnić.

— No, to wyjaśnij mi, dlaczego mam dać forszę twojemu Grzesiowi.

— W tym wypadku nie ma znaczenia, czy on jest mój, czy nie. To jest nasza rodzina, Henryk. Bardziej nawet twoja niż moja, bo Luiza jest twoją siostrą. W rodzinie mogą być porachunki, ale nie może nikt iść z torbami. Nawet jeśli zasłużył, jak Grzegorz. I nie wynosi się tego, co się w rodzinie mówiło!

— No już, dobra, dobra. Trzeba było zostać w swojej rodzinie. Grzegorzowi nie dam, bo to jest studnia bez dna. Dziś się wypłaci, a jutro przyjdzie z nowymi długami. Może powiesz, że tak nie będzie? Niech idzie na posadę i da sobie spokój z interesami. Jak mu będzie brakowało przed pierwszym, to mu dodasz ze swego kieszonkowego.

— To już wszystko, co masz mi do powiedzenia?

— Nie. Znajdź tego gościa, któremu dałaś dwadzieścia tysięcy. Mówiłaś, że masz z nim kontakt.

— Kogo zlecamy?

— Nikogo. A już na pewno nie jemu. Niech odda pieniądze, które dostał, za to, czego nie zrobił!

— Co?

— Przecież to Stasiak Pęksa przejechał ojca. On nic nie zrobił, tylko z dobrą miną zgarnął pieniądze.

— Bardzo ci ich brakuje?

— Bardzo. Nie lubię, jak się mnie traktuje jak durnia. Dostyc już tego.

— Ja do niego po te pieniądze nie pójde.

— Jak to? Dlaczego?

— Bo nie. Idź sam, jeśli ci tak bardzo zależy.

— Pójde, ale musisz mnie z nim umówić.

— Mogę, ale pomyśl dobrze, czy ci się to naprawdę opłaci.

Pomyśl, Henryk, bo może jednak nie warto.

— To moja sprawa. Załatw i już!

— Proszę cię, jeśli ci na tym zależy.

Obudziłem się u Marii, ale nie z Marią. Leżałem dość niewygodnie na małej kanapce, częściowo ubrany. Nade mną stała całkiem ubrana Maria i szarpała mnie za ramię, mówiąc, że już musi wychodzić. Jeśli chcę, to mogę zostać, lecz ona nie wie, czy się gdzieś przypadkiem nie śpieszę. Nie wyglądało to nazbyt zachęcająco.

— Narozrabiałem?

— Nie.

— Czyli wszystko w porządku?

— Niezupełnie.

— Zapraszałaś.

— Więc cię przyjął. — Ale jakby nie o to chodziło. — No więc idziesz czy nie?

Wyszedłem. Rozumiałem, że mam tyły u Marii. Wywołało to we mnie złość, a nie skruchę. W końcu chłop ma raz prawo przyjść do baby na bani. Sama też nie jest święta. I pojechałem pod redakcję po samochód.

W redakcji było pustawo. Nie zauważyłem uczestników wczorajszej libacji, poza Kaziem, który siedział nad materiałami w swoim pokoju. Miał spuchniętą twarz, przekrwione oczy.

— To już nie jest zajęcie dla starszego pana — powiedział na uwagę, że popłynęliśmy jak za dawnych czasów.

— Dla starszych panów — nie. Ale dla chłopców jak my...

Kazio jednak nie był we frywolnym nastroju.

Wsiadłem do zostawionego wczoraj pod firmą wozu i pojechałem do Kasi. O tej porze mama powinna być w pracy, a zresztą, wszak miałem prawo wpaść w jakichś sprawach redakcyjnych.

Dość długo nie otwierała. Wreszcie usłyszałem odgłos bosych stóp w korytarzu. Przypomniałem sobie, co Kasia mówiła, że zawsze, sama też, sypia nago. I rzeczywiście. Mimo to otworzyła drzwi, nie pytając, kto dzwoni. Widać było, że się

jeszcze nie obudziła. Odwróciła się i bez słowa poszła z powrotem do łóżka. Starannie zamknąłem za sobą drzwi i ruszyłem tam za nią.

— Naruszyłam zasadę, by się nie kochać u siebie w domu, kiedy mama jest w Warszawie — powiedziała koło południa, kiedyśmy się zbudzili.

— Ma zwyczaj wpadania do domu w czasie pracy?

— Nigdy tego nie zrobiła jak dotąd. Mimo to się pilnuję.

— Miło mi, że zrobiłaś dla mnie wyjątek.

— Jak mam być szczerą, to nie tyle z twojego powodu, lecz że byłam zaspana i chyba jeszcze upita...

— A mama cię ma za niewinną panienkę?

— Nie. Nawet mówimy o moich chłopcach. Ale co dom, to dom. Idziemy. Tylko coś włożę na siebie.

To coś to były dwa sandaalki, majtki i krótka sukienka. Ja ubierałem się znacznie dłużej. Zwłaszcza sznurowanie butów szło mi opornie, bo jak schylałem głowę, to się znów robiłem pijany. W tym czasie Kasia zaparzyła dwie kawy w szklance, mimo iż zdążyłem jej już kiedyś powiedzieć, że tego nie cierpię.

Pojechaliśmy, jak to z Kaśką, na snobistyczno-nudystyczną plażę do Świdrów, miejscowego odpowiednika Chałup na Helu. Jestem mężczyzną łatwym i daję babom powodować sobą. Tak było i w wypadku tych golasów, do których bardzo nie lubiłem jeździć. Twierdziłem, że jak dżentelmen chce sobie popatrzeć na atrakcyjną gołą panienkę — a to jest jedyna atrakcja na takiej plaży — to powinien ją sobie poderwać i nie ograniczać się tylko do oglądania. Poza tym u nudystów trzeba było oglądać przeważnie nieapetyczne widoki, a co najgorsze — samemu się pokazywać.

Od czasu gdy byłem zgrabnym wysportowanym chłopcem, minęło już dobrych parę lat. Na szczęście, jak to u mnie w rodzinie, byłem wciąż chudy, mimo zamięłowania do dobrego i obfitego jedzenia. Ale po zdjęciu kąpielówek pojawiał się sporawy, okrągły brzuszec poniżej pasa, komicznie wyglądający przy chudych rękach, nogach i dających się policzyć zebrach. I jeżeli tors mogłem jakoś natężyć, to nad tym brzuszkiem zupełnie nie panowałem.

Te wszystkie argumenty zupełnie nie przemawiały do Kaśki, która twierdziła, że skoro ona nie wstydzi się mojego brzuszka, to ja nie mam powodu, aby wstydzić się jej figury.

— Słuchaj — powiedziałem, kiedy po powolnej i męczącej defiladzie po plaży ułokowaliśmy się na wyjętym z zastawy kocyku. — Przecież w powszedni dzień mogliśmy znaleźć jakieś odludne miejsce, jeśli tak lubisz opalać się nago. Czy tobie nie chodzi o to, by się pokazać?

— No! Wreszcie mnie przejrzałeś. Przecież muszę pokazać to, co mam najlepszego.

— Po co?

— Panienska w moim wieku musi myśleć o ułożeniu sobie życia. A tu mogę się zademonstrować w całej okazałości — przeciągnęła się — i w pełnej cnocie zarazem, bo ta plaża nie kojarzy się z seksem. Dobrze pomyślane, co?

— Jeszcze pomyślę, że ty to poważnie.

— Jeśli chodzi o wyjście za mąż, to wyobraź sobie, że całkiem poważnie — powiedziała tak, że zrozumiałem, iż nie żartuje.

— Sądzisz, że to najlepsza kariera?

— Dla mnie tak. A powiedz, w jaki inny sposób mogłabym się w życiu urządzić? Rozumu wielkiego nie mam, żadnych większych zdolności też. Powiedzmy, że zostanę panią redaktor, to i co z tego. Widziałam wczoraj tę Zużę. Dziękuję bardzo!

— No, a te co powychodziły za mąż, to złapały już Pana Boga za nogi?

— Ja, Andrzej, muszę dobrze wyjść za mąż. Jak jestem zgrabna, dobra w łóżku i miła w towarzystwie, to dlaczego mam nie wykorzystać tych szans, jak inne wykorzystują jakieś swoje zdolności do czegoś. Możesz mówić, że jestem cyniczna. Na pewno nie wyjdę za takiego, do którego nic nie będę czuła, z samego tylko wyrachowania...

— A jak się nagle zakochasz w biednym, suchotniczym studencie bez perspektyw?

— To będzie wypadek, jakbym wpadła pod tramwaj. Ale ja się nie zakochuję od razu. Muszę sobie tak na wstępie trochę przyzwolić.

— No dobra. Teraz mi określ, czego wymagasz od swego przyszłego męża. Niech wiem, czy przypadkiem mnie na to nie stać.

Pytanie rzuciłem tonem niedbale żartobliwym, lecz byłem poważnie zainteresowany odpowiedzią. Co nie znaczy, abym już miał poważne zamiary. Ale po potraktowaniu mnie dziś przez Marię i przez Kasię, wariant Kasi wyglądał bardziej zachęcająco.

— Czego wymagam? Żeby nie było, co jest.

— A co jest?

— Jest życie, jakie ma moja matka, siostra, inne kobiety. Matka w młodości biegała w jakimś tam krawacie, krzyczała, śpiewała o świetlanej przyszłości, a potem przestała całe życie w kolejkach, za garami i w aptece za ladą, słuchając wymyślań, że nie ma tego czy owego. Ojciec odszedł od takiego życia i ma teraz drugą taką samą babę i takie same z nią życie.

— Wszyscy tak żyją.

— Ale ja nie chcę! Nie chcę być jak moja siostra.

— A jej cóż się stało?

— Nic. Wyszła za męża, ma dwoje udanych dzieci. Była ładniejsza i zgrabniejsza niż ja, a dziś wstydzi się rozebrać na plaży, choć nie ma jeszcze trzydziestki. I nie ma tak źle. Mąż coś zarabia, mają M-4 w blokach i nawet malucha, tyle że się im sypie i już nie wiedzą, jak go ratować. Ja, Andrzej, co rano, jak nie piję z wieczora i jak śpię sama, czyli prawie codziennie, biegam po parku przez pół godziny. Wkładam dres, adidas i lecę. Potem wracam, żeby wziąć prysznic. Przybiegam rozgrzana, lekka, pełna sił, tak mi jest dobrze, że myślę, że mi żaden chłop niepotrzebny. I widzę te moje rówieśnice, już zmęczone, w rozdeptanych pantoflach, wyciągniętych czapkach włóczkowych zimą, jak ciągną siaty z pierwszych porannych zakupów. A parę razy do roku wypindrzą się, zrobią ondulację, włożą cienkie rajstopy na swoje żylaki i ubiorą garsonki, które się już na nich nie schodzą. Tylko że przedtem nabiegają się i nastoją po sklepach, potem tkwią w kuchni godzinami, a potem zmywają przez pół nocy. Czy możesz zrozumieć, że ja tego nie chcę? I że mam jeden sposób, żeby się uratować?

— A co na to matka?

— Jak matka. Mówi, że trzeba się uczyć i pracować, żeby do czegoś dojść. Już jej nawet nie mówię, że przecież się uczyła i pracowała. Ale czasem, jak wypije dwa, trzy kieliszki, to sama mi mówi: „Ratuj się, Kaśka, uciekaj z tego!” Zresztą po co ci tyle mówię. Jeszcze pomyślisz, że ciebie chcę złapać i się przestraszysz.

— Nie ma się znowu tak czego bać. Chyba że ty się boisz. Miałem żonę, lecz jej nie zapewniłem niczego innego. Choć na co dzień to nie wygląda aż tak tragicznie. Masz zdolność do sugestywnej narracji...

— I zrobię karierę w dziennikarstwie, w czym mi pomożesz. Mogę, na razie...

„Żonie mówię, że muszę spotkać się z kolegami, kolegom mówię, że mam randkę z kochanką, kochance — że muszę siedzieć w domu przy chorej żonie i wtedy spokojnie zasiadam w bibliotece do pracy”. Ta anegdota o profesorze przypomniała mi się wieczorem, który postanowiłem spędzić wreszcie samotnie w domu. Zapaliłem stojącą lampę przy starym, lekko wytartym, lecz bardzo wygodnym wolterze, a na stoliku obok ulokowałem wszystkie konieczne utensylia. A więc: zaległe lektury, przywieziony ongiś z Budapesztu ekspres do kawy, butelkę koniaku „Ararat”, którą udało mi się nabyć za złotówki, a lepszy to trunek od wszystkich tak zwanych *french brandy*. Niestety, w butelce już było niewiele. Poza tym pod ręką znajdował się stojak z fajkami, paczka tytoniu „Amphora-Whisky”, przybór do fajki, popielniczka, zapalki. Nie zapomniałem też o okularach, ale to dla fasonu, nie wiadomo przed kim, bo miałem już przepisane, lecz ich jeszcze nie musiałem używać.

Zapowiadało się wspaniale. Były okresy, gdy tylko zamieszkałem sam, że męczyły mnie i przygnębiały puste, samotne wieczory. Teraz jednak prowadziłem życie na tyle aktywne i wesołe, iż taki wieczór stawał się czymś pożądanym. Chwile skupienia i samotności też postanowiłem uwzględnić po

stronie aktywów mojej obecnej sytuacji.

Parzenie i nalewanie sobie kawy, czyszczenie i nabijanie fajki to czynności dość miłe, lecz czasochłonne. W ich trakcie, zanim mogłem przystąpić do lektury, przemyślałem dzisiejszą rozmowę na plaży w Świdrach. Nie bez sympatii do tego, co tak otwarcie deklarowała leżąca tam koło mnie dziewczyna. Trzeba było — myślałem — powiedzieć jej o czekającej mnie zmianie. O „Derpolu”, związanych z tym apanażach i wyjazdach zagranicznych. Z jednej strony — jakby nie wypadało chwalić się czymś takim. Niechby poleciała na moje osobiste walory, a potem została wynagrodzona tym całym dostatkim, który by chyba zaspokajał jej aspiracje. Lecz z drugiej strony, czemu bym się nie miał wesprzeć tymi atutami. Są w końcu w większym stopniu moją zasługą niż zasługą Kasi są te, na których ona bazuje.

Kiedy już wszystko było gotowe, gdy zasiadłem, łyknąłem kawy i wypuściłem pierwszy kłęb dymu, przypomniałem sobie, że do pełni szczęścia brakuje mi jeszcze muzyki stereo. Ze szpanerskich urządzeń miałem aparaturę hi-fi, zgromadzoną w czasach, kiedy jeszcze to było możliwe. Bardzo już nie chciało mi się wstawać z fotela, lecz przewyciężyłem swoje lenistwo, wstałem i puściłem taśmę z *country*. Jest to muzyka miła w słuchaniu, a zarazem *a la mode*, więc jakby nobilitująca, choć znów nie wiadomo przed kim.

Wkrótce się jednak okazało. Ledwo się znów rozsiadłem i pograżyłem w zaplanowanej rozkoszy, rozległ się dzwonek u drzwi.

Rzadko kto ryzykował przyjazd do mnie na Ursynów, nie umówiwszy się uprzednio. Z sąsiadami żadnych kontaktów nie miałem.

Za drzwiami stała Terenia Kowalska z „Lido”, wyraźnie zażenowana sytuacją.

— Cześć, Andrzej. Przepraszam, że ja tak nagle. Widzę, że jesteś zaskoczony.

— Mile zaskoczony, Tereniu. Wejdz, proszę.

— Zaraz wejde. Lecz powiedz: jest ktoś u ciebie, może ma przyjść, może wychodzisz czy nie masz czasu? Powiedz po

prostu, przecież nie mogłeś na mnie czekać.

— Stale na ciebie czekam, Tereniu. Wejdz już nareszcie! Mam nadzieję, że się nigdzie nie śpieszysz.

— To zależy od ciebie, Andrzej.

— Tyle razy gościłaś mnie, że już naprawdę jest moja kolej. Jak mnie znalazłaś?

— A karty meldunkowe? Pomyślałam, że też mógłbyś mnie czasem ugościć. Prawdę powiedziawszy, to nasze „Lido” nie jest najprzyjemniejszym miejscem, choć nie powiem, by nam tam nie było dobrze.

Terenia szybko się rozruszała. Kiedy ją przeprosiłem, że mam już tak niewiele koniaku i słaby jestem w zakąsce, mruknęła, że przewidziała to. Z wielkiej torby z rafii wywędrowała butla Jasia Wędrowniczka, jakieś czerwone wino, zagraniczne puszki oraz długa bułka, masło i pomidory. Gospodarność Tereni była fenomenalna i gdyby tylko o to chodziło, nie miałbym żadnych problemów z decyzją w sprawie małżeństwa. Weszła ona z całym tym kramem do kuchni i po kwadransie wyszła z przygotowaną kolacją. Już rano ze zdumieniem zobaczyłem, że kuchnia jest wyczyszczona i łazienka też.

Na razie jednak wczeczaliśmy w coraz weselszych nastrojach przy muzyce country i dość szybko minął mi żal po niedoszłym samotnym wieczorze.

Kiedy już wreszcie zasypialiśmy, poczułem, że Terenia płacze.

— Co jest, na Boga? Źle było?

— Przecież wiesz, że wspaniale. Andrzej, ja się boję, dzieją się rzeczy straszne.

— Co się dzieje, czego się boisz? — senność, zmęczenie, pijaństwo przeszły mi błyskawicznie, bo w głosie Tereni nie było żadnej pijackiej histerii.

— To Zbynio Komandos zabił Staśka. No, Staśka Pęksę. I ja go do Staśka posłałam. Ja do tego doprowadziłam, bo przecież nie wiedzieli o sobie.

— Skąd mogłaś wiedzieć, że tak się skończy? Jeśli to prawda.

— Prawda, Andrzej, prawda. Przecież ja znam Komandosa. Wiem, co to za człowiek. Powinnaś była przewidzieć, czym się

to skończy, tylko nie chciałam do głowy przypuścić, bo mi chodziło o to zas... „Lido”. Ja wciągnęłam Staśka w całą aferę, udawałam, Bóg wie co, żeby go tylko pozyskać.

— Ale nie ty mu kazałaś przejechać Derkacza?

— Coś ty, Andrzej!?! Mozę byłam złodziejką, puszczałam się całe życie, chociaż nie za pieniądze, ale przecież bym nie zabiła i nie kazała zabić. Tylko, tylko...

— Co tylko?

— Kazek, mój mąż, dał Zbyszkiowi tysiąc dolarów, żeby ten mu załatwił sprawę „Lido” u starego Derkacza. Kazek mówi, że nie wiedział, jak ten załatwi, choć przecież także zna Zbyszka...

— Poczekaj. Forse wziął Komandos, przejechał Pęksa. Potem Zbynio zabija Pęksę. Nic nie rozumiem.

— Też nie rozumiem i nie chcę. A jeśli to Zbynio napuścił Staśka, a potem go załatwił, żeby ten już nic nie powiedział?

Wyzwolilem się na chwilę z objęć Tereni, zapaliłem lampkę i sięgnąłem po papierosy, wszystko gestami wyuczonymi na niezliczonych filmach. Roztrzęsiona Terenia też zapaliła, mimo że paląc w łóżku, zaproszała sobie popiołem imponującą ozdobę wszystkich barów, za którymi stała w ciągu pracowitego życia.

— Wszystko to może być — powiedziałem, przypominając sobie nauki Morsztyna — ale najbardziej prawdopodobne jest, że Pęksa przejechał starego przez przypadek i że Komandos po prostu naciągnął twojego Kazka, nie myśląc czegokolwiek robić. Czy zabił Staszka? Może i zabił, lecz chyba nie z zazdrości o ciebie, więc nie masz z tym nic wspólnego. Wiesz, mam znajomego glinę. Studiowaliśmy razem. On w końcu siedzi w tych sprawach całe życie i mówi, że przeważnie wszystko się dzieje prosto. Że takie skomplikowane afery z kryminalów rzadko bywają w życiu. Więc dlaczego teraz akurat miałyby się tak zdarzyć?

Ale Terenia nie dawała się uspokoić. Z całego mojego wyvodu zapamiętała, że mam znajomego glinę i zaczęła pytać, czy nie mógłby on jej jakoś pomóc przez znajomość ze mną.

— W czym pomóc? Czego ty się właściwie boisz?

— Boję się Zbyszka i boję się milicji. Znowu się wplątałam. Ja

siedziałam prawie dwa lata, Andrzej. Chłopy siedzą i mówią, że jak któryś raz był, to się już więcej nie boi. Może w męskim pudle tak jest. Dla mnie to było piekło. Zabiję się, gdybym znów miała siedzieć.

— Za co miałabyś siedzieć? Przecież nic nie zrobiłaś.

— Ale wiedziałam. Teraz wiem, że wiedziałam, że doprowadziłam do tego.

Znów się poczułem zmęczony i wyrzuty sumienia Tereni wydały mi się cokolwiek na wyrost. Obiecałem jej, że pogadam z Morsztynem i na pewno jej nic nie zrobią, jeśli niczego więcej nie skryła. Wszystko mu tylko powie, to będzie jej jeszcze wdzięczny.

— Na pewno mu wszystko powiem, tylko wtedy mnie Zbyszek załatwi.

Obsuwa

— Cześć, Kaśka! Jak się masz?

— Cześć... Gregory Dobrze.

Grzegorz podszedł do nieco zdziwionej Kaśki i serdecznie ucałował ją w oba policzki, zanim ta zdołała jakoś zareagować.

— Nie zadzwonisz, nie wpadniesz. Szukałem ciebie, ale jakoś nie miałem trafu. Cześć, Jędrzek!

To było do mnie. Sunął już w moim kierunku z wyciągniętą grabulą i coraz szerszym uśmiechem na twarzy

Omawialiśmy właśnie z panną Wieromiej pierwszy wariant jej tekstu o firmach polonijnych — oparty na rozmowie z gęsto przez nią cytowanym Leszkiem Różyckim. Cytaty były soczyste i już oczyma duszy widziałem Leszka popisującego się swymi powiedzonkami przed Kasią. A teraz Sawko, który nagle się pojawił w redakcji. Do kogo przyszedł? Do mnie, do niej?

— Przejeżdżałem akurat, to pomyślałem, że wpadnę na chwilę do was. A Zuza, Staszek, Kazek, Ksawery? Czekaj, czy na pewno Ksawery?

— Cezary, jeśli już na to poszło — mruknąłem. Sawko

wyraźnie poczuł się zaprzyjaźniony z ekipą redakcyjną, z którą się zetknął w „Kamerze”.

— Słuchaj, stary — to było do mnie. — Przepraszam, że przydamie, ale *business is business* Wybacz, Kasienko — ruchem pełnym galanterii ujął jej dłoń i ucałował — lecz ty mi, Jędrzek, powiedz, czy jeszcze reflektujesz na wózek, bo mogę mieć parę dobrych sztuk do wyboru i nikomu ich nie pokażę, jeśli ty zechcesz wpierv je obejrzyć.

Byłem dziwnie spokojny, iż tak naprawdę nie ma żadnego, ale kiwnąłem głową, że owszem. Powiedział, że nie chce ich trzymać u siebie w zakładzie i że będą do obejrzenia u ludzi. On da mi znak i starannie zaczął się dopytywać, gdzie i jak będzie mógł mnie odnaleźć.

— No, to cześć. Spadam. Nie przeszkadzam w robocie. Kasienka, zapraszam cię dziś na obiad!

— Dzisiaj, chyba nie bardzo mogę — odpowiedziała zakłopotana co nieco Kasia.

— Nie szkodzi. Powiesz mi to jeszcze raz o trzeciej. Przyjadę tutaj po ciebie — powiedział z głębokim wewnętrznym przekonaniem.

— Cześć, stary! Do zobaczenia, mała! — i tu znowu cmoknął Kasię w oba policzki, i wyszedł.

— Myślałam, że mi odpuści — stwierdziła Kasia po jego wyjściu.

— Widzę, że zżyliście się tego wieczoru — zauważyłem.

— Można to i tak nazwać. Nie tyle może tego wieczoru, co potem. Byłam na tyle pijana, że omal nie pojechałam z nim — wyobraź sobie! — do motelu „Lido”, co mi zaproponował. Na szczęście taksówkarz nie chciał jechać za miasto za żadne pieniądze i wylądowaliśmy u niego w zakładzie, gdzie handluje samochodami.

— No i co było?

— No, a co miało być? Fakt, że mnie trochę jakby przy tym nie było. Ale jakbyś mi zamierzał robić wyrzuty, to przyjmuję pełną odpowiedzialność.

— Przecież zastałem cię rano w domu.

— Bo nad ranem wróciłam. Musiałam się położyć zanim

matka wstanie, żeby nie było rozmów.

— Jak Kazek — zauważyłem i by pokazać, że jestem ponad zazdrość czy niesmak, opowiedziałem jej, jak to w pewnym okresie nasz obecny sekretarz redakcji był zobowiązany wracać z libacji, baletów i takich różnych, tak aby dzieci wstające o siódmej do szkoły widziały tatę śpiącego, po długim i zapewne męczącym, nocnym dyżurze. To był rygorystyczny warunek, pod którym jego żona skłonna była tolerować właściwie wszystko. W tych latach mieliśmy zdrowie również do całonocnych imprez, z których Kazio zawsze się zrywał w ostatniej chwili. Bywały wpadki, że wróciwszy prawie punkt siódma, do przygotowanego z wieczora łóżka wskakiwał w palcie i w butach, co maskował kołdrą naciągniętą po uszy.

Ta opowieść rozbawiła pannę Wieroniję, lecz przypomniała jej zarazem o redakcyjnej rzeczywistości i tymże Kaziu jako sekretarzu redakcji, więc znów zajęliśmy się egzegezą jej tekstu na trzy i pół strony maszynopisu formatu A-4.

Zawsze twierdziłem, że żurnalistyka należy do tych dziewięćdziesięciu procent wszystkich ludzkich czynności, które dziewięćdziesiąt procent ludzi może względnie poprawnie wykonać. Kasia mieściła się w tej większości. Nie była antytalentem, co się czasami zdarza — i nie przeszkadza w imponującej dziennikarskiej karierze — ale orłem też nie była i teksty jej wymagały sporo pracy. Cudzej, choć istniała nadzieja, że z czasem sama da sobie radę, jeśli będzie musiała. Należała przy tym do tych atrakcyjnych kobiet, którym mężczyźni chętnie poświęcają czas, wysiłek i udzielają wszelkiej pomocy. Dotyczyło to mnie, Kazka, Leszka i Gregory'ego, wszystkich, z którymi widziałem, że ma do czynienia. Pomyślałem, iż takie dobro trudno jest upilnować, ale przynajmniej utrzymam nerwy na wodzy, by nie wpaść w trzęsączkę, w którą ongiś wpędzało mnie postępowanie Zuzy.

W związku z tym, udzieliwszy jej ostatnich wskazówek, zaleciłem powtórzenie rozmowy z Leszkiem, celem uzupełnienia materiału. O drugiej wyszedłem z redakcji, aby zostawić ją samą z dylematem, co zrobić z Gregorym, który miał tu zajechać o trzeciej. Przykre, ale widziano ją z nim

potem w SPATiF-ie, gdzie Gregory, jako dostawca panów artystów, miał wyrobioną kartę.

— Czym mogę służyć?

Ton, jakim posłużył się Derkacz junior, bynajmniej nie był zachęcający.

— Pana ojciec zaproponował mi pracę w „Derpolu”. Miałem zostać szefem działu wydawniczego i rzecznikiem prasowym firmy.

— Nic mi o tym nie wiadomo i nie sądzę, bym mógł coś panu poradzić.

— Nie szkodzi. Nie po to przyszedłem.

— A po co?

— Tę propozycję podtrzymali panowie Sztarkiello i Drapich. Już we własnym imieniu, lecz powołując się na wybór dokonany przez pana ojca. Sprecyzowali nawet warunki i wymagania.

— Tym bardziej więc nie rozumiem, po co pan do mnie przyszedł.

Henryk mówił spokojnie, lecz widziałem, że jest wzburzony i zły. Czuję, że jego złość skierowana jest również przeciwko mnie i wiedziałem, iż muszę to odwrócić szybko i zdecydowanie.

— Jestem swego rodzaju legalistą i pana uważam za szefa i właściciela „Derpolu”.

Tego pewno młody Derkacz jeszcze od nikogo nie słyszał. A tu przychodzi obcy facet, tkwiący w nieprzyjaznym dlań układzie, i mówi mu takie słowa. Widziałem, że jeszcze waży w sobie nieufność, lecz bardzo chce, by potwierdziło się to, co mu powiedziałem.

— Tu nie chodzi tylko o abstrakcyjne poszanowanie czyjś prawa, ale i o mój interes zarazem. Owszem, zależy mi na tej pracy, ale dlatego właśnie nie chcę wchodzić bez wiedzy i woli tego, kto jest faktycznym następcą Seweryna Derkacza. Niezależnie od takich czy innych posunięć, jakie pański ojciec poczynił.

Kupił. Wyraźnie kupił. Jeszcze raz potwierdzało się, że na komplement, na dobre słowo można wziąć prawie każdego. Henryk odpreżył się, rozsiadł wygodnie, przysunawszy do fotela barek na kółkach. Od razu stało się jasne, że sobie porozmawiamy i bez wątpienia porozumiemy się. Niech więc Sztarkiełło nie będzie już taki pewny!

Musiało mi bardzo na Kasi zależeć i bardzo musiał mi zależeć za skórę ten cały Gregory, skoro najbliższej niedzieli o nieprzyzwoicie wczesnej godzinie, dobrze przed szóstą, sunąłem swą zastawą z Ursynowa w kierunku lotniska na Bemowie, by zdążyć na moment najżywszego ruchu na giełdzie samochodowej.

Przypomniałem sobie bowiem, jak parę lat temu, jeszcze na Okęciu, sprzedawałem małego fiata. Korzystając z ówczesnych błędów i wypaczeń załapałem się na talon na zastawę — tę samą, lecz wówczas nową, piękną i sprawną. Dwa kolejne talony na maluchy, a potem ta zastawa świadczyły, że układam się w owej niesłusznej rzeczywistości dosyć wygodnie. Lecz zaufanie me do niej było dosyć ograniczone, bo gdy zmieniałem samochód, miałem zwyczaj — zapożyczwszy się na krótko — wpierw wykupywać nowy, a potem dopiero sprzedawać stary i zwracać długi. Ceny mogły podskoczyć każdego ranka i głupio byłoby na tym stracić, mając w ręku pieniądze, miast zarobić, przetrzymując nie sprzedany jeszcze samochód.

Tamtej niedzieli, jak zawsze, zasnąłem i zbliżałem się do giełdy w gęstniejącym i coraz wolniejszym potoku pojazdów. Skręcając z alei Krakowskiej na Malowniczą, zdawałem sobie sprawę, że za chwilę utknę w korku, z którego nie wyjadę przez długie godziny. Chyba że już wyjadę, zostawiwszy unieruchomiony pojazd nowemu właścicielowi. Chciało mi się wycofać, lecz pamiętałem, że pożyczone pieniądze trzeba zwracać, poczynając od poniedziałku.

W tym momencie — akurat przystanąłem na chwilę w tłoku — ktoś szarpnął za prawe drzwi. Były otwarte. Nie zdążyłem nawet spojrzeć na faceta, który usiadł na prawym siedzeniu,

gdyż musiałem ruszyć z całym potokiem.

— Szybko, w prawo na chodnik i zawracamy!

Wykonałem polecenie, wjechałem w jakąś boczną uliczkę, potem na komendę pasażera jeszcze parę skrętów i już odjeżdżałem bez przeszkód aleją Krakowską.

— Dziewięćdziesiąt — rzekł facet.

— Co dziewięćdziesiąt?

— Tysięcy. Od ręki.

Liczyłem na trochę więcej, lecz nie była to jeszcze dolna granica, jaką sobie postawiłem, znając notowania giełdy z poprzedniej niedzieli. Skinąłem głową.

— Pan zjeżdża.

Gdy stanąłem, zatrzymał się za nami duży fiat.

— Kolega. Ze szmałem. Pan pozwoli, będzie nam tam wygodniej.

Na tylnym siedzeniu załatwiliśmy całą transakcję. Facet zza kierownicy podał mojemu kontrahentowi aktówkę, na której ten położył formularz umowy i szybko wypełnił, pytając o niezbędne dane.

— Nie obejrzy pan wozu?

— Napatrzyłem się na małe fiaty. Widzę, że chodzi i z którego jest roku. Co trzeba, to się poprawi. Proszę, niech pan przeliczy. Aktówka była nabita plikami pieniędzy. Moje dziewięćdziesiąt nie zrobiło w niej większego uszczerbku.

— W porządku?

Akt kupna-sprzedaży samochodu był dla mnie znaczącym wydarzeniem i chciałem zaprosić panów przy tej okazji choćby na kawę, lecz oni nie mieli czasu, jako że po wczorajszym też odrobinę zaspali i kupili dopiero pierwszy samochód tego dnia, a już by mogli mieć drugi czy trzeci.

— Ile ich panowie kupują?

— Jak dobrze idzie, to rano trzy i po południu dwa albo trzy, z tych co nie poszły za dobrą cenę.

— I tak bez oglądania?

— To się na oko wyczuwa, który jest rzęch odpicowany. A drobne różnice nie grają roli. Lepiej mieć o jeden więcej, niż targować na każdym po parę złotych.

Wysiadając śpiesznie z ich wozu — tu naprawdę poczułem, że czas to pieniądz — pomyślałem sobie, że warto by się zasadzić na taką parę, kiedy rankiem wyjeżdża z pełną teczką po swe niedzielne zakupy.

Wozy te, jak mi potem wyjaśnił Morsztyn, odstawiano następnie do umówionych warsztatów, poza Warszawę przeważnie, gdzie je przeglądano, podszykowałyo najtańszym kosztem i sprzedawano dalej na wieś, ludziom, co to nie mieli czasu, głowy ani śmiałości, aby samemu próbować szczęścia na giełdzie.

Teraz jechałem, aby odnaleźć tych facetów. Byłem pewny, że ich poznam po tych kilku latach, jeśli tylko wytrwali na giełdzie. Rysiek twierdził, że niekoniecznie nawet muszą być oni. Każdy inny powie to samo albo nie powie. A on mi pomoże, żeby jednak powiedział.

Z Wisłostrady zjechałem na Podleśną, dalej w prawo, na Kasprowicza, a potem w lewo, ku stacji benzynowej na Reymonta. Na wygonie za stacją stał młody blondasek w dżinsach i amerykańskiej kurtce wojskowej. Stałem, wsiadł.

— Przepraszam, jeśli się spóźniłem — powiedziałem.

— Nie szkodzi. Minuta w jedną czy drugą nie ma znaczenia. Nie wjedziemy na giełdę, tylko stanie pan na Conrada. I ze mną niech pan nie chodzi, bo mnie już poznają, po co pana mają kojarzyć. Jak pan pozna tych ludzi, to mi pan tylko dyskretnie pokaże i sobie pójdzie. Jutro do pana zadzwonię. A jak nie, to niech pan się też nie przejmuję. Znajdę panu innych. Jak pan kapitan prosił...

— Nie sprawiam panu kłopotu?

— Przecież to i tak jest moja robota.

To dziwne, ale jednego z tych dwóch, tego co wtedy jechał za nami z teczką, zobaczyłem już po paru minutach. Z ulgą wracałem do samochodu. Pomyślałem, że stąd bliżej mam na śniadanie do Marii, którą ostatnio trochę zaniedbywałem, niż do siebie, na daleki Ursynów.

O tej porze zapewne jeszcze śpi, ale chyba będzie zadowolona, że ją obudzę. A i mnie będzie miło, tym bardziej że Kasia, zostawiwszy poprawiony materiał o firmach

polonijnych, zniknęła na parę dni.

Trochę byłem zdziwiony, gdy Sawko pokazał się u mnie w redakcji, jakby łączyła nas zażyłość dopuszczająca, ot takie sobie, wpadanie bez istotnego powodu. Jeszcze bardziej zdziwiło mnie, gdy wśród paru nieznaczących zdań spytał, czy nie wiem przypadkiem, co też się dzieje z Kaśką. Było jasne, że to go sprowadza. Niejasne natomiast było, gdzie wobec tego jest Kaśka, bo sądziłem, że właśnie z Gregorym, co zamierzałem jej wybaczyć, lecz po stosownej reprimendzie.

Nie chciałem jednak z nim akurat dochodzić, gdzie się ona podziała, więc spytałem, czemu jest taki przegrany, bo niewiele zostało z jego pogody i rubasznej cokolwiek wesołości.

— Żle jest — mruknął. — I jeszcze do tego stara straciła rozum. Jak człowiekowi jest już naprawdę źle, to zawsze mu baba jeszcze przyłoży. Znasz przecież moje sprawy. Mówiłem ci...

Widać było wyraźnie, że ma się ochotę pozwierzać, ale ja nie miałem ochoty wysłuchiwać tych zwierzeń. Nie interesował mnie ani Gregory, ani sprawy jego rodziny, choć tak niedawno jechałem na giełdę, by czegoś się o tych sprawach dowiedzieć. Kanwa powieści kryminalnej już mi nie była potrzebna. I choć Grzegorz może puściłby trochę farby, mnie teraz zaprzętała głowę tylko praktykantka Wieromiej.

A Grzegorzowi przydarzyła się tego dnia dość znacząca rozmowa z żoną, Luizą.

Zaczęło się od awantury, bo wywęszyła nową dziwkę — to o Kasi — do czego ma już nosa — twierdziła — żyjąc tyle lat z takim łajdakiem. Właściwie to już zdążyła przywyknąć do tego łajdaczenia się, ale żeby w tej chwili, kiedy im grozi ruina, którą on sam spowodował, miał on jeszcze czas na dziwkę i wydawał na nią pieniądze — bo przecież dla jego zakichanych walorów żadna nań nie polecą — to się już całkiem w głowie nie mieści.

— Przecież ty nic nie robisz, by nas ratować, a tylko chciałeś zamordować mojego ojca!

Próby wytłumaczenia, że to właśnie dlatego, by ratować

rodzinę i że ona, Luiza, o tym wiedziała, nie odniosły skutku. Logika i fakty nie były tym, co by robiło w tym momencie wrażenie na pani Sawko.

— Nieprawda! Nic nie robiłeś! Gubisz nas! Zobacysz, że zabiję dzieci i siebie. Będziesz nas miał na sumieniu, ty morderco! — i takie różne.

A potem zaczęła żądać, by zrobił wszystko, aby ich uratować, żeby to jakoś w końcu załatwił z Heniem.

— Jaki? — wrzasnął Grzegorz. — Nie widziałaś, jak załatwiałem? Ile się nagadałem z tym gnojem? To twój brat, to może ty z nim załatwisz. A może znowu mam kogoś wynająć, aby i jego stuknął?

Wtedy rozległ się jeszcze większy ryk i szloch, że to straszne, okropne, że nigdy, że lepiej już do grobu z całą rodziną.

— Więc jak to jeszcze mogę załatwić? Może mi powiesz?

— Nie wiem, Grzegorz, nie wiem. Naprawdę nie wiem. Wiem, że nie może tak być. Henryk stracił rozum i serce, że z nami tak postępuje. Zrób, jak uważasz. Przecież jesteś w końcu mężczyzną...

— Czekaj, czekaj. Mów jasno, czego ty chcesz. Nie próbuj zachachmęcić, żeby wyszło tak, że ja jestem ten zbir, a ty niczego nie wiesz. Już raz ci ten numer nie wyszedł.

Ale Luiza jeszcze głośniej zaczęła ryczeć i nawet człowiek tak mało lotny jak jej mąż zorientował się, że powiedziała już wszystko, co chciała, i niczego nie doda, i nie wyjaśni.

Tego wszystkiego chyba Grzegorz nie miał zamiaru mi mówić, nawet gdybym zgodził się go wysłuchać, ale roś pewno z jego zwierzeń dałoby się wyniuchać.

Widząc mój brak ochoty do serdeczniejszej rozmowy, spytał, czy może skorzystać z telefonu.

— Cześć, to ty? Jesteś sama?... Nie, lepiej wyjdź... Tam, gdzie zawsze... Za pół godziny... Trzeba pilnie pogadać... No, to cześć, Elka — zakończył, zapominając widocznie, że początkowo starał się przy mnie nie wymawiać imienia osoby, do której dzwonił.

Miałem więcej szczęścia niż Gregory, bo Kaśka pojawiła się w kilka minut po jego wyjściu.

Mruknąłem coś na jej powitanie, by nie pomyślała, że przejąłem się jej nieobecnością, i żeby nie było to zbyt serdeczne. Ona też czuła się jakby nieswojo.

— Weźmiesz mnie, Andrzej, na obiad? Albo chodźmy tylko na kawę, to pogadamy.

Wziąłem na obiad, czując już coś niedobrego.

Długo nie mówiła niczego.

— Pan Sawko przychodził pytać się o ciebie.

— Pies go trącał.

— Myślałem, że popadłaś doń w uczucie i miałem nadzieję, że przelotne. Na to zresztą wygląda.

— Głupi pętał Z nim to nic poważnego. Nie masz się czym przejmować.

— A czym się mam przejmować?

— Właściwie, to niczym. Trochę wcześniej czy później... Tylko w tym wypadku jest mi akurat niezręcznie, bo to jakby ty mnie posłałeś.

— Dokąd ciebie posłałem?

— No, do Leszka. Do Różyckiego... Nie, nie mówię, że to przez ciebie. Tak jakoś wyszło. Byłam z nim i tak już chyba zostanie. Nie gniewaj się, Andrzej... zdarza się w życiu.

— Dziękuję ci za Kowalską — powiedział Morsztyn, gdyśmy się po jakimś czasie spotkali.

— Terenię?

— Niech będzie Terenię. Ja się nie spoufalam. Zresztą nie ja z nią mówiłem.

— Mam nadzieję, że jej nie posadziliście.

— Coś ty, Andrzej, niech ręka boska! Jak byśmy wyglądali, sadzając kogoś, kto nam przychodzi pomóc? I do tego tak bardzo boi się siedzieć jak ona.

— Ona nie tylko tego się boi.

— Wiem. I ma powody. To niebezpieczny człowiek, ten cały Komandos. Ale chłopcy tam mają już oko na „Lido”. Jakby się

pojawił, to zdejmą go, zanim zdąży coś zrobić. Znają go zresztą, bo pili razem przez dobrych parę wieczorów.

Nic nie mówiłem, nie wiedząc, jak zacząć swoją kwestię, ale pomógł mi Rysiek, mówiąc, że chyba się przekonałem, iż więzienie nie wychowuje.

— Co masz na myśli?

— Nie był on takim zbirem, kiedy go pierwszy raz wpakowałeś do pudła.

— Teraz myślę, że był.

— Dlaczego?

— Bo zabił z premedytacją, pozorując wypadek. Trochę mi głupio, że nie mówiłem o tym wcześniej, lecz nie sądziłem, że to taka poważna sprawa.

— Dobrze, że mówisz teraz.

— Stary cię prosi.

— Czego chce?

— Nie wiem. Sam się dowiesz.

Zbyt długo już znałem Kazia, aby nie poznać, że łże. Zresztą naczelny o niczym nie decydował i niczego nie oznajmiał bez porozumienia z sekretarzem redakcji. Zastępcy się nie liczyli. Jeden zresztą przewlekle chorował, a drugi prowadził tylko sprawy nakładu, papieru, drukarni, pieniędzy i wyposażenia. Obraził się na świat i stwierdził, że nie tknie spraw redakcyjnych ni personalnych. Pozwolono mu wytrwać w tym stanie do emerytury, czekającej go już za kilka miesięcy.

— Proszę bardzo, niech pan siada, panie redaktorze.

Naczelný starał się być uprzejmy, ale mu to nie wychodziło. Karierę dziennikarską zaczął od razu od tego stołka, kilkanaście miesięcy temu. Przyjęto go z naturalną wrogością, co nie zrobiło na nim większego wrażenia. Facet okazał się rozgarnięty oraz ostrożny. Szybko pojął robotę, ale we wszystkim zasięgał rady Kazika, bojąc się, że może go zaskoczyć coś, czego jeszcze nie jest w stanie przewidzieć.

Przedtem był, ogólnie mówiąc, działaczem! Obecne stanowisko oznaczało dla niego poważny zjazd w dół i

zważywszy jego wiek, wątpliwe było, czy się jeszcze podźwignie.

Właściwie to już by nas nawet nie drażnił, gdyby nie pewna cecha, która została mu z poprzedniej kariery. Był w naturalny sposób kordialny i miły, gdy miał komuś coś dobrego do zaoferowania czy powiedzenia, robił się zaś nadęty i oschły, gdy ktoś u niego dołował. Wieloletni nawyk kazał mu się zaraz od takiego odcinać.

Teraz właśnie odcinał się ode mnie.

— Nie będę owijał w bawełnę — zaczął. — Jest pan starym, doświadczonym dziennikarzem i rozumie pan lepiej ode mnie, że w tym zawodzie konieczna jest pewna jednoznaczność. Zwłaszcza teraz, po wszystkim, co przeszliśmy...

Kiwałem głową ze zrozumieniem, ale on wcale na mnie nie patrzył i żadna zachęta nie była mu potrzebna, by mówić dalej.

— Szkoda mi, że pana nie będzie w naszej gazecie. To duża strata. Nie mamy zbyt wielu takich fachowców. Ale rozumiem pana pobudki i nie potępiam. To są ludzkie sprawy. Człowiek ma prawo w uczciwy sposób poprawić sobie warunki po tylu latach ciężkiej pracy. W prasie nie może pan liczyć na nic, co by było porównywalne z firmą polonijną. Zresztą obilo mi się o uszy, że ma tam pan mieć funkcję jakoś zbliżoną, jak nie do dziennikarstwa, to do roboty wydawniczej...

To znaczyło, że Zuza nie pobiegła z donosem bezpośrednio do niego, bo taki człowiek zwykle nie pali swoich informatorów. Musiała powiedzieć Kaziowi, a ten uogólnił, przedstawiając mu rzecz jako powszechnie znaną. Pozwalał szefowi pozostawać w luksusowym przeświadczeniu, że nie opiera się na donosach, lecz i trochę go wystawiał do wiatru, bo ja wiedziałem, że tej sprawy nie zna nikt poza zainteresowanymi, którzy milczą, no i, od paru dni, Zużę.

— Jakie wnioski pan sugeruje? — spytałem.

— Myślę, że dość oczywiste. Chyba nie ma potrzeby, aby przeciągać ten stan przejściowy. Nikomu to nie wychodzi na dobre. Nie mam żadnego powodu, by pana zwalniać. Powtarzam, bardzo by mi zależało na panu. Ale w tej sytuacji lepiej będzie, jak złoży pan wymówienie i wykorzysta urlop, żeby odpocząć przed nową pracą. Chyba żeby się pan rozmyślił.

Jeśli tak, to bardzo się będę cieszył.

To znaczyło, że mam przestać pracować natychmiast. Czułem się jakoś dziwnie, choć właściwie to byłem zadowolony, że sprawa się wreszcie rozwiązuje. Już nie słuchałem jego długiego wywodu, że on naprawdę nie ma żadnych doktrynalnych oporów przeciw firmom polonijnym i nie zamierza na nie napadać, ale że trzeba zrozumieć, iż propaganda ma swoje określone uwarunkowania. Nie bardzo już można zajmować się apologetyką takich firm. Są pewne okoliczności, w których lepiej zachować ostrożność. Nie ganić, nie chwalić... zresztą jest tyle ważniejszych tematów...

Gdy wyszedłem od naczelnego, zajrzałem do Kazia, ale ten wyszedł jakoby na obiad. Głupie, bo przecież nie uniknie ze mną spotkania ani nie uda, że nie wiedział i nie maczał w tym palców. Zuzanny też nie było w redakcji. Chorowała od kilku dni. Zadzwoiłem do niej do domu. Usłyszałem energiczny i wesoły głos młodej Zuzy. To córka. Szkoda, że tylko głosem wdała się w mamę. Dowiedziałem się od niej, że matka jest w szpitalu, na obserwacji i prosiła, aby nikt jej, poza córką, nie odwiedzał. Jeśli chodziło o mnie, to była to zbytnia ostrożność, bo nie zamierzałem się za Zuzanną uganiać.

Gregory już mnie zupełnie nie obchodził, ale musiałem choćby przez grzeczność wysłuchać informacji, o które się ludzie dla mnie starali. Zwłaszcza iż rozmowa odbywała się u mnie w domu, gdyż wszyscy zainteresowani uznali, że lepiej, aby ich razem nie widziano na mieście.

Był więc blondasek, obsługujący handel samochodami, w tym giełdę, i dwaj panowie, którzy w tym interesie robili. Ta sama para, której ongiś sprzedawałem swego malucha.

— Ma pan szczęście, panie redaktorze, że pan na nas trafił, bo nam już się nie chce tak co niedziela zrywać się rano i biegać na giełdę. Człowiek siebie szanuje. Ale w ładną pogodę czasem się wyskakuje samemu.

— A tak normalnie to już w hurcie?

— Raczej w dystrybucji. Co to za hurt, te trochę

samochodów? Ale trzeba wiedzieć, który gdzie pchnąć i za ile.

— Opowiedzcie coś panu redaktorowi o tym Sawko — blondas dość ostrym tonem przerwał wstępną konwersację.

— Na normalnych zasadach, ma się rozumieć? — spytał pośrednik. Zauważyłem, że cały czas mówił tylko ten, który i wtedy ze mną rozmawiał. Ten drugi robił na mnie wrażenie kierowcy i goryla, do transportu i ochrony pieniędzy.

— Na normalnych, normalnych. Ja się też czegoś dowiem przy tej okazji. A pan redaktor wie, że ma być dyskretny.

Blondyn wyraźnie komenderował rozmowę; wyzywał się widać w swej funkcji, którą pełnił zapewne jeszcze dość krótko.

— No więc, Sawko to jest patafian, a nie handlowiec. Kiedyś wchodził w lewe interesy, ale na szczęście wyplątał się. To nie dla niego.

— Trzeba mieć głowę na pasera? — spytałem.

— Charakter. Handel jak handel. Taniej się kupuje, drożej sprzedaje, tyle że trzeba potem odsiedzieć. Nam się nie kalkuluje. Panowie — tu wskazał głową blondyna — wiedzą, że robimy uczciwą robotę. Ludzie nas potrzebują...

Blondyn zrobił grymas, że jakby nie bardzo.

— No, powiedzmy, że może bywają pretensje. Ale to wydział finansowy nas może ścigać, a nie MO. Ale miało być o tym Sawce...

Ponieważ kawka już była wypita, połałem po jeszcze jednym koniaczku i zacząłem słuchać, jak to robiono go w konia.

— Kto robił w konia?

— Niejaki Korzycki. Ksywa: Komandos.

— To on się też obraca na giełdzie?

— Pojawił się niedawno i jakby tylko w tej sprawie.

— I każdy tak może sobie przyjść i handlować samochodami?

— Każdy. Tu nie ma żadnej mafii. Pan — gest w stronę blondyna — zaświadczy. Plac jest duży, samochodów wiele. Każdy może spróbować szczęścia. Są na przykład tacy, co żyją z jednego wozu. Kupuje najgorszego rżęcha, za psie pieniądze. Potem sam go reperuje, picuje, jak się na tym zna i ma dostęp do darmowych czy przecenionych części, i jest o te sto tysięcy do przodu.

— Komandos tego pewnie nie robił.

— Nie. On nie jest od dłubaniny. Kupił od razu kilka drogiech maszyn i jeszcze opłacał pośredników, żeby ci pchnęli te wozy do Sawki. Część w komis, a drugą partię za gotówkę, kiedy ten miał pieniądze po sprzedaniu tych pierwszych. A potem kazał zrobić numer ze zwrotem tych drugich wozów, które były zarejestrowane na jakichś innych, też podstawionych, ludzi.

— To pewne? — zainteresował się blondyn, przysłuchujący się dotąd rozmowie z obojętnym wyrazem twarzy.

— Pan wie, że my więcej wiemy, niż mówimy, więc jak dajemy cynk, to już pewny. Wiemy od tych pośredników. Znamy się, gada się między sobą.

— Dwa pytania, panowie — brak zainteresowania sprawami Sawki minął mi zdecydowanie.

— Słuchamy.

— Skąd ten Komandos wiedział, kiedy i jakie wozy Sawko sprzedaje i ile pieniędzy ma w ręku?

— To jest najprostsza sprawa. Ktoś mu z tego zakładu kablował. Komandos nie liczył się z groszem i mógł za te cynki zapłacić.

— I drugie pytanie. Dlaczego to robił? Czemu chciał zniszczyć Sawkę, skoro sam w tym biznesie nie robił?

— A niechby i robił. Komu taki Sawko z jego paroma wozami przeszkadzał? To była jakaś osobista sprawa. Albo coś miał do niego, albo mu ktoś to zlecił. Tego nie wiemy, bo Korzycki nie puszczał farby. Zresztą nikt z nim nie lubił rozmawiać. To taki gość, co mu lepiej zawczasu zejść z drogi.

W pół godziny później siedziałem już w kantorku „AUTO TRADE, kupno-sprzedaż pojazdów mechanicznych, Grzegorz Sawko” i popijałem piwko „Tuborg” ze zgrabnej puszczonej. Klęska życiowa nie wpłynęła jeszcze na obniżenie standardu urzędowania.

Grzegorz spokojnie wysłuchał mojej relacji.

— Przepraszam cię na chwilę — powiedział i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

— Julek!!!

— Sie idzie, szefie.

Po chwili dał się słyszeć łomot i zrozpaczone okrzyki:

— Za co!? Szefie! Za co, na Boga? Pan mnie zabije!

— Za co!? Ty jeszcze się pytasz? O żeż ty... — i tu poleciała piętrowa wiącha, przeplatana dalszym łomotem.

— Za kapowanie, ty w... — i nowa wiącha jeszcze pyszniejsza od tamtej.

Prawo moralne we mnie mówiło mi, że pan Julek dostaje za swoje. Do tego nie lubiłem takich widoków, lecz zrozumiałem, że powinienem interweniować, jeśli nie chcę odpowiadać za zaniechanie, kiedy człowiekowi grozi ciężkie uszkodzenie ciała czy może nawet trwałe kalectwo.

Nie przypuszczałem, że ciężkawy i otłuszczony Grzegorz zdolny jest tak załatwić młodego i sprawnego chłopaka. Szef miał tylko pod okiem jednego siniaka, nastroszone włosy i lekko naderwany kołnierz koszuli. Personel zaś znajdował się pod ścianą i nie obsuwał się na ziemię tylko dlatego, że był mocno, choć jedną ręką, trzymany za łachy na piersiach — kurtka i koszula były w strzępach i we krwi. Drugą ręką Grzegorza ciągle jeszcze dostawał po pysku. Twarzy już mu nie było widać, a pyszne wąsy zmieniły się w mokre, zlepione wiechcie, z których ściekała krew. Zrobiło mi się niedobrze, lecz się przemogłem i mocno schwyciłem karzącą rękę.

— Grzesiek! Na Boga! Starczy! Po co masz iść do pudła? — bardziej humanitarne argumenty jakoś mi nie przychodziły do głowy.

— No dobra, starczy. A teraz mi s... i żeby noga twoja więcej tu nie stanęła!

Ale pan Julek chwilowo nie był w stanie wykonać tego polecenia. Puszczony, obsunął się i siedząc w kucki pod ścianą, płakał, rozmazując krew i łzy, przez co wyglądał jeszcze okropniej.

— I ja ci, ty s...u płaciłem taką forszę, za to żeś się przez boży dzień o..ł — powtórnie zirytował się Grzegorz.

— Powiedz choć, ty gnoju, ile ci ten s... płacił za to kapowanie. No, mów, bo jak ci znowu przyłożę!

— Nic, nic mi nie płacił — odpowiedział szlochając pan Julek.

— Za frajer mnie kapowałeś?

— Nie, niezupełnie. Obiecał, że mi pracę w firmie polonijnej załatwi...

— Elżbieto, na Boga, ratuj — z tymi słowami Luiza wpadła do domu Derkaczów. — Na Grzeška nie ma co liczyć. Ma jakąś nową cipę i ani mu w głowie rodzina i interesy.

— Taak? A cóż to za jedna?

— A bo ja wiem? Pewno jakaś wywłoka, jak wszystkie inne.

Luśka miała charakter skorpiona, który na środku wody musi ugryźć zwierzę, na którym płynie. Dobrze wiedziała, iż Grzegorz sypia z Elżbietą i ta zdaje sobie sprawę, że ona, żona Grzegorza, to wie. Ten jakoby nie zamierzony afront nie był więc najlepszym sposobem, aby zyskać przychylność Elżbiety dla siebie, a informacja o nowej kochance Grzegorza robiła tyły i jemu.

— Doprawdy, nic nie mogę poradzić. Przecież byłaś obecna, gdy usiłowałam wpłynąć na Heńka. Jest moim mężem, lecz twoim bratem. Może ty z nim sobie prędzej poradzisz.

— Zamordowałabym go, gdybym wiedziała jak. I gdyby nie był twoim mężem.

— Jeśli o to chodzi, to możesz nie brać mnie pod uwagę.

Luśka roześmiała się i uspokoiła.

— Napijesz się kawy? — spytała Elżbieta. — Skąd masz tak ładną sukienkę?

— A znalazłam nową krawcową. Dobrą, szybką i tanią, wyobraź sobie...

— Co z kawą?

— Nie, nie. Dziękuję, polecę, Henryk na pewno przyjdzie, a, nie chciałabym się z nim dzisiaj spotkać. Nie mogę na niego patrzeć.

— Już za późno, bo właśnie wchodzi.

Henryk prawdopodobnie też nie pragnął tego spotkania, gdyż skrzywił się, zobaczywszy Luizę.

— Ty znowu tutaj? Po co? Przecież wiesz, że się nie narażę na skandal ani nie ogołocę domu, aby twojego Grzesia utrzymać w interesach na kolejne parę miesięcy. Narobi nowych długów,

tyle że większych. I co? Znowu do mnie przyjdziecie?

— To twoje ostatnie słowo? — spytała Elżbieta.

— Dobrze wiecie, że tak.

— Ostatnie, to ostatnie. Nie mówmy już o tym. Jeśli koniecznie chcesz się widzieć z tym człowiekiem, to on przyjdzie dziś wieczorem do biura, jeśli tam będziesz po ósmej i jeśli będzie się świecić w gabinecie ojca.

— Co za człowiek? — zainteresowała się Luiza.

— Nie twoja sprawa! — odburknął Henryk, a Elżbieta wzruszyła ramionami.

— Umówiłam cię, bo tak chciałeś, lecz możesz nie iść. Myślę nawet, że może byłoby lepiej, gdybyś nie poszedł.

— Nie zwracaj mi głowy! Idę! Możecie teraz sobie poplotkować o mnie.

Po jego wyjściu Elżbieta podeszła do telefonu.

— Tak, ja — mówiła do słuchawki. — Będzie na pana czekał, tak jak to było umówione... W porządku. Nic się nie zmienia... Tak, do widzenia panu.

— No, a teraz możemy się chyba spokojnie napić tej kawy. I powiedz mi coś więcej o twojej nowej krawcowej.

Wszyscy już sporo wypili, lecz nie było jakoś ducha zabawy i ceremoniał zwany Farsą Wyborczą wydawał się nam tym razem jawną niedorzecznością.

Coroczne spotkanie grupy kolegów z naszego roku miało bowiem swój ustalony rytuał. Nazywaliśmy się Stowarzyszeniem Weteranów. Na zgromadzeniu mówiło się: głos ma weteran Strzelczyk czy też: „Szanowny prezesie, czcigodni weterani”. Za każdym razem ustępujący prezes wygłaszał referat, a potem w tajnym głosowaniu wybieraliśmy następnego prezesa, dwóch wiceprezesów, sekretarza generalnego i skarbnika. Zadanie prezesa sprowadzało się do zorganizowania kolejnego pijaństwa za rok.

Tego dnia ni spory, ni procedura, ani jedzenie i picie — nic nas nie rajcowało.

Impreza przeważnie odbywała się w knajpach, tym razem

spotkaliśmy się w willi Leszka. Żeby było swobodniej. Każdy dał po trójce, lecz sądząc po tym, co stało na długim dębowym stole, Leszek dołożył ze dwa razy tyle. Więcej nie, byśmy mogli nie zwracać na ten drobiazg uwagi.

Czułem napięcie między Leszkiem i mną. Nie wiedziałem, jak wybrnąć z tego, ale on pierwszy do mnie zagadał. Kiedy po wstępnej serii wódek i zakąsek rozsiadliśmy się trochę po kanapach i fotelach, podszedł i powiedział:

— Możemy się więcej nie kolegować i chyba tak będzie, ale po tylu latach nie musimy siebie unikać i bać się rozmowy ze sobą.

Kiwnąłem głową, że tak.

— No więc — kontynuował — jest mi cholernie przykro z powodu Kaśki, ale tak jakoś wyszło. Jestem mężczyzną łatwym. Ty zresztą też.

— Trudno. Mieści się to w Regulaminie Łowów — odpowiedziałem.

Regulamin ten, ułożony jeszcze na studiach, przewidywał, że każdy z nas ma prawo polować w rewirze każdego, że nie obowiązują żadne okresy ochronne i że wszystko: żona, narzeczona, siostra, córka i matka — może stać się obiektem łowów.

— Regulamin ten miał dwa punkty — przypomniał Leszek.

Zrobiło mi się paskudnie. Ten drugi punkt przewidywał, że straty można dochodzić tylko polując, to znaczy odbić ponownie zdobycz lub zdobyć inne trofeum u partnera. Nie wolno natomiast mścić się w jakikolwiek inny sposób.

— Odmówili mi dziś paszportu — powiedział Leszek.

To była poważna sprawa. Menedżer firmy polonijnej jest starannie przeświatłany nim go władza zatwierdzi, lecz potem może jeździć bez żadnych przeszkód. Taka odmowa właściwie nie pozwalała pracować.

— Nie wiedziałem, że tak będzie — stwierdziłem.

— Poszło ci zatem lepiej, niż myślałeś.

— Naprawdę, nie chciałem tego, Leszek. Czy już mówiłeś z Morsztynem?

— Powiedział to samo co ty.

— I co będzie?

— Konflikt: Lucille — Kasia odkłada się na jakiś czas, a może się rozejdzie po kościach. W końcu ten paszport dostanę, ale teraz już będę musiał nalegać, by wyświetlono wszystkie okoliczności tego zabójstwa sprzed lat, które tak humanitarnie sądziłeś. Nie maczałem w tym palców. Inne sprawy są już dziś mało aktualne.

Rozejrzałem się za Morsztynem. Gdy zobaczyliśmy się, on mi wesoło pomachał, lecz podszedł do dwóch innych kolegów. Jakby unikał ze mną rozmowy.

Postanowiłem podejść i przeprosiwszy, odciągnąć go na chwilę na bok, ale właśnie rozległ się głos:

— Panowie weterani! Do stołu obrad! Nalane!

Trzeba było zasiadać. Kiedy zaczęły się mowy, wsunął się chyłkiem człowiek Leszka, pan Józio. Rozkładając bezradnie ręce, jako odpowiedź na karcące spojrzenie pryncypała, zbliżył się do Morsztyna i coś mu szepnął do ucha. Morsztyn dyskretnie wstał, a potem udał się do wyjścia. Wrócił po krótkiej chwili. Miał wyraźnie ponurą twarz. Zasiadł na swoim miejscu, pił i do nikogo się nie odzywał.

Podczas kolejnego wstawania sam się odnalazł.

— Słuchaj — zacząłem. — Jak ci mówię pewne rzeczy, to nie po to, byś je wykorzystywał przeciw kolegom i mnie przy tym kompromitował.

— Ach, ty o tym. Przepraszam. Niezręczność. Wyjaśni się i pojedzie on do tego Paryża, czy gdzie tam zechce. Jest gorsza sprawa.

— Jaka?

— Pilnowaliśmy tej Tereni, szukaliśmy Komandosa..

— I co? Załatwił ją?

— Na to jakby wychodzi, choć wszystko jest całkiem inaczej.

— Jaśniej!

— Obserwowano „Lido”, lecz nie śledzono Kowalskiej, licząc, że Korzycki będzie jej raczej tam szukał, jeżeli będzie.

— No i?

— Oboje rozbili się w samochodzie.

— Oboje?

— W jej samochodzie i ona prowadziła. Taka ruina, że nie widać żadnych śladów walki czy czegoś takiego. Może na razie. Mieli obydwójce we krwi, ale niewiele. To nie o to chodziło. Mógł być czysty przypadek, choć okoliczności są jeszcze nie wyjaśnione.

— Znowu czysty przypadek?

Ponownie wołano do stołu, bo nowo wybrany prezes przygotował już exposé i gotów był je wygłosić. Ponieważ pito jednak i przy stole, i poza nim, przeto siadaliśmy już, gdzie się komu chciało. Więc ja usiadłem przy Ryśku.

Czułem się paskudnie. Żal mi było Tereni Pamiętałem ją ciągle z tej ostatniej nocy u mnie w domu i byłem w stanie wyobrazić sobie, co się z nią teraz dzieje. Parę razy obowiązki zawodowe zagnały mnie do prosektorium. Zrobiło mi się niedobrze, szybko wypita wódka jeszcze to uczucie spotęgowała.

— Uspokój się — szepnął Morsztyn. — Małe jest prawdopodobieństwo, że ty to spowodowałeś. I tak by ją pytali, a ona wszystko by powiedziała. I nie wiadomo bynajmniej, że padła ofiarą zemsty. W końcu ona siedziała za kierownicą...

Ktoś szepnął, byśmy nie przeszkadzali prezesowi Oracja była kwiecista i nudna. Najlepszą miał Leszek, kiedy przed laty został prezesem. Było to bodajże w małej salce SDP, na Foksal.

— Panowie — powiedział. — Będę przemawiał krótko. Od tej chwili wszyscy piją na mój rachunek!

Byłem chyba jedynym, który wiedział, że nie wymyślił on tego, lecz zapamiętał z filmu „Sceny myśliwskie z Dolnej Bawarii”. Ale jakie to miało znaczenie? Fakt, żeśmy pili.

— Wyjaśnicie tę sprawę do końca? — spytałem Ryśka, gdyśmy się znowu znaleźli na osobności.

— Prawdopodobnie nie. Zresztą mało jest takich spraw, w których się wszystko wyjaśnia do końca. Chodzi o to, by zebrać materiał dowodowy, który nie budzi wątpliwości. Inne aspekty mogą zostać nie wyjaśnione.

— A tutaj?

— Niewiele wiemy i nie wiem, czy będziemy wiedzieli, dlaczego zginęło tych dwoje. Co do śmierci Derkacza, to

możemy przypuszczać, że Pęksa go zabił jako podwykonawca Komandosa!

— A dlaczego Derkacz wysłał do syna telegram o swojej śmierci?

— Także się nie dowiemy. Mam pewne przypuszczenie...

— Jakże?

— Aha, dziękuję ci za ten pomysł z giełdą samochodową. Sądzę, że to Derkacz wynajął Korzyckiego, by mu zrujnował zięcia. Ale to nie jest pewne do końca. Jeszcze mniej pewne jest, że stary Derkacz chciał sprowokować Henryka.

— Jak? — zapytałem.

— Zobaczyc, jak on zareaguje na propozycję, by zlecił zabójstwo ojca.

— A zleceniobiorca to potraktował na serio?

— Możliwe. I obszedł jeszcze innych potencjalnych zleceniodawców: Sawkę, Drapicha, Kowalskiego.

— Też za podpuszczeniem starego?

— Też albo już całkiem na własną rękę.

— Po co by Derkacz to robił?

— Był złośliwy do okrucieństwa. Chciał może zdyskredytować syna?

— Aż tak? Dość naciągane rozumowanie — zauważyłem.

— Możliwe. Ja się nie upieram.

— Ale napić się zawsze możemy — przerwał naszą rozmowę Leszek, podchodząc z trzema kieliszkami na tacy.

Postanowiłem wyjść nie za późno i nie za bardzo pijany. Do Marii od Leszka było dosłownie parę kroków. Byłem przejęty i rozdygotany. Bardzo już chciałem być przy niej.

— Nie możemy już być dłużej ze sobą, Andrzej.

— Mario! Dlaczego?

— Są rzeczy, których nie mogę przeskoczyć. To, że mnie zanedbujesz, twoje wykrety, nawet jakieś dziewczyny. To jeszcze znoszę. Ja już nie mam wielkich wymagań, Andrzej. Nie mogę mieć. Potrzebuję trochę ciepła i lojalności.

— Tyle chyba mogę zaoferować?

— Ale zrealizować nie możesz. O jakiej lojalności może być mowa?

— O czym ty mówisz?

— Nie udawaj, że nie wiesz. Dziś był Różycki w „Derpolu”. Ostrzegł, że będzie musiał wyświetlić wszystkie okoliczności sprawy Stanleya Kubiaka, bo go w tę aferę wrobiłeś.

— Kto to jest Stanley Kubiak?

— Był. Człowiek, którego Korzycki przejechał wiele lat temu. Milczałem. Maria też nie mówiła. Wyglądało, że czeka, aż wstanę i pójde.

— Jaki to związek ma z nami, Mario? — próbowałem się jeszcze ratować, choć widziałem już, że sprawa jest jawnie przegrana.

— Mówiłam ci, co mnie łączyło z Sewerynem, a ty mówiłeś, że nie zbierasz materiałów. Zbierałeś. Donosiłeś i wykręcałeś się.

— Przesłuchanie?

— Daj spokój, Andrzej. Myślisz, że ja bym nie wolała przejść nad tym wszystkim, gdybym tylko mogła? Ale nie mogę. To nie jest kwestia zasad. Nie chcę cię karać. Oboje jesteśmy biedni. Ale nie mogę być z człowiekiem, który jest przeciw mnie. Inne mogą, a ja nie mogę.

Wstałem, nie wiedząc co powiedzieć i czując, że jakoś głupio tak wyjść bez słowa. Lecz odezwała się Maria.

— Aha, Andrzej. Strasznie mi przykro, że ja to mówię. Ale tak będzie lepiej. Nie masz już po co się pojawiać w „Derpolu”. Po co Sztarkiello czy Drapich mają ci o tym mówić?

Właściwie to mógłbym jeszcze wrócić do uczujących w pobliżu kolegów. I byłoby to chyba rozsądne. Ale pod domem Marii ktoś akurat wysiadł z taksówki. Wsiadłem i pojechałem do domu. Płacąc zdałem sobie sprawę, że właściwie to teraz zupełnie nie mogę sobie pozwalać na przejazdy nocną taksówką z Żoliborza na daleki Ursynów, i wtedy dopiero się rozplakałem.

Była już późna noc, ale nie szedłem spać, tylko robiłem sobie luksus wieczorny. Fotel pod lampą, ekspres z kawą, lektury, koniak. Miast fajek z tytoniem „Amphora- Whisky” były tym razem cygara, prawdziwe „Partagasy”, kupione w „Adrii” po 400 zł. sztuka. Znów mi się zebrało na płacz, gdy uświadomiłem sobie, że ich już więcej nie będzie.

Nie puściłem muzyki country ni żadnej innej. Na stoliku leżała kasetka, którą dał mi Morsztyn, gdy wychodziłem.

— Załatwiłem, że będziesz miał dostęp do materiałów w tej sprawie i będziesz mógł o niej pisać. Oczywiście, gdy się zakończy postępowanie.

— Dziękuję, Rysiu, ale już chyba nie będę pisał.

— Jak chcesz, lecz zabierz na wszelki wypadek. Nie powiedziałem ci jeszcze wszystkiego. Pijany jestem. Tutaj wysłuchasz.

Zapomniałem o tej kasecie, kiedy tylko wyszedłem od Leszka. Teraz ją miałem wysłuchać.

— „Ty znowu tutaj? Po co? Przecież wiesz, że się nie narażę na skandal ani nie ogołocę domu, aby twojego Grzesia utrzymać w interesach na kolejne parę miesięcy. — Słyszałem wyraźny głos Henryka Derkacza. —

— „Narobi nowych długów, tyle że większych. I co? Znowu do mnie przyjdziecie?”

— To twoje ostatnie słowo?” — teraz pytała się jego żona.

Zatrzymałem magnetofon. Dureń ze mnie — myślałem. Jak mogłem zapomnieć o Henryku i o mojej z nim rozmowie? To akurat było dobre zagranie. Jeszcze więc nie wszystko stracone. Zobaczymy, kto będzie rządził w „Derpolu”. Wyjdzie — nie wyjdzie, ale się jeszcze powalczy!... Ale posłuchajmy, co ten Henryk nam powie.

Cofnąłem taśmę w kasecie. Puściłem od początku i wysłuchałem rodzinnych rozmów, jakie Henryk odbywał z państwem Sawko po śmierci ojca. Nawet kiedy podczas jednej z rozmów odtwarzał fragment poprzedniej, to odtworzenie i komentarz także były nagrane.

Słucham znowu, jak leci.

„Nie zwracaj mi głowy! Idę. Możecie teraz sobie poplotkować o mnie”.

I pstryk. Byłem zaskoczony, gdy natychmiast usłyszałem następną rozmowę, tak jakby na taśmie miał być oznaczony czas, który Henryk spędził między jedną rozmową a drugą.

„Chciał pan ze mną rozmawiać. Słucham więc pana”.

Aż podskoczyłem. To był głos Komandosa, zza grobu. Wyraźnie jego głos. Ale nie było w nim ani śladu knajackiego akcentu, ani leksyki elementu. Henryk musiał także być zaskoczony, choć nie wiadomo, czy sposobem mówienia swego rozmówcy. W każdym razie dłuższy czas milczał.

„— No więc, czego pan chce od mnie?

— Pieniądzy.

— Pan?

— Pan nie udaje frajera” — teraz Derkacz junior w nerwach przechodził na styl knajacki — „wziął pan dwadzieścia tysięcy dolarów.

— Zgodnie z umową.

— Pan się nie wywiązał.

— Jak to?

— To nie pan zrobił, lecz Stasiak Pęksa, a pan za to zgarnia pieniądze.

— Nie uzgadnialiśmy technologii, panie Derkacz. To była moja sprawa, jak to załatwię. Za sprytnie dla mnie? Tak pan uważa?”

Teraz przez chwilę słyhać było głośnie sapanie. Chyba Henryka, który zapewne nie mógł wznowić rozmowy.

„— Jeszcze coś, panie Derkacz?

— Jak to: jeszcze coś? Pan mi nie oddał jeszcze dolarów, których pan nie zarobił. Dosyć!

— Co dosyć?

— Robienia ze mnie idioty. Starczy już tego!

— Ja nie robiłem. A za innych w tej sprawie nie odpowiadam.

— Może pan sobie zatrzymać dziesięć procent w charakterze zaliczki. Ale resztę proszę mi oddać!

— Bo mnie pan poda do sądu? Panie! Ja sam jestem pazerny na szmal. Rozumiem innych. Ale pana to nie rozumiem.

Przecież pan się stał najbogatszym człowiekiem w Polsce. Za ile? Ile pana kosztowała ta inwestycja? Mało co więcej niż dobry samochód w Pewexie. I zrobiło się panu szkoda tych paru dolarów za taki majątek! Zbankrutuje pan bez nich?

— Chodzi mi o zasadę.

— Wolę, jak ludzie od razu mówią, że chodzi im o pieniądze. A zasady, panie Derkacz, są takie, że się nie ładujemy w głupstwa, zwłaszcza te niebezpieczne; że za robotę się płaci, a po robocie się nie widzimy. A ja już drugi raz z panem mówię. Po co? Niech pan zapomni o tych dolcach, które ja wziąłem, a myśli o tych wszystkich zielonych i złotych, na które pan się załapał.

— Więc pan odmawia?

— A pan jak myślał? Na co pan liczył? Że się wzruszę, bo panu tych paru dolców brakuje? Że się pana przestraszę? A nie pomyślał pan, że to może być niebezpieczne, takie nagabywanie mnie?

— Pan grozi?"

Znowu zrobiło się cicho i trwało tak dłuższą chwilę. Coś się musiało dziać między nimi, bo po chwili Henryk odezwał się zupełnie już innym głosem.

„— No to, no to, jak będzie?... Przecież to ja, ja pana wynająłem.

— Nie tylko pan, panie Derkacz. Pan przecież wie, że byli i inni. Mogę to panu wszystko dokładnie powiedzieć.

— Dlaczego?

— Bo to już nie ma znaczenia, co panu powiem. Pana żona też miała do mnie interes, a ja zawsze się wywiązuję..."

A potem cisza, aż do skończenia taśmy. Choć później wydawało mi się, że słyszę może jakieś odgłosy, gdy raz po razie odtwarzałem nagranie z kasety, znalezionej przy Henryku Derkaczu, zabitym ciosem karate w szyję.

...Kiedy już wreszcie zasypialiśmy, poczułem, że Terenia płacze.

— Co jest, na Boga? Żle było?

— Przecież wiesz, że wspaniale. Andrzej, ja się boję, dzieją się rzeczy straszne.

— Co się dzieje, czego się boisz? — senność, zmęczenie, pijaństwo przeszły mi błyskawicznie, bo w głosie Tereni nie było żadnej pijackiej hysterii.

— To Zbynio Komandos zabił Staśka. No, Staśka Pękse. I ja go do Staśka

klub srebrnego klucza



posłałam. Ja do tego doprowadziłam, bo przecież nie wiedzieli o sobie.

— Skąd mogłaś wiedzieć, że tak się skończy? Jeśli to prawda.

— Prawda, Andrzej, prawda. Przecież ja znam Komandosa. Wiem, co to za człowiek. Powinnam była przewidzieć, czym się to skończy, tylko nie chciałam do głowy przypuścić, bo mi chodziło o to zas... „Lido”. Ja wciągnęłam Staśka w całą aferę, udawałam Bóg wie co, żeby go tylko pozyskać...